UNIVERSITY OF
ILLINOIS LIBRARY
AT URBANA-CHAMPAIGN
BOOKSTACKS

NOTICE: **Return or renew all Library Materials! The *Minimum* Fee for each Lost Book is $50.00.**

The person charging this material is responsible for its return to the library from which it was withdrawn on or before the **Latest Date** stamped below.

Theft, mutilation, and underlining of books are reasons for disciplinary action and may result in dismissal from the University.
To renew call Telephone Center, 333-8400

UNIVERSITY OF ILLINOIS LIBRARY AT URBANA-CHAMPAIGN

OCT 2 1991

L161—O-1096

NA KRAWĘDZI

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

P I S M A

WYDANIE ZBIOROWE ZUPEŁNE
ZE WSTĘPEM ADAMA GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO
I PORTRETEM AUTORA

TOM XX

NA KRAWĘDZI

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

NA KRAWĘDZI

Z KONSTYTUCYJNYCH DNI — CMENTARZYSKO —
ZABIŁEM — CZEKAM — FRANEK —
PRZED ŚWITEM

WYDANIE DRUGIE, POWIĘKSZONE

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

POLISH BOOK IMP. CO., INC.
38 UNION SQ., NEW YORK, N.Y.

SKŁADY GŁÓWNE:
„THE POLISH BOOK IMPORTING CO., INC." — NEW-YORK
„KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU SP. AKC."—KATOWICE

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

1925

Zakłady Graficzne Straszewiczów, Warszawa, Leszno 112,

891.85
R33
On1925

JÓZEFOWI KOŚCIELSKIEMU

W UPOMINKU GŁĘBOKIEJ PRZYJAŹNI

AUTOR

Liberal Arts Library
De Paul University
199

MS

Digitized by the Internet Archive
in 2022 with funding from
University of Illinois Urbana-Champaign Alternates

https://archive.org/details/nakrawedzi00reym

NA KRAWĘDZI

. . . . . .

Oto „On“, władca świata, pan ziemi wszystkiej i mórz niezmierzonych i ludów nieprzeliczonych, już drugi dzień i noc drugą jakby na krawędziach bytu rozkołysany, niby na wahadłach rozpaczy i nadziei, czuwa zawieszony krwawemi oczami w przestrzeniach, w tragicznem oczekiwaniu zwycięstwa lub śmierci.

Wszystek świat wypowiedział mu posłuszeństwo.

Wszystkie ludy ujarzmione zerwały kajdany.

Bunt ogarnął duszę, bunt mściwy i srogi.

I oto, już od wielu dni palący orkan zemsty przewala się po świecie, wynosi się nieubłaganym kręgiem śmierci, idzie wskroś nocy oślepłych słupami ognia, wskroś bladych rozdygotanych dni płynie żałobną marą gniewu, pod której stopami drży ziemia i miasta walą się w gruzy, huczy straszliwym zgiełkiem walk i zagłady.

I zbliża się do stolicy huraganem piorunów.

Już tam pod murami, niedaleko, waży się Jego dola.

A on czeka dnie długie i noce nieskończone na cios ostateczny, patrzy z okien wysokiej, bronnej wieży w czarną, nieprzeniknioną noc; olbrzymie, jakby umarłe

miasto ściele mu się do stóp żałobnym kirem ciemności — nigdzie świateł, ni lśnień, ni nawet gwiazd na ołowianem niebie, nic, pustka mroczna grobów, tchnąca zgniłem, niepokojącem milczeniem.

Czasem zrywa się i leci gorejącemi oczami nad majaki wież, krąży obłędnie nad mgławemi zarysami miasta, spada jak sęp w czarne, głuche i ślepe rozpadliny ulic, w samą głąb ciszy, i cofa się w nagłem przerażeniu, opada z jękiem bezsilnej rozpaczy.

I znowu czuwa w ciszy godzin nieskończonych, w nieopowiedzianem mrowisku niepokojów, i znowu toż samo pytanie podnosi głowę i wlepia przeżarte strachem oczy w niemą jeszcze i nieodgadnioną...

Niekiedy wicher targa oknami, niekiedy deszcz pluszcze po granitowych blankach, bełkocą rynny, a przez puste komnaty płyną więdnące echa jęków, niekiedy śnieg prószy i cały świat rozwidnia, że miasto szarzeje i wyłania się widmowo, a tysiące wież, niby pięści zaciśnięte, zdają się pochylać ku niemu, a tysiące czarnych okien patrzą jakby zmartwiałe oczy pobitych...

Cofa się wtedy i kamienieje w grozie, i trwa zawieszony nad przepaścią, czując się niby drzewo pochylone, gdy las rąbią, jęk walących się olbrzymów wstrząsa ziemią, świszczą opadające konary, a huk toporów bije dokoła, bije bezustannie i coraz bliżej, i coraz boleśniej, i coraz okropniej...

I czeka ciosu, który się już wznosi.

— Choćby śmierć, byle prędzej!—jęczy bezsilnie.

Ale wieści nie przychodzą.

Posępny zamek milczy, a ślepe ulice leżą pomarłe.

A tam świat się wali, tam waży się Jego dola!

Naraz mury jakby zadrżały; cichym, przyczajonym krokiem rzucił się do okien i nasłuchiwał trwożnie—wiatr przynosił konające echa walki dalekiej, głuchy grzmot armat, trzaski salw karabinowych i sypki gruchot kartaczownic, zaś chwilami jakby triumfalny hymn śmierci się podnosił, a daleko, daleko tliły się jakieś łuny, i po czarnem niebie krążyły czerwone, dzikie ślepia aerostatów.

Ale wiatr ucichł i wszystko zwaliło się w noc i martwą ciszę.

I znowu godziny ciągną się wolno, jak wieczność, wynoszą się leniwie z nicości a przepadają w milczącem, nieodgadnionem nigdzie, a niby płyty grobowe walą się na jego duszę męką oczekiwań.

Aż blady świt przyczołgał się litośnie na jego oczy umęczone.

A potem jawa dnia zajrzała sinemi źrenicami udręczeń, wyniosła z mroków rzecz każdą, postawiła w jaśni rzeczywistości, a potrząsnąwszy światłem, już poszła światem tęskna, smutna i rozpłakana deszczem przejmującym, a za nią podnosiły się nieprzeliczone stada wron, kruków i sępów, i płynęły niby czarne, rozpuszczone warkocze. Na żer leciały, na obfity trupi żer...

Złowrogą, czarną chmurą krążyły nad zamkiem i, krącząc żałobnie, długo, wstrząsająco, poniosły się na pola walk i mordów. Przebudził się i patrzył za

niemi z dziwnie ściśniętem sercem. Były już daleko, czerniejącą smugą kurzawy wlokły się wskroś dnia posępnego, nad szarem, olbrzymiem miastem.

A jego źrenice, niby ptaki zbłąkane, krążyły ciężko nad tem miastem-światem, co się wynosiło z mgieł na niskiem wybrzeżu morza, nieprzejrzanem, szarem zsypiskiem głazów.

Tysiące wież sterczało kamiennym, nieprzebytym lasem, dźwigając ciężką chmurę dymów i mgieł.

Wtapiał się chciwemi oczami w tę groźną potęgę, pragnął ją przeniknąć aż do głębi, aż tam, gdzie zawsze tliły się zarzewia buntów wszystkich, gdzie przyczajona nienawiść szczerzyła na niego nieubłagane, żelazne kły zemsty...

Ale miasto leżało w nieodgadnionej grozie milczenia, szarzało jak widmo w mgłach i deszczu ściekającym bezustannie, jakby z przegniłej przędzy powietrza.

Morze złe burzyło się u wybrzeży, spiętrzone fale tłukły zielonemi łbami o granity bulwarów i wracały spienione do wyspy, na której stał zamek, mewy kołowały z krzykiem jękliwym. A on napróżno słuchał wrzaw i bełkotów dalekich, napróżno chciał zajrzeć w duszę miasta — było posępne i nieme, jak wróg zakuty w zbroję niezwalczoną.

Zatrzęsła nim dawna, wściekła nienawiść do tego wroga.

Nie przemógł, chociaż topił go we krwi, palił, bombardował, rozmiażdżał, nie przemógł...

Bo oto znowu on rozpalił żagwię buntów.

Znowu on idzie na czele świata przeciwko niemu!

— Śladu nie pozostawię po tobie... Zatratuję cię na śmierć, a trupa każę powiesić i chłostać rózgami!— groził bezsilnie.

— A jeśli ty?... — nie skończył strasznej myśli, cofnął się w głąb, daleko od okna, włosy mu się zjeżyły, bo naraz dojrzał, jakby tuż przed sobą, jakąś przerażającą scenę.

— Nie! Nie! Nie! — krzyczał obłędnie, miotając się po komnacie, ale wnet się uspokoił, strząsnął trwogę i rozkazał:

— Aerostat!

Ale w zamku nie było już ani jednego, nocy ostatniej reszta aerostatów zniknęła gdzieś bez wieści.

Przeżuwał tę wiadomość, jakby garść gwoździ, które mu darły wnętrzności, nie cofnął się jednak, nie słuchając próśb ni rad dworaków, pojechał pancernym samochodem, nawet bez straży... Na moście, łączącym zamek z miastem, panował nieopisany chaos, tłoczyły się ciżby wojsk, słanych na pola walki, karawany ambulansów, dział, wozów pancernych, koni, taborów amunicyjnych — tysiące ludzi, wrzawa krzyków, turkotów i przekleństw, tętenty przelatującej kawalerji, wszystko to niosło się z hukiem, niby fale rzeki wzburzonej, a z przeciwnej strony, od miasta, ciągnęły całe armje niedobitków, całe kohorty rannych, szli pieszo, bez broni, w strzępach mundurów, bladzi, wynędzniali, poprzewiązywani krwawemi łachmanami, do widm z pobojowisk podobni, szli posępnym, cichym tłumem, niemą groźbą...

Jechał wolno, przepatrując badawczo twarze; wielu go poznawało, ani jeden krzyk się nie podniósł na

cześć jego, odwracano ciężkie oczy, a niekiedy klątwa wyszemrała i bagnet zabłysnął złowrogo, i twarde, ostre spojrzenia niby kamienie spadały mu na twarz.

Otrząsał się z nich z uśmiechem wzgardy.

Ale do miasta wjeżdżał z mdlącem uczuciem trwogi przyczajonej, chociaż zuchwale spoglądał po ludziach, prężył się dumnie i wyzywająco, czekał niebezpieczeństwa, chciał, by go poznali — lecz miasto jakby go nie spostrzegło, przejeżdżał obcy i niepoznany wśród tłumów nieprzeliczonych a dziwnie, złowrogo cichych; ulice były pełne, place podobne do borów rozkołysanych, ruchome trotuary, zapchane ludźmi, przesuwały się jak zwykle, olbrzymie kawiarnie mrowiły się od ciżb, a na balkonach, słupach i dachach, wszędzie powiewały sztandary buntu: groźna pięść z mieczem podniesionym do ciosu. A przytem cicho było jak w grobie, tłumy snuły się jak cienie, nigdzie gwaru, nigdzie krzyków, nigdzie słów żywszych, ni nawet gestów, tylko wszystkie oczy ślizgały się wciąż z niepokojem po czarnych, olbrzymich tablicach, poustawianych na placach, a niekiedy całe miasto jakby zamierało na mgnienie, zasłuchane w dręczącem oniemieniu, w jakichś echach dalekich, dalekich... Nie stracił ani jednego szczegółu, ni twarzy jednej, ni nastroju; widział z rozkoszą nędzę w każdym domu, w każdej twarzy sprawdzał głód długi, głód uparty, a na każdej ulicy przyglądał się ruinom, głodom i zniszczeniu.

I długo tak krążył po mieście, niby sęp głodny, upatrujący żeru, gdy naraz na czarnych tablicach jęły wybłyskiwać złotawe litery depesz z placu boju; nie-

przejrzane tłumy czytały je w modlitewnem skupieniu, nieprzejrzane ciżby piły je oczami zachwytów, aż nagle szalony, wstrząsający ryk wyrwał się z gardzieli:

— Zwycięstwo! Zwycięstwo!

Szał ogarnął stolicę, wszystkie dzwony zajęczały radośnie, zagrały orkiestry, tysiące sztandarów rozwinęło się nad głowami, a z piersi tłumów runął śpiew niebosiężny, święty hymn ludów, hymn wolności, głęboki jak niebo, potężny jak bój, bezgraniczny jak ból, hymn huragan, i burza, i pioruny

Porwał go ten śpiew i dreszczem przejmowała potęga radości, że słuchał i patrzył na nich już bez gniewu i nienawiści, ale rozkazał powracać, gdyż poczuł się dziwnie znużonym i strasznie smutnym, aż do łez, które mu się cisnęły do oczów jadowitemi, palącemi żądłami.

A gdy się znowu znalazł w swojej wieży, gdy spojrzał na szare olbrzymie miasto, uczuł się tak boleśnie samotnym, że zapragnął towarzystwa ludzkiego, chciał posłyszeć głosy, chciał ujrzeć twarze przyjazne i wierne spojrzenia — a gdzie się obrócił, rozlewało się milczenie, stawała się trwożna pustka, ludzie kamienieli, służba odpowiadała lękliwie, wszystko życie zamku zamierało pod jego spojrzeniem, groza majestatu czyniła dokoła pustynię lodowatą, że błądził wśród komnat niezliczonych, w głuchej ciszy murów i ludzi samotny jak zawsze, i jak zawsze niby poza światem.

. . . . . .

Dzień już gasnął, niby oczy konające, i sypał popielną, martwą ciszą. Miarowe kroki straży rozlegały się w korytarzach, a pod zamkiem, wśród mroków, pokrytych nagiemi drzewami, mrowiły się gęste biwaki wojsk i czerniały rzędy armat, przyczajonych niby bydlęta z wyciągniętemi gardzielami, deszcz padał i sączył się po murach nieustannie, jak płacz nieutulony, a niekiedy krzyk morza, szturmy fal i szum wichru, przedzierały się jękiem do komnaty i rozpływały w trwożnej ciszy, że tylko głosy godzin podnosiły się niekiedy i huczały żałobnie.

A on znowu siedział na dawnem miejscu, zapatrzony w ślepą falę, i nasłuchiwał ciężkiego losu, i czekał coraz niecierpliwiej. Naraz zadzwonił gwałtownie.

Wsunął się trwożnie przyboczny oficer.

— Jeszcze nic, żadnych wiadomości — odpowiadał jego oczom.

Zaśmiał się szyderczo.

— A miasto już się cieszy... Sam słyszałem.

— To kłamstwo ich przywódców. To...

— Chcę wiedzieć prawdę... Czekam na nią!

— Wszystkie komunikacje przerwane i niema sposobu...

— Chcę mieć wiadomości! — zagrzmiał groźnie.

Oficer zniknął, a po nim wszedł cicho czarny, nikły człowiek ze złotym krzyżem na piersiach.

— I ty nie wiesz, co się tam dzieje?

— Nie wiem, modlę się tylko o zwycięstwo dobrej sprawy — szeptał, nie patrząc mu w oczy.

— Dobrej sprawy! I boisz się, że przegramy...

— Wszystko w rękach losu. Rada czeka na ciebie, panie.

— Niech czeka na topór, jak i ja czekam! Niewolnicy!

— Chciałeś ich takimi mieć, panie!

— Kto niegodzien człowieczeństwa, obroży godzien i kija!

— Niebezpieczeństwo bliskie, trzeba powziąć jakąś decyzję stanowczą...

— Niechaj przyjdzie! Czekam na nie... Odejdź...— zawołał wyniośle, przeszywając go dzikiem spojrzeniem.

— Czekam na ciebie, tłuszczo! Zabijesz, jeśli mnie zmożesz, lecz jeśli ja zwyciężę, rozgniotę cię jak robactwo, zakuję cię w takie łańcuchy, że się już nigdy nie zerwiesz! Hordy plugawe! — szeptał, grożąc tam w noc, gdzie łuny jęły wykwitać, niby dalekie zorze świtań. Poszedł w głąb zamku.

Drzwi otwierały się przed nim bez szelestu, służba zginała pokorne karki, straże prezentowały broń, oficerowie z gołemi szpadami występowali naprzód trwożne, niewolnicze oczy padały mu do stóp i czołgały się za nim.

Patrzył na wszystkich, nie spostrzegając nikogo, wlókł się jak cień uwiędły w spiekocie i, jak cień, kładł dokoła smutek posępny i strach, ale skinął bezwiednie ręką i zniknęli, jakby się w ziemię zapadali, a on poszedł nieskończoną amfiladą komnat, jakby pustynią zalaną światłem i zasypaną przepychem całego świata, wskroś bogactw wszystkich ludów złupionych.

Dywany tłumiły odgłosy kroków, że szedł jakby w cichości grobów. A niekiedy przystawał, rozglądając się lękliwym i drapieżnym wzrokiem. Był sam jeden, tylko olbrzymie zwierciadła powtarzały jego postać wyniosłą, siwą, pochyloną głowę i ciężkie ruchy...

Odwracał się niechętnie od własnego obrazu i szedł coraz prędzej, a przez puste komnaty leciały za nim echa jego westchnień, nieme krzyki spojrzeń i cicha rozpacz, dygocąca w kamiennem sercu.

Szedł aż do wewnętrznych dziedzińców, otoczonych potężnemi murami, przechodził galerjami z kryształów, przez gaje palmowe, przez długie tunele oranżerji, gdzie kwiaty dyszały upajającemi woniami, gdzie szemrały srebrne wodotryski, a roje ptaków, niby pęki drogocennych kamieni, śpiewały w zielonych gąszczach. Była to niby czarodziejska puszcza z tysiąca i jednej nocy, święty gaj, poświęcony bóstwom rozkoszy i milczenia, gdzie utrudzone gwarem życia dusze mogły upijać się czarem szmerów tajemniczych, lśnień, barw, zapachów i ptasich, nieodgadnionych świegotań...

Ale on przechodził jakby pustym ugorem i obojętnie deptał kwietniki, bo tam wdole, za kryształowemi szybami, leżały dziedzińce zapchane jego niewolnikami, buchały ogniska biwaków, połyskiwały bronie, dymiły kotły, a gwar ściszony kłębił się trwożnie wśród murów gigantycznych.

Z czułością przeglądał długie kolumny bojowe, stojące nieruchomo; były już gotowe, sprężone do skoku, jak sfory, czekały tylko skinienia, aby się rzucić na wroga i śmierć roznosić...

Wyszedł na balkon, z którego zawsze pokazywał się wojskom.

Dojrzano go w krwawych brzaskach ogniska, kilkaset szabel wybłysnęło wgórę i kilkaset gardzieli zakrzyczało.

— Moi są! Pewni a wierni! Zginą za mnie! Ale czy zwyciężą?

Myślał, cofając się nagle w cień, gdyż mu się wydało, iż jakaś strzelba schylała się jakby do strzału.

I znowu błąkał się jak widmo w nieprzebytych murach zamku, niepokój go pędził z miejsca na miejsce, że ginął na chwilę w jakichś korytarzach, wlókł się przez jakieś sale zimne i puste, przechodził jakieś skrytki tajemne, aż wyszedł na najwyższe terasy, wiszące nad morzem, i zapatrzony w nieprzeniknione mroki topieli rozhukanej, nasłuchiwał groźnych bełkotów i jak ptak oślepły tłukł się w pustkach bezmiernego lęku i trwogi.

Ale i tam pochwyciły go gorzkie i straszne myśli, i tam spadły z niego złociste łachmany majestatu, i tam wił się w człowieczej męce, i tam dzikie żale dusiły go za gardło i rozdzierały żelaznemi pazurami serce nieulękłe.

I znowu uciekał dalej, gnany furjami niepokojów.

Aż znalazł się prawie bezwiednie w apartamentach swej żony, lecz nim wszedł, długo i podejrzliwie patrzył przez szklane drzwi, poza któremi widział szereg komnat sklepionych — lśniły niby cudowne, złote muszle, wysadzane drogiemi kamieniami.

*

Kilkadziesiąt osób poruszało się w przyćmionem świetle, wśród kwiatów, złoceń i srebrnych zwierciadeł. Królewski przepych napełniał tę czarowną oazę, kwiaty stały wszędzie, zapach fiołków przesycał powietrze, żaden brutalny odgłos nie dochodził ze świata, żaden gwar walki nie mącił kojącego nastroju, ludzie poruszali się jacyś szczęśni, próżni trosk i obaw, usta uśmiechały się łagodnie, ściszone głosy krążyły miodnym brzękiem pszczół, westchnienia kobiet, szelesty jedwabiów i lśnienia klejnotów były niby tchnienia kwiatów.

Muzyka zabrzmiała, jak daleki, czarowny poszum fal błękitnych. Okrył twarz skamieniałą maską majestatu i wszedł, uśmiechając się łaskawie.

— Bawcie się. Nie przerywajcie! — mówił dobrotliwie, siadając na uboczu. „Ona“ zajrzała mu w oczy pytająco.

— Wszystko idzie najlepiej. Wszystko! — odpowiadał głośno, uśmiechając się do dworu, który go otaczał skwapliwie, do dam wspaniałych, do panien czarujących, do młodzieńców świetnych i do panów pełnych dostojności...

Muzyka spływała tumanem brzmień złocistych i przejmujących dreszczem rozkoszy, upajała haszyszowym czarem; słodkie głosy rozpylały się, niby deszcz kwiatów, mgłą wonną zadumy i tęsknoty; syciły duszę marzeniem sennem, kołysząc ją aż do zapomnienia o sobie. Światła, bijące niewiadomo skąd, światła, pełne upajającej woni, zatapiały komnaty w srebrzystym, migotliwym pyle, a na tle złotych ścian i kwiatów,

wynosiły się marmurowe, nagie ciała bogiń, które były jakby białą, nieśmiertelną melodją piękna w tym czarodziejskim ogrodzie barw, dźwięków, świateł i ludzi.

Ściszony szept rozmów szeleścił niby opad suchych, czerwonych liści. Mieniły się barwy strojów, szeleściły jedwabie, rozbłyskiwały klejnoty, krążyły słowa, leciały spojrzenia jak nieme, letnie błyskawice, płonęły usta purpurowe, zrywały się westchnienia, ale wszystkie oczy czuwały nieustannie na każdy gest Pana, bo gdzie spojrzał, tam chyliły się pokornie głowy, rozbłyskiwały rumieńce i dusze zamierały w radosnem oczekiwaniu.

A on nieruchomą, stężałą źrenicą przeglądał wszystkie twarze, szukał pod maskami dworackich uśmiechów odbicia własnych udręczeń i trwóg, szukał huraganów, tratujących świat cały.

Spokojni byli, ufali mocy jego i potędze.

Więc i on uspokajał się zwolna i zapominał, że znowu powracało mu uczucie swojej władzy i panowania, podnosił się z bagnistych przepaści strachów, prostował się jak ostry, niezłomny miecz, a zemsta jęła mu szeptać słodkie nadzieje... zwycięstwa...

I już łaskawie dawał ucho szeptom służalczym, radośnie słuchał kłamliwych hymnów miłości i z rozkoszą zanurzał się w brzęku słów pustych, głoszących jego wielkość i potęgę.

— Moi są i wierni! — myślał, przechodząc wolno z pokoju do pokoju — i jak słońce płynął, rozsypując na chylące się głowy łaski spojrzeń i uśmiechów, i jak słońce siał dokoła radość, światło i szczęście — że już

te komnaty stawały się kościołem, w którym wielbiono go jak boga jedynego, były ołtarzem, gdzie oddawano mu cześć świętą i nieustającą, gdzie cały świat klękał przed nim w rozmodleniu...

I do jego stóp władczych płynęły hołdy wszystkiego człowieczeństwa, do tych stóp chyliły się w pokorze ludy żebrzące o łaskę życia... Tak było zawsze, tak było za jego praojców i tak będzie za jego następców i aż po wiek wieków.

Myślał teraz o tem, wodząc przymglonemi źrenicami po twarzach czarnych, żółtych i białych, jakie się snuły dokoła, po twarzach wszystkich ludów i ras podległych jego władzy.

— I aż po wiek wieków! — dumał słodko, siadając w cieniu palm.

Ciżba rozsypała się po komnatach, muzyka zamilkła, gwary przycichły, serca się pokurczyły w lęku oczekiwań, a on siedział samotny, jakby na tronie świata, wysoko ponad wszystkiem, w ciszy potęgi, że tylko błyski ludzkich spojrzeń mrowiły mu się u stóp, jak gwiezdne korowody, a ich głosy, ich jęki, ich krzyki błagalne snuły się niezrozumiałym i dalekim poszumem przelatujących meteorów...

„Tak było zawsze i tak będzie aż po wiek wieków".

Śnił upajający sen o potędze.

Naraz przypomnienia zajrzały mu w oczy trupią i szydliwą twarzą, obudził się nagle, zdało mu się, że jakaś brutalna, zimna ręka ośmieliła się go dotknąć, gniew nim zatrząsł srogi a nieubłagany.

— Któż śmiał? Kto?—pytał gniewnemi oczami.— Jeśli oceany powstaną przeciwko mnie — zasypać je; jeśli góry — zrównać; jeśli ludy — wyciąć i spalić, a prochy rzucić do kloak!... Któż śmie?...

Dwór dygotał przed jego obliczem, podobnem do chmury brzemiennej piorunami, nikczemna bladość lęku pokryła twarze...

Wyszedł, nie zważając na nikogo.

Ale nie wiedział, gdzie iść i co począć ze sobą, chwiał się jak drzewo miotane wichurą, błądził bezradnie w cichych, oddalonych pokojach swoich dzieci.

Nie wszedł jednak do nich, spoglądał na nie zdaleka jakimś rozełzawionym nagle wzrokiem.

Bawiły się w wielkiej, błękitnej sali, siedziały na dywanie całą gromadką, rozszczebiotane jak ptaki.

Odchodził i powracał, nie mógł się oderwać, patrzył na ten obraz radosny oczami rozpaczy, nasłuchiwał szczebiotów, całował spojrzeniami różowe twarzyczki, brał je w pamięć, opancerzał niemi swoje serce rozpłakane nagłym płaczem bezmiernego żalu...

Oderwał się wreszcie i uciekł do swojej wieży samotnej.

Wiadomości z pola bitwy jeszcze nie było.

Natomiast z czarnej, zadeszczonej nocy wyrywały się już coraz częstsze odgłosy walki, niekiedy huczały posępne grzmoty dział. Łuny kręgiem straszliwym wybłyskiwały dokoła stolicy, powiewając krwawemi płachtami.

Nowe roje zgryzot obsiadły mu duszę i nowe roje strachów, a gwałtowne przypływy gniewu rozrywały serce.

Obraz dzieci tkwił mu nieustannie w pamięci, tkwił w przerażającej grozie lęku, budzącym coraz sroższy szał wściekłości.

Nie mógł już siedzieć i czekać, ognistą lawę czuł w żyłach i gniew nim miotał jak osaczonym tygrysem. Nienawiść w nim zawyła, a dzika, krwawa zemsta sprężyła mu grzbiet i ręce, że byłby rozrywał, kąsał, tratował, pławił się we krwi wrogów i mścił się za te męki, jakie przechodził.

Czuł się jak piorun uwięziony, jak Bóg, zakuty w kajdany nieprzezwyciężonych mocy...

Miotał się po pustej, samotnej komnacie, wyciągając do miasta ręce głodne zemsty — a to miasto nienawistne, to miasto buntownicze, leżało tuż przed nim, okryte nocą, potężne i straszne jakieś w swoim ogromie, leżało tak blisko a niedosięgłe dla jego żelaznych pazurów zemsty i gniewu... niedosięgłe...

Milczał złowrogo ten wróg przeklęty i nieubłagany.

Tylko morze huczało swoją pieśń nieustanną, a na moście w brzaskach pochodni rozwianych, w rytmicznym szczęku łańcuchów, snuły się szeregi jakichś ludzi eskortowanych przez bagnety.

To przeprowadzano jeńców do lochów zamkowych.

Zatrzęsła nim dzika, drapieżna radość i kazał się tam prowadzić. Spadał windami w podziemia jak sęp na żer, i coraz niżej, coraz głębiej, aż do lochów kutych w skale, do kamiennych, strasznych jaskiń, gdzie jakby łzy wylewane przez wieki okrywały mury gorzkiemi pleśniami i sączyły się zropiałemi strugami z go-

tyckich sklepień. W jakiejś kazamacie olbrzymiej, wspartej na rękach słupów, zasiadał sąd.

Kilku ludzi w kapturach i maskach czarnych siedziało za stołem, w głębokich stallach i skazywało.

Pochodnie, zatknięte w żelazne łapy, dymiły, rozsiewając krwawe światło zgrozy i lęku.

Usiadł za sędziami, w cieniu, u stóp Chrystusa, który zwisał ze ściany ogromny, skrwawiony, żałosny, straszny w męce konania i jak ból nieśmiertelny, jak wiecznie żywy ból człowieczy.

A z głębin lochów, z bezdennych nor, zionących stęchlizną grobów, wychodziły nieskończone szeregi skazańców.

Szli starzy i młodzi, kobiety i dzieci, szli w ponurym brzęku kajdan i w cichych, wstrząsających płaczach, szli do widm nędz i głodów podobni, a stawali nieulękli, jak skargi prawieczne, jak krzywdy i przekleństwa wszystkiego człowieczeństwa.

Oskarżyciel czytał długą litanję ich grzechów i zbrodni.

— Śmierć!—padał wyrok krótki jak cięcie topora.

Ale wleczeni na kaźń wołali triumfująco:

— Za nami idzie wolność i sprawiedliwość!

I ginęli w mrokach kazamat, a co chwila, z nieodgadnionych głębin, rozlegał się gruchot salw i jakby skrzyp szubienic, zaś niekiedy przedzierał się krótki, zdławiony, straszny krzyk...

A on patrzył i słuchał.

I wciąż nowe, nieskończone szeregi prowadzono na sąd i rzucano je mściwie w niezgłębiony dół śmierci.

W dymnych brzaskach pochodni, jakby w krwawych oparach, przechodziły gromady mężów, czarnych jeszcze od prochów, poszarpanych kulami, dyszących walką, bohaterskich a groźnych jak błyskawice.

— Śmierć! — spadał na nich katowski łoskot topora.

— Za nami wolność idzie i sprawiedliwość! — wołali, odchodząc w śmierć nieulękłą.

Przechodzili młodzieńcy piękni i weselni, podobni bogom.

Przechodzili starce zgrzybiałe, na prawnukach wsparte.

Przechodzili czarni, i biali, i żółci, i wszystkie narody, i wszystkie rasy, i wszystkie stany od oraczów prostych aż do królów...

I nieskończoną, ofiarną procesją walili się w cuchnący dół śmierci... Że już się zdawało, jako wszystkie podziemia zawalają trupy, a krew płynie strumieniem, rzeką, wzbiera i podnosi się aż do sklepień z bulgotem jak morze na przypływie...

— Wszyscy przeciwko mnie?

Jęczał, przyciskając się bezwiednie do stóp Chrystusowych, który łzawemi oczami miłosierdzia obejmował te głowy męczeńskie i jakby je błogosławił na drogę wieczną, na nowe, nieśmiertelne życie...

— I dlaczego? Dlaczego? — pytał się z coraz głębszą trwogą własnej duszy, wezbranej litością.

Aż przywiedli gromadę pacholąt, dzieci prawie, o oczach jak niebo i twarzach cherubów.

Ale i ci byli winni, i na nich miał spaść topór kata.

Jakaś olśniewająca prawda przeszyła mu mózg i okręciła serce żelazem bezmiernem, odsunął sędziów i twardym głosem rozkazał ich uwolnić i tych wszystkich, którzy jeszcze czekali na swoją kolej. Otworzyły się lochy narozcież, a ze wszystkich korytarzy, ze wszystkich nor, ze wszystkich podziemi spływały nieskończone ciżby ludzkie, napełniając salę trwożnym szmerem radości...

On stał u stóp Chrystusa, wyprostowany, posępny, z mgłą szklistą w groźnych oczach i patrzył im prosto w twarze.

Szmer zwolna przechodził w gwar, w krzyk, ludzie biegali jak obłąkani, wybuchały śmiechy szaleńcze, płacze kwiliły, a ciżba rosła nieustannie, otaczając go zwartem kołem głów drapieżnych, wrzasków, pięści wyciągniętych, tysiące oczów wpijało się w niego, jak ostrza szpad, przeszywających na śmierć, nieubłaganie, aż ze wszystkich piersi wyrwał się jeden krzyk straszliwy:

— Kat! — I bluznął mu w twarz, jakby wszystką krwią pomordowanych.

— Precz! — krzyknął, odsuwając ich gestem takiej potęgi, że rozstąpili się pokornie, a on wyszedł wolno i dumnie.

. . . . . .

Wielka rada, zebrana w sali tronowej, czekała już na niego oddawna, gdyż kurjerzy przylatywali z pola bitwy z coraz groźniejszemi wieściami. Przerażenie widział w oczach służby, strach już dygotał w każdem

sercu, a grzmoty dział huczały w każdym zakątku, lecz mimo to szedł wolno i ciężko, jakby pod brzemieniem tamtych krzyków.

Otwarły się przed nim drzwi kute w bronzie.

Tłum ministrów, wodzów, doradców, tłum książąt i panów, zebranych z całego świata, nie powstał na jego powitanie, siedzieli przygarbieni, milczący i trupio bladzi.

— Któż zwyciężył? — zapytał.

— Motłoch! — zabrzmiał jakiś głos ponury.

— Na południu wojska zniesione ze szczętem.

— Flota zatopiona.

— Dolna część miasta już w rękach tłuszczy.

— Wojsko na wałach przeszło do buntu.

— Oddział aerostatów po ich stronie.

— Wszystko stracone! Wszystko!

Mówili jeden po drugim i twarde słowa spadały na niego jak kamienie, że cofał się pod tym gradem śmiertelnym.

— Gwardje wysłać! — wyszeptał.

— Zdradzą! Nie przemogą. Tam ocean wezbrał i druzgoce wszystkie tamy! Świat się wali!

— Biada nam, biada!

— Więc cóż robić? — pytał bezradnie.

Huk wstrząsnął murami, posypały się strzaskane szkła okien, zimny wiatr buchnął po sali, aż portrety królów zakołysały się na ścianach.

— Chwila sądu i kary się zbliża! — ktoś jęknął.

Milczenie zapadło ciężkie, jak płyta grobowa.

— Tchórze i niewolnicy! Katom was oddam. Precz

Ale nikt się nie poruszył, tylko oczy zaświeciły złowrogo, zacisnęły się pięści, a usta wykrzywiał strach.

— Mówcie, bo oszaleję!

Siedzieli niemi, jakby nagle pomarli.

Patrzył na nich oczami wzgardy i nienawiści.

— Strach wami miota, nikczemny, plugawy strach — szeptał urągliwie. — I ja widziałem śmierć niewinnych. Widziałem, jak szli na śmierć sprawiedliwi... słyszałem triumfalną pieśń zabijanych! I katem mnie nazwali! Katem! — wołał głosem rozpaczy. — Tam zrozumiałem wszystko, tam prawdzie spojrzałem w oczy, tam pierwszy raz w życiu widziałem ludzi... A teraz wiem, co począć, wiem. Nuże trupy, powstańcie. Dosyć już krwi, dosyć walk i łez... Niechaj dzwony uderzą, niechaj heroldowie rozgłoszą, że daję wszystko tym, którzy są wszystkiem. Ja tak chcę! Słyszycie!

Rada porwała się na nogi, bo znowu zagrzmiały armaty, kule posypały się na ściany jak grad, a bezmierny krzyk walki wionął po sali dziką, skłębioną wichurą...

— Prędzej! Ogłosić moją wolę. Prędzej! — krzyczał rozpłomieniony.

— Za późno!

— Za późno!

Powtarzali posępnie, otaczając go kołem.

— Na moście walka!

— Już niema ucieczki, ni ratunku!

— Zginiemy. Rozerwą nas! — jęczeli, tłocząc się dokoła niego.

— Idę naprzeciw i ogłoszę im sam wolność! — zawołał, rzucając się ku drzwiom.

— Nie wyjdziesz bez nas!

Wrzasnęli, otaczając go gąszczem szpad obnażonych i twarzy srogich.

— Chcesz nas wydać na łup zemście!

— I nami kupić sobie życie!

— Nie, nie, będziesz naszą tarczą i zakładnikiem!

Sto rąk go chwyciło, rzucając daleko od drzwi, które się z brzękiem zawarły za nimi. Musiał ulec przemocy.

Był uwięziony w swoim zamku, we własnej sali tronowej.

Długo nie mógł pojąć, co się z nim dzieje.

— Zamknęli go jak złe, szkodliwe zwierzę! Jego! Oni! Ci, których wyniósł z nicości! którzy byli jego echem; jego cieniem...

Świat się z nim zapadał, jakby na dno chaosu.

— Gdzież jestem! Gdzie? — wołał, tocząc błędnemi oczami.

Był sam w pustej, olbrzymiej sali, światła pogasły, a tylko w krwawych brzaskach łun widniały z portretów głowy przodków, bieliły się twarze widmowo i połyskiwały posępnie oczy, zbroje i korony!

Patrzyli w niego lodowatemi oczami otchłani.

Stali dumni, wyniośli, wspaniali, niby chór bogów nieśmiertelnych.

Oto ten, co na stosach trupów utwierdził tron praojców.

Oto ten, który ludy związał w snop niewoli i przygniótł stopą żelazną.

Oto ten, o którym każda piędź ziemi wołała przekleństwem.

Oto szeregi cichych i dobrych, których imiona były tylko pustym dźwiękiem.

A oto ten największy, który cały świat zagrabił pod swoją władzę i wszystką sławę wziął na skronie...

Wieki pomarłe, potęgi pomarłe, triumfy trupie, sławy struchlałe, czyny zapomniane, cienie znikome, nicości... patrzyły na niego ze złotych ram jakimś szyderczym, dziwnym wzrokiem.

Wicher powiał po mrocznej sali, aż poruszyły się ich berła, zaszeleściły płaszcze, zadrgały korony i zaczęli się chwiać, poruszać i jakby schodzić z płócien i iść ku niemu wolno, nieskończonym korowodem widm milczących...

Cofał się przerażony, ale oni szli wciąż, jakby wskroś niego, szli posępni, a każdy zaglądał mu w twarz pustemi oczodołami i szeptał:

— Śmierć! Śmierć! Śmierć!

Rzucił się nagle i naoślep do drzwi głównych.

Były zamknięte.

— Służba! — zakrzyczał, szarpiąc bronzowemi antabami.

Nikt się nie zjawił.

Pobiegł do drugich drzwi — były zamknięte.

Ostatnie, sekretne, ukryte pod zwierciadłami, tak samo.

Zatargał niemi z całych sił, bił nogami, krzyczał i błagał.

Nie ustąpiły, nikt nie słyszał jego próśb.

Obłędny strach nim zamiotał, że po tysiąc razy targał drzwiami, po tysiąc razy przebiegał salę, bił pięściami w ściany, łomotał w bronz, krzyczał, prosił, groził nawet — naprożno, tylko echa jego własnych krzyków rozlegały się w ciemnościach.

Wracała świadomość i wtedy zdawało mu się, że śni straszny sen, z którego nie może się przebudzić.

To chodził zgięty wzdłuż ścian, obmacując gładkie mury, nic, nie było wyjścia, a pod wybitemi oknami leżała przepaść...

Jakiś podejrzany szmer zadrgał jakby pod baldachimem tronu; skrył się za jakąś portjerę i, z zapartym oddechem, oblany potem, czekał w męce, gdyż mu się zdawało, że idą po niego, że już się napełnia sala... że skrzypią posadzki pod ciężkiemi krokami, że broń szczęka, i że ze wszystkich stron wyciągają się jakieś drapieżne, nieubłagane ręce...

Wyciągnął szpadę i bronił się oszalały, ciął ciemności, zabijał mroki, przeszywał próżnię z nadludzkim krzykiem gniewu.

Naraz jakby cyklon zatargał zamkiem.

Grzmot wrzasków i świateł runął w okna, czarne czeluście ulic sypnęły światłami, ulewa kul spadła na mury rzęsistym gradem.

Oprzytomniał.

— Do mnie gwardje! Do mnie!—krzyczał oknami, ale głos jego ginął, jak szelest liścia wśród burzy.

Orkan bitwy srożył się już na wybrzeżu, wywalał się z głębi miasta i toczył z rykiem ku mostowi, pod zamek.

Morze ognia rozlewało się nad miastem, tysiące ognistych słupów miotało się w ciemnościach, a dołem, w ulicach grzmiało tysiące huków i tysiące gardzieli wyło dziką pieśń zemsty.

Jak fale spiętrzone tłoczyły się z ulicy tłumy walczące, jak chmury czarne, zionące piorunami strzałów i krzyków. Płynęli ze wszystkich stron, wszystkiemi ulicami, ze wszystkich domów się darli, a ze wszystkich zaułków, dachów i okien lał się śmiertelny war kul.

Pogięte i splątane linje wojsk cofały się krok za krokiem, a co chwila zniżały się bagnety i biły w napierającą masę, co chwila nieludzki wrzask rozdzierał powietrze, tłum się powstrzymywał, kłębił i znowu uderzał z niepowstrzymaną siłą, parł się ślepą, zbitą masą, jak lawina, druzgocąca wszystko napotkane.

A z pod zamku świegotały już nieustannie granaty, wynosiły się jak race, zakreślały ognisty łuk nad wodami i padały w ciżbę, rozrywając się ze straszliwym trzaskiem, zabijały setkami, ale nie powstrzymały.

Tłum się nie cofał, zmiatał wszystkie przeszkody i z wściekłością uderzył na ostatnie szańce i most.

Walczyli już jak oślepli i nieprzytomni, ginęli bez jęku i trwogi, a odrzucani bagnetami, tratowani, miażdżeni, rozrywani szrapnelami, parli się wciąż naprzód ze straszliwym skowytem szaleńców, z nieubłaganością gniewu i zemsty.

A on nie łudził się już nadzieją zwycięstwa, kamienny spokój przejął mu duszę, że obojętnie, jak na widowisko, patrzył na bitwę coraz bliższą, na dziki szał, z jakim się mordowano na moście.

Lud wciąż uderzał jakby piersiami w nastawione bagnety, cofał się z pomrukiem i uderzał coraz potężniej, uderzał niezmożony, niepokonany, jakby zgoła nieśmiertelny.

A jego wierni obrońcy, jego czarne gwardje ginęły do ostatka, widział, jak co chwila tysiące mieczów, kos i drągów wznosiło się i niby cepy żelazne spadało na ich czarne, nieulękłe głowy, widział, jak zwarci w mur, ramię przy ramieniu, bronili się zaciekle i umierali, a tłum po nich płynął i tratował jak huragan...

Obojętnie patrzył na wszystko, tylko, gdy potężna pieśń i krzyk buchnęły z piersi tłumów, wyjrzał bezwiednie.

Na głównej baszcie zamku powiał sztandar buntu, a na ostatnich fortach wywieszono białe chorągwie, wojsko rzucało broń, bratało się z ludem i odwracało działa na zamek.

— Wszystko się wnet skończy... — myślał spokojnie.

Skończyła się walka, tylko gdzie niegdzie rozlegały się jeszcze wrzaski mordów i strzały, a lud już rzeką nieskończoną płynął przez most i rozlewał się na placu zamkowym, a nad nim huczała niebosiężna, upajająca pieśń zwycięstwa, królewska pieśń potęgi. Słuchał, nie odrywając oczów od ciżb, kłębiących się

mrowiskiem nieprzejrzanem, ale zaczął drżeć, jakby z przejmującego chłodu.

— Białe chorągwie u bram! Parlamentarze idą!

Obejrzał się gwałtownie, cała rada, wszyscy ministrowie i doradcy, wszyscy książęta i panowie, cisnęli się do sali tronowej.

— Za chwilę pomrzemy wszyscy! — rzekł cicho i smutnie.

— Nie oddamy się na łaskę i niełaskę! — ktoś krzyknął.

Uśmiechał się i zapatrzył w dal jakąś, gdzieś w tajemnicę, wyłaniającą się z cieniów.

— A czegóż chcą parlamentarze?—zapytał wreszcie.

— Ciebie, panie!—ozwał się zgodnie chór dostojników.

— Mnie? Mnie?

— Chcą ciebie i my cię wydamy!

— Aby skończyć wojnę domową...

— Aby ocalić własne głowy! Dobrze, ocalcie się! Dobrze!

Szeptał, zaglądając im w twarze z szyderczym uśmiechem. Cofali się, spuszczając oczy, a on zbliżał się do niektórych i jakby na pożegnanie mówił:

— Tyś głodów winien!

— Tyś pił złoto ich i krew!

— Tyś był ich katem!

Rzucał w posiniałe ze strachu twarze; milczeli, tylko usta się im trzęsły i latały oczy zakrwawione, ale cisnęli się dokoła, czepiając się go jak ostatniej deski ratunku.

*

— Lud się już niecierpliwi! Prędzej.

Otoczyli go nieprzebytym lasem szpad obnażonych, ujęli pod ręce, bo się nieco chwiał, i powiedli.

Złote chorągwie szły przodem i rzędy pochodni, a za niemi tłum, odziany w różnobarwne szaty, niby łan kwietny rozwijał się przez nieskończoną amfiladę sal.

Cichy, rozełkany hymn śmierci rozbrzmiewał pod niskiemi sklepieniami aż chwiały się światła.

Szli wolno wskroś krużganków, schodów, tarasów i pięter, schodzili coraz niżej, aż do tego morza, bijącego niecierpliwie do podwoi zamkowych, a on olbrzymi, niby dąb wynosił się ponad wszystkie głowy i patrzył oczami jakby już z tamtego świata.

Wiedział, co go tam czeka.

Tylko, że jego dusza była już niedostępna wszystkiemu, co człowiecze, i jakby już umarła dla życia, wzięła ostatni lot przeznaczenia i niosła się bez trwogi w nieznane.

Już patrzył w zaświaty i słuchał nieskończoności.

A chwilami zdawało mu się, że niosą go do grobu ojców i zaraz pozostawią na wieczny spokój i odpoczywanie.

Że już śnił sen o sobie i o tych rojach ludzkich, co nikłemi cieniami przepływają nieskończoną, nieustanną falą życia.

Pochód się wstrzymał w olbrzymiej sieni, za żelaznemi bramami ryk tłumów huczał niby morze rozsrożone.

Twarze pobladły, a ktoś załkał rozpacznie.

Śpiew umilkł, rozwarły się bramy i wyszli na plac.

Tłum się zakłębił gwałtownie, odstąpił nieco od bram i jakby skamieniał, wpijając się tysiącami oczów w Jego twarz zmartwiałą. Ktoś pociągnął go za rękę, wyprowadził i rzekł głośno:

— To on! Macie go!

Postąpił automatycznie kilka kroków i spojrzał w twarz ludu, w nieubłaganą twarz przeznaczenia.

Stała się chwila strasznej, trupiej ciszy.

. . . . . .

Triumfująca śmierć zasiadła na osieroconym tronie świata i śmiała się szyderczo, długo i bezlitośnie.

Z KONSTYTUCYJNYCH DNI

NOTATKI

Warszawa, 28 października 1905 r.

Ogólny strajk.

W całym świecie środek tak niebezpieczny już zamknięto do szaf z napisem: „Medicamenta Heroica".

Ale i to prawda, że nietyle lekarstwo, ile wiara w nie zbawia...

Tylko czy my potrafimy wierzyć i pragnąć z taką potęgą, że aż się stanie cud?...

. . . . . .

Ulice ogłuchły, sklepy zamknięte, gazety nie wyszły, życie jakby zamarło, a raczej, jakby przytaiło oddech i zbiera w głębiach...

. . . . . .

Mam wrażenie, że niby oślepli i spętani balansujemy na linie, rozpiętej nad przepaścią — chcemy przejść na tamtą, jasną stronę...

A wiadomo, że tylko szaleńcom udają się rzeczy zgoła niewykonalne.

Więc oszalejmy — i niech się stanie dzień wytęskniony...

. . . . . .

Ten ruch mas wydaje mi się złowrogo ponury. Jest to, jakby tak znana po więzieniach rosyjskich „gołodowka“, rozszerzona na cały naród i przyjęta dobrowolnie przez wszystkich.

Walka biernym oporem i zwyciężanie bezwładem.

Jedyna broń narodu nigdy nierozkuwanego.

Walczymy nią tak samo, choć nam jest obca, niewyrosła z naszego organizmu, bo i rewolucja musi mieć twarz rasy, która ją robi...

. . . . . .

Żyjemy w strasznem oczekiwaniu.

Może jeszcze dzisiaj przyjdą wiadomości, może jutro, a może nigdy.

Niedziela.

Przykry i smutny dzień, deszcz mży bezustannie, posępne niebo przygniata niby taflą ołowiu, miasto w grobowej ciszy, sklepy zaparte, ani jednej dorożki, mgły, jak przegniłe łachmany, przysłaniają świat, zimno i jakoś strasznie na ulicach, ale na trotuarach tłumy — ponure, czarne rojowisko mrowi się pod ścianami bez śmiechów, bez zwykłej wrzawy, prawie bez słowa...

Nabrzmiałe gniewem milczenie przepływa nieskończoną falą, nieme usta drżą, a rozgorzałe oczy błądzą przyczajone po sznurach patroli, krążących ulicami; bagnety połyskują złowrogo; niekiedy, środkiem pustych ulic przelatują kozacy; niekiedy, jak wicher, niosą się całe szwadrony dragonów, lub bryzga błotem „linijka“.

I co chwila spotykają się wraże oczy, twarze się kurczą, grzbiety się prężą, serca biją szybciej, i długo tłumiony krzyk wydziera się z piersi, ale po mgnieniu tłum znowu idzie, przewala się falą, płynie, tylko że coraz cichszy i coraz posępniejszy.

Godziny wloką się wolno i ciężko jak wieki, jakby ten dzień nie miał się nigdy skończyć.

A wiadomości niema żadnych i znikąd!

. . . . . .

Trwożne wieści krążą jak kruki, plotki roją się, niepokój wzrasta.

Podobno delegaci rozstrzelani, podobno będzie ogłoszony stan oblężenia, podobno Prusacy gotowi do wkroczenia, podobno idą bezustanne aresztowania. Tysiąc „podobno“, a coraz trwożniejszych, rośnie w lawinę i zalewa, że już oddychać nie można.

I co najstraszniejsza, że to wszystko możebne.

. . . . . .

Niepodobna wysiedzieć w domu.

. . . . . .

Wszystkie kawiarnie zamknięte.

Idziemy znowu na ulicę, mrok już zapadał, tłumy na Krakowskiem, że trzeba się było przepychać, patroli jeszcze przybywało.

Jeszcze było ciężej i posępniej niźli w dzień.

Wszyscy w gorączce oczekiwania, nowiny latają jak błyskawice, proklamacje idą z rąk do rąk, zdenerwowanie się podnosi, niepokój ogarnia, że jeśli ktoś głośniej krzyknął lub jakaś brama huknęła, tłum przy

stawał bezwiednie, cisnął się pod domy, rozglądał się z lękiem i nasłuchiwał—bo się zdawało, że z krańców miasta dochodzą głosy armat, że jakiś krzyk, jakby krzyk mordowanych, leci w mrokach, skarży się...

Nie, nie, jeszcze spokojnie, śmierć zadrzemała na chwilę...

Październikowy dzień konał w błocie i deszczu, bełkotały rynny, ulice dławiła zimna i wilgotna noc, tylko latarnie, jakby linja szyldwachów stróżowały, żółty brzask lśnił w opadających kroplach deszczu i pełzał po rozedrganej, nieskończonej fali parasolów, a całemi ulicami i wzdłuż trotuarów ciągnęły się rozkołysane lasy bagnetów, przysuwały się coraz bliżej i coraz groźniej, aż naraz, na jakiś znak, sto żelaznych sieci przegrodziło chodniki...

Co kilka kroków patrol ogarniał jakąś gromadkę, łowił przemykających się pod ścianami, wyciągał z bram, nastawiał więcierz na nadchodzących, zaciskał się kręgiem i jakieś specjalne ręce, z żarłocznością a niesłychaną wprawą, obmacywały kieszenie i dziwnie miłośnie błądziły po ludzkich kształtach, co chwila zrywały się przekleństwa, czasem śmiech urągliwy, czasem tylko pioruny spojrzeń, a niekiedy krzyk zduszony, szamotanie i głuchy, tępy odgłos bijących kolb. Żelazny płot obciskał złowionych i wywodził na środek ulicy.

Od hotelu Europejskiego do placu Aleksandra pięć razy musiałem pokazywać pasport. Puszczali mnie jakoś, ale kto nie miał legitymacji, lub kto ją nawet miał, ale nie podobał się z miny, kto szedł w pelery-

nie, kto miał zbyt wielki kapelusz, lub za długie włosy — podejrzany! Brać go! Tylko cylindry znajdowały łaskę, czyste rękawiczki były prawomyślne, a karety nietykalne.

Policja pracowała nad wszelką pochwałę...

Ale tłum nie uciekał, odpowiadał na przemoc milczącą, wyniosłą wzgardą.

Czułem, widziałem, jakie tam w sercach wzbierają moce, jaki war gniewu zalewa dusze.

Poniedziałek.

Nic jeszcze. Niema rozwiązania! Walka trwa.

Od zmagania się potężnego dwóch sił ziemia drży.

Bój wre bez pardonu, bez miłosierdzia, w ponurem milczeniu śmierci, nikt łaski nie żąda, czasem jeno zagrochocą salwy, zerwie się krzyk mordowanych, i znowu cisza zmagań, głuchy odgłos szamotań — polip oplątał rekina i dusi zwolna, dusi na śmierć wieczną.

Dzień suchy i jaśniejszy, na ulicach pustki.

W kawiarniach tłok, nastrój ponury, zastraszające wieści spadają lodowatym strumieniem.

— Rząd zmoże! Strajk już pęka, rozłazi się.

— Dusimy się własnemi rękoma — kraczą złowrogie głosy.

. . . . . .

Uciekłem, ale i w domu niepodobna usiedzieć: robota leci z rąk, każdy głos z ulicy przeraża, co

chwila ktoś wpada z najnowszą wiadomością, i co chwila jest się w niebie, i spada się również co chwila na samo dno rozpaczy.

. . . . . .

Lepiej na świecie, pomiędzy ludźmi, którzy wierzą i pragną.

— Czekać spokojnie, wytrwać! — mówi ulica.

Idę na włóczęgę, gdzie oczy poniosą.

Aleje Ujazdowskie martwe, nieco trupie, twarze zalęknione, ruchy niepewne, w oknach zasłony; Nowy-Świat wzburzony — jakże?... handel przecież ustał; Krakowskie-Przedmieście zdeterminowane, trzeźwiejsze ale bez nadziei; Marszałkowska tłumna, oczy świecą pewnością, prawie gwar, jęczą tylko właściciele; święta własność nie cierpi awantur...

— Cały parter przerobiłem na sklepy, a teraz co? kto mi wynajmie? Deskami musiałem pozabijać... — skarżył mi się jeden.

Stare Miasto podobne do ula, kipi wrzawą i ruchem. W kościołach pełno zapłakanych twarzy. Dzielnica wzburzona, po bramach kłótnie, lud zdenerwowany nędzą i głodem.

— Na śmierć iść każą — pójdę, ale z głodu nie chcę zdychać!

— Jeść już niema, węgle po dwa ruble, wszystko w zastawie!

— A robić nie pozwalają: mojemu wczoraj porżnęli robotę!

— Mnie maszynę rozbili...—skarży się jakiś blady człowiek.

— Niech do mnie tylko przyjdą, wrzątkiem będę lała...

Na placu Zamkowym natknąłem się na kondukt żałobny. Jednokonny karawanik, prosta trumna, a za nią kobieta zapłakana i kilkoro dzieci, trzymających się za ręce.

— W cerkule umarł, panie, no! Nawet go nie dali obejrzeć po śmierci, no... — tłumaczy mi cicho jakaś stara, wynędzniała kobieta.

— Jest Bóg sprawiedliwy, jest — szeptała blademi wargami.

Nalewki ludne, po bramach pełno, przed domami uchliwe gromady, niepokój, gwar szeptów i krwawe spojrzenia na gęste posterunki...

Idę na krańce miasta. Dzielna, Smocza, Chłodna, Żelazna — sam prawie lud roboczy, spokój zupełny, wiara bezwzględna, twarze zacięte, blade, uśmiechy zdecydowania, nastrój walki, a nędza wstrząsająca.

— Wytrzymamy!—mówi mi ktoś o zielonej twarzy głodomora.

Straszliwe napięcie nerwów; w przerażającej cichości, bez gestów, bez wrzawy, bez chwalb, wiedzie się ta walka skutych, którzy w najgłębszem milczeniu, smagani nędzą, mocują się z kajdanami.

— Zabiją—to i cóż? Stracę tylko te puste kiszki.

— A może naszym dzieciom będzie lepiej — mówią mi spokojnie.

Dziwni ludzie: oczy jasne, twarze poczciwe, łachmany na grzbietach, głodni, wynędzniali, a królewsko hojni, bo gotowi ceną krwi i życia zapłacić za wspólną sprawę... . . . . .

— Mam dziennie złotówkę na nas sześcioro, ale nie ustąpię!

— Żeby była jedność, niktby nas nie przemógł! — szepcą mi cicho.

— Ale ci, co brzucha już nie mogą udźwignąć, o naród nie dbają...

. . . . . .

W jakiejś suterenie, na środku stał garnek, pięcioro dzieci cisnęło się, wyjadając z niego zimne kartofle, w kącie na barłogu siedziała matka, ledwie przyodziana w łachmany.

— Mojego utrupili mi jeszcze w maju a teraz pan widzi... — rzekła, wskazując nędzę, wyjącą z każdego kąta.

Dzieci podniosły na mnie oczy, zrobiło się cicho, że dały się słyszeć krople wilgoci, padającej z sufitu.

— Zdychamy z głodu... niezadługo... I co to komu zaszkodzi?... przecież dziura w niebie się nie zrobi! — zaśmiała się strasznie.

Naraz porwała jedno z dzieci i, wyłupując je z łachmanów, zaczęła trząść niem, niby workiem zetlałych kości, a krzyczeć:

— To człowiek, panie, co? To człowiek! Ażeby was cholera!...

. . . . . .

A potem, przed Europejskim, spotkałem znajomego.

— Wiesz?... już od tygodnia niema ostryg — skarżył się żałośnie.

Bodaj ci chleba zabrakło, jak tamtym!

. . . . . .

W cukierni, przy sąsiednim stoliku, jakieś dwie panie, dwie strojne, pachnące i cacane papużki o ufryzowanych łebkach piesków pokojowych, żaliły się przed sobą:

— Okropność, co wyrabiają ci ludzie! Przecież płacę i od trzech dni nie mogę dostać świeżych bułek.

— Straszne czasy... I znowu przepadł cały sezon!... — jęknęła druga. — Bo policja powinna ich zmusić do roboty...

. . . . . .

Głupota i egoizm to kamień węgielny życia. Ktokolwiek kiedy walczył, z tem walczył; ktokolwiek będzie walczył w przyszłości — od tego zginie, bo to siła nieprzemożona...

. . . . . .

Kawiarnia, to wolna trybuna dla wszelkiego cywilizowanego analfabetyzmu. Wszyscy tam stanowią o wszystkiem i bez apelacji.

. . . . . .

Znowu na ulicy!

Burza polityczna zmienia zupełnie fizjognomję ulic, bo gdzie się to podziały owe triumfalne korowody gum, pędzących na złamanie karku? gdzie owi cyniczni utrzymankowie, porozwalani w powozach? gdzie owe kokoty strojne i całe to próżniacze hultajstwo, obryzgujące przechodniów?

. . . . . .

Ani jednej wiadomości pewnej.

A trwożny nastrój rośnie, szarpie, dławi już, świeci we wszystkich oczach gorączką, przegryza serca. Boże, jak ten czas się wlecze!

. . . . . .

O zmroku znalazłem się znowu w kawiarni w gronie kilku przyjaciół. Nastrój stawał się już nie do wytrzymania, trwogą przesycała się atmosfera, mówiono cicho, jakby przy łożu konającego. Tylko „rozsądni" podnosili żabi, skrzeczący głos:

— A nie mówiłem, nie ostrzegałem, że się to psu na budę nie zda!...

— Psiakrew, żebyś sobie duszę wypluł pod własne nogi!

Naraz gwar się podniósł, jakiś zadyszany pan mówi:

— Trepow usunięty! Bułygin dymisja! Ministerjum liberalne!

Buchnęło tysiąc komentarzy, tysiąc przypuszczeń zakotłowało i tysiąc wątpliwości zaczęło osnuwać wszystkich, gdy znowu jakiś pan blady, w cylindrze nabakier, wpadł z wiadomością:

— Strejk zgnieciony, delegaci uwięzieni, Trepow dyktatura, represje!

Grobowe milczenie zaległo, twarze się ukryły za płachty starych gazet, jakaś staruszka ociera łzy, a ów pan już ciszej upewnia o pewnych źródłach swoich wieści przerażających.

. . . . . .

Policja nas wyprosiła: kazali zamykać kawiarnię o szóstej wieczorem.

. . . . . .

Nie mogliśmy się rozejść, bo nikt nie miał odwagi pozostać sam na sam z rozpaczą. Chronimy się więc gdzie indziej, w jakimś zacisznym pokoju. Restauracja posępnie pusta, garsoni drzemią po kątach, gaz syczy sennie i nuda wyje od pustych stołów.

Nikt nie mówi. Zmora legła na sercach i szarpie ostremi pazurami.

— A jeśli to prawda, to cóż? — budzi czyjś głos złowrogi.

Milczenie długie, lękliwie tajone myśli rozpierają czaszki, oczy gasną, każdy zstępuje w najtajniejszą głąb siebie, tam, gdzie leży przyczajony strach i syczą plugawe gadziny zwątpień, aż ktoś, kogo przywykliśmy uważać za samą „obojętność“ na wszystkie sprawy świata, porwał się namiętnym ruchem:

— „Hej! ramię do ramienia! Wspólnemi łańcuchy
[opaszmy
Ziemskie kolisko!“

„Oda do młodości“ chlusnęła ognistą strugą. Nieśmiertelny krzyk wstrząsnął do głębi, zapalił krew i uniósł jak huragan.

— „Dalej z posad, bryło świata!“ — huczał głos, i piorunne słowa biły w struchlałe serca, przekuwały je na jedno pragnienie, na jedną moc walki i zwycięzenia. Łzy lśniły w oczach, krew grała, święty dreszcz wstrząsał i oszalałe uniesienie wołało:

— Z ludem! Do walki! Razem!

Sceptyczny, drwiący głos padł, jak strzał karabinowy:

— Rzewne facecyjki, a potem kolacyjki! Zadeklamuj „Odę do młodości“ przed lufami, przemów nią do bagnetów! — drwił złośliwie.

Opadły skrzydła, czar prysnął, ohydna twarz rzeczywistości wżarła się w nas lodowatemi ślepiami, przyszło zniechęcenie, a potem bezwład, a potem przemądre, wystrojone w logikę tchórzostwo zaczęło każdemu szeptać swoje nieśmiertelne antyfony, a on, wsparty o stół, zaczął znowu mówić, ale ciężko, jakby każde słowo odrywał z cząstką serca:

— Nie czekajcie na nic, bo wszystko napróżno: Powstanie Kościuszkowskie! Protest szlachetnych szaleńców! Ekspiacja za zbrodnie i podłość ojców, szarże, stosy trupów, nadludzkie wysiłki — napróżno!

Trzydziesty rok! Idea na przedzie: „za naszą i waszą wolność“... wojska regularne! Genjalni dowódcy, armaty, męstwo niezachwiane, wszystkie szanse w ręku, pół ludności w ofierze — napróżno!

Czterdziesty ósmy rok! Kondotjerzy wolności dla całej Europy! Trybuni ludów. Walka za wszystkich! W Badenie, na barykadach Paryża, na Węgrzech, w Niemczech — wszędzie, gdzie były kajdany do zerwania, wszędzie, gdzie przemoc panowała — wszędzie lała się nasza krew i nasze trupy legły na fundamenty wolności, ale dla nas — napróżno!

Sześćdziesiąty trzeci! Osiemnaście miesięcy Termopilów! Krwawe poty śmiertelnej gorączki. Rozpaczliwy pojedynek z przeznaczeniem. Cuda poświęceń, hekatomby ofiar, morze cierpień! Dziesiątki tysięcy po-

pędzonych na Sybir. Dziesiątki tysięcy rozwianych po świecie — na wieczną mękę tęsknoty — napróżno!

I pospolite ruszenia braci szlachty, i chłopi „z rękami od pługa“, i armje regularne, i spiski, i ruchawki— napróżno wszystko, napróżno!

Przeklęci jesteśmy, bo przeklęty jest cały ród człowieczy!

Tak widać chce On!

A wy strajkiem pragniecie zwyciężyć fatum!

Szydził, a łzy płynęły mu z oczu, i ból nim miotał, i rozpacz!

— Prawdę straszną przypomniałeś, ale i to jest prawdą, że każde pokolenie będzie wstawało do walki o wolność, do ostatniego człowieka, do ostatniego tchu, do ostatniej kropli krwi, aż musi się ugiąć samo przeznaczenie, musi! — wołał „obojętny“.

. . . . . .

„Bądźcie jak kamienie ręką Boga rzucane na szaniec“ — nakazywał Słowacki, a Kamimura, niedawno, wczoraj prawie, wyprawiał kwiat swojego narodu:

— „Idźcie na swoje trumny-brandery, idźcie i zginście co do jednego, zginście dla ojczyzny“.

. . . . . .

Ktoś leciał przez puste pokoje ku nam.

— Nadzwyczajny dodatek „Kurjera“!—wrzeszczał posłaniec z płatami mokrej jeszcze bibuły w ręku.

„Konstytucja zdecydowana, jeszcze radzą nad nią, ale już wkrótce będzie ogłoszona“!

Oto ta wieść wstrząsająca, wieść dopiero zapowiednia! Każdy się czepiał oczyma tych mokrych je-

szcze liter, każdy je pił spragnionem sercem, ale każdy jeszcze się bał zawodu.

Rozmowa szła bezładna i gorączkowa, wszyscy mówili naraz, gdy w jakąś godzinę potem spadł nowy dodatek:

— „Manifest! Konstytucja"!

Sprawdzamy w redakcji jasno oświetlonej: gwar tam już radosny, krzyki, ludzie pijani radością, nieprzytomni.

— Prawda, prawda! — potwierdzają wszyscy!

. . . . . .

Pozostaliśmy tylko we dwóch, biła czwarta rano, kiedyśmy wyszli na Krakowskie. Miasto spało. Ulice leżały w popielnej przysłonie przedświtu, gwiazdy świeciły mgławo, puste chodniki leżały jak śpiące węże, nigdzie w oknach ani jednego światła, głęboka cisza kamieni śpiących, drzewa obwisłe w sennym bezwładzie, na rogach ulic świeciły bagnety i szare, zmęczone postacie żołnierzy tuliły się do murów.

— Najwyższy Manifest! Konstytucja! — krzyczeli gdzie niegdzie.

Ale miasto ani drgnęło.

Tak, miasto wciąż spało ciężkim snem katakumb, i głosy, obwołujące manifest, padały w martwą ciszę, jak zwiędłe kwiaty na płyty grobowe, jak poschnięte liście szemrały bez echa...

. . . . . .

Siedemdziesiąt pięć lata temu, w taką samą noc listopadową, temi samemi ulicami, i w godzinie może

tej samej, rozlegały się potężne, zwiastujące głosy podchorążych.

— Do broni, obywatele! Za wolność! Do broni!

Ale nie wszyscy porwali się na ten krzyk orłów, do boju za wolność, za naród, za jasne jutro dla wszystkich.

Nie wszyscy uwierzyli, że nadeszła godzina cudu...

I nim powstała zmartwychwstająca... kłócili się o panowanie nad nią...

I nim zrzuciła kajdany — rwali ją w strzępy, a każdy chciał ją mieć tylko dla siebie i tylko dla swoich.

A wróg czyhał u bram!

I napróżno bohaterstwa, rzeki krwi, tytaniczne wysiłki, hekatomby cierpień i poświęceń — na wskrzeszaną znowu zwaliła się płyta grobowa i wróg przysiadł na straży żywcem pogrzebanej...

Czyżby teraz miało być tak samo?

. . . . . .

Miasto śpi, tylko echa żołdackich kroków rozlegają się w pustych ulicach, a stare, przedwieczne mury, zbryzgane krwią, krwią tylu pokoleń, leżą w sennej ciszy głuche i nieme — a mówią już tylko, marzą o handlu, o przemyśle; może o nowych rynkach zbytu śnią słodko pod opiekuńczem lśnieniem złotych kopuł i strażą bagnetów...

Czyżby i teraz wszystko miało być „napróżno“?

. . . . . .

Wolność! Wstawajcie! Nadchodzą nowe dni!

Nuże ospali, nuże leniwi, nuże małego serca!

Już dnieje! Ofiarny siew krwi okrywa zieloną runią zdeptane pola — pokryjcie je żarem serc, osłońcie przed mrozami, skrzepcie wątłe źdźbła krwią serdeczną — niechaj dojrzeją, niechaj prędzej nadejdzie żniwny czas wesela i radości!

. . . . . .

Naraz, na rogu Żórawiej i placu Aleksandra, patrol się zjawił, bagnety jadowitemi żądłami zastąpiły nam drogę, i ochrypły głos zaskrzeczał:

— Czewo szlajetieś? Poszli won a to w uczastok... i t. d.

To była pierwsza sygnaturka „wolności".

Środa, 1 listopada.

Więc to naprawdę wolność?—pytają dokoła usta i oczy.

Może i naprawdę — nie widać jeszcze szarżującej kawalerji.

Może i naprawdę — nie słychać salw, ni jęków. Tak dziwnie cicho na mieście, jakby sama śmierć, z podniesioną kosą do ciosu, zasłuchała się w radośnie trwożny rytm serc ludzkich, jakby sama śmierć nie śmiała płoszyć marzenia o nadzieli.

Jeszcze dość wcześnie, dziewiąta godzina rano, ale czemu tak pusto i martwo na ulicach?

Pogoda i sucho, niebieskawe powietrze oprzędza miasto, niekiedy wygląda słońce, iż tysiąc szyb roz-

błyska i tysiące grotów słonecznych przebija szare, smutne i puste ulice.

Wszystko pozamykane, ani jednej dorożki, nieskończony sznur wojsk sinym łańcuchem bagnetów przegradza wyloty ulic, otacza place, strzeże gmachów publicznych i jakby w ciężkie kajdany zakuwa całe miasto.

. . . . . .

Ale choć zwolna, lecz niepowstrzymanie miasto wylega na ulice, bramy wyrzucają co chwila całe gromady, mrowią się trotuary, szare place czernieją, cichy szmer rozstrząsa się w powietrzu; twarze jeszcze niespokojne i zgorączkowane, w oczach płomienie, serca rozpiera krzyk ledwie powstrzymywany, manifest w każdych ręku, płachty papieru, jak olbrzymie motyle, trzepocą się wśród czarnej ciżby; czytają po rogach ulic, czytają po bramach, czytają wszędzie, lecą błyskawicowe uśmiechy, westchnienia się zrywają, gdzie już łzy świecą u rzęs, gdzie już weselny okrzyk pada, zaś indziej jakaś wynędzniała twarz się rozsłonecznia i przygięty grzbiet się prostuje, i zdeptana ludzka dostojność się podnosi...

— Najwyższy Manifest! — dzwonią na wszystkie strony dziecinne głosy roznosicieli, a nad trotuarem leci wysoki chłopak i krzyczy na całe gardło, potrząsając pliką gazet:

— Straszna konstytucja w Warszawie!

Tak samo krzyczał niedawno: „Straszny wybuch bomby!“ albo: „Straszna bitwa na morzu!“

I przeleciał, śmiech za nim buchnął nerwowy, ale po chwili złowroga cisza opadła, spojrzenia się zamroczyły, lęk ściska serca, boć jeszcze kolby pracują, jeszcze kopyta końskie tratują, jeszcze krzyk trwogi się zrywa w ulicach i raz po raz jakaś gromada pierzcha przed nastawionemi bagnetami, jeszcze salwy grochocą i przelatują ambulansowe wozy, ale mimo to miasto wzbiera... wzmaga się głuchy szum, jakby fal na przypływie... rośnie, potężnieje z minuty na minutę... już drżą mury... miasto się budzi... powstaje i wybucha...

Nareszcie! Katakumby przemówiły głosem żywych.

Serce Warszawy zahuczało jak dzwon na wielkie święto wolności:

— Jestem i będę!

. . . . . .

„I słychać było płacz ogromny zmartwychwstania" — można wołać za Kordjanem.

. . . . . .

Miasto już pijane uniesieniem. Wszędzie nieprzeliczone tłumy, ciasno na trotuarach, tłumy idą środkiem ulic, tłumy się zbierają na placach, wrzawa rośnie, śmiechy strzelają jak race, radość ponosi, gdzieś już przygodni mówcy krzyczą z ramion, niema stanów, zginęły różnice, twarze się palą jak słońca, gdzieś już w bocznych ulicach krwawi się znak bojowy i trzepoce się jak ptak do podniebnego lotu, śpiewy buchają triumfalne i biją ku niebu zwycięskim chorałem.

— Wolność! Wolność!

Miasto już powstaje. Miasto już mówi. Miasto już śpiewa, podnosi głowę do słońca, wyciąga ręce, oddycha, żyje pełną piersią!... A tłumy coraz większe, płyną rzekami, wzburzone szczęściem, rozkołysane nadzieją, płaczą, śmieją się i modlą zarazem...

. . . . . .

Podobno stan wojenny zniesiony istotnie, patroli coraz mniej na ulicach — ale czy na długo?

. . . . . .

W południe wszedłem do jakiegoś kościoła: tłok niesłychany, uroczysty nastrój nabożeństwa, ksiądz ledwie dojrzany w witrażowych mrokach odprawiał mszę, dymy kadzideł rozwłóczyły się sinemi włóknami nad ciżbą głów, organy wiodły cichą, przejmującą gędźbę, szept modłów szemrał jak rosa, opadająca na suche liście, niekiedy srebrny świergot dzwonków się zrywał, gdy naraz stała się cisza śmiertelna, i ktoś na chórze zaintonował: „Boże, coś Polskę...

Tłum się zakołysał, skłębił, zmieszał, jakby do ucieczki, gdy grom padnie, ale po chwili runął na kolana, palący wicher westchnień zahuczał, tysiące gwiazd rozbłysły w oczach, tysiące rąk się wyniosły ku ołtarzowi i tysiące piersi zawtórowały:

„Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić, Panie!"

I widziałem, jak z tego łanu głów pochylonych biły słupy ogniste uniesień, miłości, łez, wiary, szlochań serdecznych, i płynęły jękiem żebrzącym do stóp Ukrzyżowanego, i tam się kładły pokornie z bezgraniczną ufnością.

I widziałem, jak z tych serc wierzących wynosiła się niepokalana dusza Polski, i okutemi jeszcze rękami błogosławiła na ciężki trud walki, za ostatni, zwycięski bój i za wolność!...

. . . . . .

Po południu.

Warszawa wygląda jak „w pierwszym dniu stwo rzenia".

Chaos wszędzie i we wszystkich najzupełniejszy.

Na każdej prawie ulicy już mowy, partyjne sztandary i śpiewy.

Na każdem prawie miejscu nieopowiedziane wybuchy entuzjazmu, radości, uniesień, całują się nieznajomi, bratają się obcy sobie i dalecy.

— Jedność, obywatele, i braterstwo! — już krzyczą co gorętsi.

. . . . . .

Na Marszałkowskiej, na Krakowskiem i Nowym Świecie trudno się już przecisnąć, nieprzeliczona ciżba posuwa się krok za krokiem, faluje, kołysze się, a wciąż jeszcze przybiera, gdyż bocznice, jak wartkie dopływy, nieustannie wyrzucają nowe tłumy, że już się zdają drżeć mury rozpierane, wrzawa potężnieje co chwila — jakby morze ludzkie wylało z hukiem i burzy się spienione w ciasnych ulicach.

. . . . . .

Przed kościołem św. Krzyża olbrzymi tłum prze się i kłębi, ktoś niewidzialny dał znak, i wszyscy padli

na kolana. Rozszlochany śpiew zerwał się jakby z wnętrza ziemi, uniósł się upalną wichurą ponad wieże i mury, a ze wszystkich okien, ze wszystkich balkonów i bram zerwały się oddzielne głosy, płacze, wołania i spływały w przepotężny chór, nabrzmiały smutnym jękiem błagań.

. . . . . .

Na bocznych ulicach, w zaułkach, na placach, w szarych tunelach nieskończonych domów, wszędzie, gdzie dojrzeć — tłumy, mowy i śpiewy.

. . . . . .

Chciałbym wszystko widzieć, wszystko słyszeć i wszystko przeżyć, co czują te masy, te domy, te ulice, aby wziąć w siebie na wieki pamięć tego dnia „Jedynego".

. . . . . .

Już upadam ze znużenia, ale nowy pochód mnie porywa, nowy śpiew przyciąga, nowa radość krzepi zwątlałe siły, i znowu idę.

. . . . . .

Rozśpiewała się Warszawa; każda ulica intonuje pieśń swoją, każda ulica podnosi swój głos, każda ulica wybucha innym hymnem — że kiedy zmierzch się zrobił, to się już zdawało, że to śpiewają mury i ludzie, drzewa i place, ziemia i niebo w jeden głęboki, przejmujący głos wesela i radości.

. . . . . .

W ostatnich brzaskach dnia, Lesznem, od okopów, płyną zwarte i karne kohorty ludu roboczego,

na przedzie czerwienią się sztandary; idą mocno, aż ziemia dudni pod stopami, i dumny, hartowny w bojach śpiew grzmi niebosiężny:

„Nasz sztandar buja ponad trony..."

Bije orkan potężnych głosów, a każda strofka, jak brzęk pękających kajdan, a każdy rytm, jak huk kilofów w granity, jak piorun gniewu i jak słodki hejnał o świtaniu wiośnianem; idą bladzi, wynędzniali a dumni, w łachmanach walki, idą wpatrzeni w sztandar, jak w zorze świtu, idą niezmożonym świętym hufem trudu i walki...

A z drugiej strony, naprzeciw,nadci ąga inny pochód, tysiączna rzesza zwarta w szeregi, a nad głowami, na amarantach biały orzeł rozwija władcze skrzydła, królewski ptak wiedzie, jak wiódł ojców i pradziadów, a pod nim ramię przy ramieniu, mężczyźni, kobiety, dzieci i starcy kupią się, jak pod puklerzem, z nieśmiertelną pieśnią Legjonów na ustach:

„Marsz, marsz Dąbrowski!
Z ziemi włoskiej do polskiej!

Hej! jakby zafurkotały ułańskie chorągiewki, lśnią się kaski, chwieją się kity, szczękają kopyta o kamieniste progi Pirenejów, wiara wali czwórkami w świat obcy i wrogi, niejeden łzę ociera i daje głos tej strasznej, nieutulonej tęsknocie za ojczyzną daleką, za ojczyzną w niewoli.

Pochody się spotykają, sztandary się chylą, łączą się dłonie.

— Niech żyje wolność! Niech żyje Polska!

Długo huczą echa w omroczałych, pomilkłych ulicach.

. . . . . .

Jak w czarodziejskim kalejdoskopie zmieniają się obrazy, sceny, ludzie, znaki bojowe, hasła, ale chwila wciąż jedna, cudna, przenajświętsza chwila zmartwychwstania!

I tak przechodzą całe godziny.

. . . . . .

Partje już zaczynają śnić na jawie swoje sny o potędze.

Im dalej od środka miasta, tem więcej mów, zionących nienawiścią, tem większy przedział i różnice jaskrawsze. Mówią wszędzie, po bramach, z parterowych okien, na ramionach słuchaczów siedzą mówcy i grzmią piorunami, nienawiść podnosi głos, groźby padają jak kamienie, wiekowy głód przyzywa sytych na sąd, skarży się krzywda!

Na Złotej jakiś trybun ochrypły, blady, wyczerpany, krzyczy, wstrząsając pięściami:

— Precz z Polską! Śmierć burżujom! Śmierć katom!

A tłum, jakby zahipnotyzowany, wtóruje potężnie:

— Śmierć! Śmierć! — I podnosi groźne pięści, i ciska pioruny oczyma, i śpiewa z uniesieniem „Warszawiankę“, ale skoro trybun skończył, dojrzawszy pochód narodowy, tam hurmą wali, tam znowu krzyczy:

— Niech żyje Polska!

Jak człowiek, którego wypuszczono z lochu na światło i powietrze, że w pierwszej chwili szaleje, nieprzytomny ze szczęścia.

. . . . . .

Chodzę pewien czas za jakimś starszym panem, który zapłakany, spotniały, nieprzytomny, biega od pochodu do pochodu, zakłada ciągle binokle, osłania dłonią ucho i pyta:

— Co śpiewają? „Czerwony sztandar"! Dobrze, bracia! Śpiewajcie z Bogiem! Ja z wami!

I drepcze, potyka się co chwila i śpiewa z całej mocy, ale zostaje coraz bardziej; tłum go znosi pod ściany, że przystaje, nabiera tchu, ociera czoło; ściera łzy, ledwie już dyszy, ale gdy posłyszy nową gromadę, do niej się przyłącza i również z całego serca śpiewa:

„Jeszcze nie zginęła..."

. . . . . .

Patrole przesuwają się cicho, obchodzą pochody zdala, jak głodne wilki, oficerowie odwracają oczy, policja się pochowała.

. . . . . .

Na Mokotowskiej, przed jednym z domów stoi trzech żandarmów, a przed nimi, ująwszy się hardo pod boki, wykrzykuje wyniośle, tylko krzynkę napita babina:

— Ja, to mogę sobie pić codzień gorzałkę, ale ty, chamie, napij się chociaż dzisiaj, kiedy cię spuścili z obroży!

Żandarmi uśmiechali się dosyć kwaśno z pocie-znej kobieciny.

. . . . . .

Było jeszcze dość wcześnie, kiedym powracał do domu.

Suche i zimne mgły wisiały w powietrzu, cisza już ogarniała miasto, ale we mnie wciąż jeszcze brzmiały piewy i krzyki...

Pod murami kościoła św. Aleksandra ktoś śpiewał cichym, jękliwym głosem: „Kto się w opiekę...“ na schodach i w cieniu kolumn żaliły się jakieś pazmatyczne, bolesne płacze.

Przejął mnie do głębi ten płacz niespodziany, jakiś dziwny, nagły niepokój zawrócił mnie zpowrotem do miasta.

Na Brackiej i Mazowieckiej było prawie pusto, gdzie niegdzie i najspokojniej rozmawiano przed bramami.

Miałem już skręcić na Królewską, gdy jakiś ryk nieludzki wstrząsnął powietrzem.

Od Wierzbowej wybiegł jakiś człowiek z okropnym krzykiem, a za nim drugi, trzeci, dziesiąty, uciekali już całemi kupami, biegli z porwaną odzieżą, zakrwawieni, bez czapek, z obłąkaniem w oczach, niektórzy przysłaniali głowy rękoma, uciekając ze strasznym wrzaskiem, padali z wyczerpania, pełzali na zworakach, gnani przerażeniem i rozpaczą.

— Mordują na placu Teatralnym! — rozniosło się potem błyskawicy.

. . . . . .

Nie jestem zdolny o tem pisać. Widziałem potem tę rzeźnię ludzką, krew mi się ścina na wspomnienie wzgarda dusi, gniew obezprzytomnia. Ohydny mord bezbronnych! Zbrodnia zgóry ułożona i wykonana na zimno. Zbrodnia, wołająca o pomstę!

Są rzeczy, których zapomnieć, ani przebaczyć nie wolno.

. . . . . .

A oto spis z tego dnia do zapamiętania:

Mordowali na Złotej!

Mordowali na Przechodniej!

Mordowali na placu Bankowym!

Tak się oto zakończył ten pierwszy dzień wolności.

Śmierć zmówiła nad nim swoje krwawe pacierze.

Czwartek.

Dzień prawie wiosenny, ciepło i jasno, blade wyczerpane słońce sieje omdlałe brzaski, powietrze przesycone błękitem, lasy za Wisłą ledwie dojrzane w białawych tumanach, dzwony biją po kościołach ostatnie liście padają z drzew, i dziwnie cicha, przejmująca smutkiem, melancholja rozwłóczy się nad miastem.

Z wczorajszego pogromu na Teatralnym przychodzą coraz straszniejsze szczegóły.

A na rogach surowe odezwy. Żołdak wygraża uzbrojoną pięścią, jakby tem chciał usprawiedliwić mord wczorajszy. . . . . .

Miasto niemieje z gniewu i zgrozy.

. . . . . .

Próbowałem zasiąść do roboty — niepodobna, w głowie mam szum i zgiełk, echo wczorajszego dnia.

. . . . . .

Olbrzymi pochód przeciągnął Nowym Światem, sięża go wiedli i kilkanaście amarantowych sztandarów ławiło się w słońcu i trzepotało od huku śpiewów.

W Filharmonji wiec, a niedaleko, przed „Gońcem" lrugi, może nawet liczniejszy i wrzaskliwszy. Cały lzień tam krzyczą, mówią, śpiewają i kłócą się zavzięcie.

— Śmierć im! Niech żyją!

I tak wkółko.

. . . . . .

Szał już ogarnia partje, sztaby stronnictw zabijają ię językami, a lud umiera na ulicach od wrażych kul bagnetów.

Śmierć się wałęsa po mieście i uderza z okropną)ezmyślnością.

Piątek.

Dwie nadzwyczajne wiadomości. Trepow uwolniony, i Królestwu ma być dana autonomja! Czyli: jeden akt i jedna zielona obietnica!

A tymczasem coraz więcej mordów, coraz gęściej sypią się salwy, coraz więcej żałobnych konduktów ciągnie na cmentarze.

. . . . . .

*

Byłem na ogólnym wiecu i nie pójdę już na żaden więcej.

Targowica próżności, popisów i ambicyjek. Tragiczna farsa, prowadzona przez tych, którzy mogą przekrzyczeć tłumy. Wielka licytacja frazesów i obietnic. Stu mówców, a wciąż to samo, te same gesty, te same liczmany, te same pozy, i te same brawa i krzyki wyjców, zapychających sale...

Wolę ludowe wiece pod gołem niebem, są bowiem czynem uświadamiania, pełnym godności i powagi. Prawda: tam przemawia sam lud, tam woła sama krzywda i ból serdeczny, nie zaś fonografy ludzkie, obżarte broszurkami i pijane żądzą popisów.

. . . . . .

Stęchłe frazesy groźniejsze są dla świata niźli dżuma.

. . . . . .

Na Krakowskiem spotykam straszny korowód.

Na małym ręcznym wózku leży zabity Żyd, leży wznak, piersi ma obnażone, pokryte krwią zakrzepłą i porwane w ohydne strzępy, głowę przechylił wtył, oczy ma szeroko otwarte, usta rozchylone, jakby jeszcze śpiewał w uniesieniu, jakby jeszcze szedł w pochodzie.

Dostał pięć kul i bagnetem w brzuch.

Wiozą go wolno, niby podarty w bojach sztandar wolności.

Jest jak zastygły krzyk!

Otacza go ponury tłum, w milczeniu śmierci idzie... jakieś kobiety czepiają się wózka i wyją rozpacznie, a stary, siwy Żyd, z rozwianemi włosami, suchy, prosty, straszny w majestacie bólu, idzie obok trotuarem, wyciąga do przechodzących żołnierzy zakrwawione ręce i woła cichym, zamierającym głosem:

— To wasze dzieło! To wasza robota!

Przerażenie chwyta za serca, odkrywają się głowy, chylą się pobladłe twarze, kilka kobiet przyklękło na trotuarze, żałobna, posępna cisza sieje się dokoła, bo oto umarły przechodzi w swej chwale śmierci za wolność! Trup uśmiecha się, woła ranami, śpiewa śmiercią ostatni, potężny hymn nowych dni.

Nie potrafię go zapomnieć do śmierci.

. . . . . .

Te dni ciągną się, jak sen dręczący, jak sen, z którego nie można się obudzić, ni do szczęścia, ni do śmierci.

Jest się tylko wahadłem w rękach losu.

Od jutrzenki do pogrzebowych pochodów kołysze fala.

Sobota.

Na murach nowe, złowrogie obwieszczenia.

Znowu grożą, bo znowu mordowali bezbronnych.

W sercach trwoga i niepokój. Ciągłe pogłoski o czarnej sotni.

Może nikt nie wierzy w możliwość pogromów, podobnych do kijowskich, ale wszyscy się obawiają.

Prowokatorowie przecież działają i jak hieny węszą żer.

A mordy w dalszym ciągu.

Cały dzień dzisiejszy grzebano niezliczone ofiary, a na jutro już czekają swojej kolei nowi.

Strajk także w dalszym ciągu, koleje stoją, brakuje już chleba, brakuje pieniędzy, nędza szerzy się z przerażającą szybkością, ale lud znosi ją z bohaterskim stoicyzmem.

Przecież wystawy magazynów przeważnie niezasłonione, przez lustrzane szyby lśnią się drogie materje, śmieje się urągliwie złoto, wabią stosy przysmaków, nęcą skarby, a lud głodny, lud w nędzy, lud ledwie już powłóczy nogami, i przechodzi mimo obojętnie i dumnie, i nigdzie gwałtu, ni rabunku!

Zaiste, że to bohaterska wyniosłość i święta cierpliwość!

Niedziela.

Niezapomniany, święty dzień braterstwa!

Umilkły salwy, żołnierze prawie zniknęli z ulic. W uroczystej ciszy niedzieli zabrzmiały dzwony wszystkich kościołów.

Wyszedł pochód z kościoła św. Jana, z katedry. Morze ludzkie wylewało się zwolna na Krakowskie, amarantowe sztandary chwiały się nad zwartą falą głów, wynosiły się ze wszystkich stron, ze wszystkich bocznych ulic leciały orły i szumiały proporce.

Pod pomnikiem Mickiewicza pierwsze mowy.

Staje się cisza, słychać tylko radosne płacze i łopot chorągwi, orkiestra zaczyna grać, i naraz ze wszystkich piersi, ze wszystkich serc zrywa się pieśń-huragan, pieśń-modlitwa:

„Boże, coś Polskę..."

Trzysta tysięcy ją śpiewa jednym, niebosiężnym głosem uniesień.

Trzysta tysięcy wynosi ją z siebie, jak najświętszy sakrament narodu.

Ruszyli w pochód, idą, płyną, wzbierają, prą się niezmożoną mocą za pieśnią, która, nabrzmiała krwią wszystkich serc, bije ku niebu słupem, błyska i grzmi jak krzak ognisty...

Sztandary się krwawią w słońcu, rozwijają, trzepocą, a orły Racławic, orły Legjonów, orły Grochowa i orły powstańcze przodem się niosą, i do słońca, do nieśmiertelnego życia prowadzą.

Cała Warszawa idzie w karnym ordynku. Stanęli wszyscy, ramię przy ramieniu, i wszystka dusza narodu śpiewa:

„Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!..."

Jęk krwawi się w tym głosie setek tysięcy.

To skarży się sto lat niewoli, to płacze ból niezapomniany, to błaga rozpacz, to wołają pustki Sybiru, mogiły pobitych, to brzmią skrzypy szubienic, to śpiewa cierpienie i krzywda...

Każde słowo ścieka jak kropla krwi męczeńskiej, i każde słowo jest nieśmiertelną żądzą życia...

Godziny przechodzą, a pieśń ta ciągle płynie, wzbija się, leci na całą ziemię, wskrzesza, przypomina, płacze, żali się i spowija Warszawę w amarantową wstęgę, przetykaną białemi orłami, jakby w wiecznie żywą strugę krwi przelanej za wolność przez całe pokolenia.

. . . . . .

Do nocy trwał pochód, a później, kiedy miasto usnęło, kiedy ogłuchły ulice, to w mgłach jakby się rozwijał korowód pomarłych. Tłumy widm zdały się płynąć ze wszystkich stron świata, z kazamat wychodziły, z lodowatych pustyń się podnosiły, z tajg, z pod szubienic, z zapomnianych mogił, z głębi mórz, z lochów, z pól — i pieśń śmiertelnego milczenia zadrgała w nocnej ciszy, pieśń krwi ofiarnej, przelanej za naród, się podniosła... krzepiąca żywych pieśń zmartwychpowstania.

. . . . . .

CMENTARZYSKO

I.

Olbrzymi gabinet zapadł się w ciemnościach, grube zasłony nie przepuszczały ani jednego promienia, stała się martwa cisza, milczenie grobu zaległo ciężkim tumanem, że tylko niekiedy zadrgał ledwie pochwytny szmer kroków. Ktoś niedojrzany chodził wolno, przystawał często, jakby licząc trwożne bicie serca i te westchnienia, co się wydzierały nikłymi szelestem opadających liści, to zrywał się gwałtownie z miejsca, podbiegał ku oknom i nagle nieruchomiał w zasłuchaniu...

Ale przez potężne mury nie dochodził żaden głos żywy, tylko chwilami, skądciś, jakby z pod ziemi, dudniały rozdrgane huki przelatujących pociągów, albo darł się wskróś milczącej ciemni przeszywający świst fabryczny.

I znowu pełzały leniwie długie, dławiące chwile oczekiwań.

Naraz rozkrzyczał się nerwowy brzęk dzwonka.

Jakieś drzwi się otwarły, roziskrzony, oślepiający słup światła runął w ciemności, zamigotały zwierciadła, zalśniły bronzy, zagrały barwy obić i sprzętów.

Na środku gabinetu, w słonecznej pożodze stał siwy, wysoki człowiek i, mrużąc powieki od blasków, zapytał:

— Skończyli? — Głos miał nikły, przejęty obawą.

— Jeszcze. Dopiero płacą przędzalnię.

— Dopiero! — Skinął niecierpliwie ręką, służący się cofnął, drzwi opadły bez szelestu, światła zgasły, otoczyła go znowu noc i milczenie, rozdrgane pomarłemi echami dźwięków.

Zapadł w siebie bezwładem kamienia.

Zanurzył się w jakąś głąb bezdenną, na samo dno bezczucia.

Zaczął bić jakiś zegar.

Dwanaście uderzeń wzniosło się w mrokach, jakby dwanaście słonecznych błyskawic trąciło w kryształową czarę i zaśpiewało złotemi głosami.

Porwał się, nasłuchując chciwie i goniąc te dźwięki, co przechodziły wskróś niego lodowatym wiewem trwogi i rozsypywały się w ciemnościach złocistą rosą brzmień drgających.

— Dopiero południe! — jęknął.

Owładnęło nim gorączkowe zniecierpliwienie, że co mgnienie rozlegały się w coraz innej stronie głuche stąpania, co mgnienie zrywały się ciężkie, żałosne westchnienia, to jakiś fotel potoczył się gwałtownie na ścianę, albo sprzęt jakiś jęknął, potrącony.

— Południe! południe! — powtarzał, biegnąc ku drzwiom, szczęknęła klamka, ale się cofnął siłą woli. Przyłożył ucho do ściany, czy nie rozlega się południowy, tak znany, tak drogi świst jego fabryki.

Milczenie było zupełne, cisza grobu.

Dzwonek znowu zakrzyczał.

— Światła! — padł ostry rozkaz.

Słońce zalało pokój, a wraz z niem wdarły się splątane wrzawy i głuche krzyki wzburzenia, bijące bełkotliwie z dziedzińców, z pod murów fabryki, ale sama fabryka milczała.

— Nie robi! Stoi! — zakrzyczał żałośnie i zmartwiał nagle, bo od miasta rozłożonego nieco niżej, że miał je całe przed sobą, z mrowiska dachów, wież i kominów, z burych, ciężkich tumanów dymów, jęły się wyrywać świsty fabryk, rwały się coraz częściej, coraz bliżej, coraz przenikliwiej, aż wkońcu buchnęły przeszywającym chórem i pomilkły.

Stary człowiek patrzył z wyrzutem na swoją fabrykę.

Nie odezwała się. Czerwone cielska gmachów pławiły się leniwie w słońcu, wysmukłe szyje kominów nie buchały dymami, zdały się chwiać w błękitnawem powietrzu i patrzeć za stadami gołębi, kołujących nad niemi wysoko.

A na dole, w olbrzymim dziedzińcu, pod czteropiętrowemi gmachami, kłębił się tłum, parę tysięcy ludzi cisnęło się do kas. Szara gęstwa głów bladych, wynędzniałych twarzy, mrowisko tysięcy oczów, jak połyskliwe mrowienie się drobnych fal, kłębiło się niespokojnie. Szmer głosów wrzał ustawicznie, czasem się wznosił do krzyku i zapadał w nagłe milczenie. A niekiedy cały tłum zakołysał się gwałtownie, skłębił wzburzony i miotał się gniewnie, że rwały się z niego za-

ciśnięte pięści i twarde, dzikie głosy, jak grad kamienny, padały na widną w oknie głowę starca.

Cofał się wtedy śpiesznie w głąb gabinetu i tłum cichnął, uspokajał się zwolna, niby bór, gdy wichura przeleci, że tylko jeszcze szemrzą gałęzie, a nikłe krze zachwieją się niekiedy. Starzec padł w głęboki fotel jak martwy, ale nasłuchiwał milknących poszumów, jego siwa głowa czuwała i sucha twarz, podobna do dzioba drapieżnego ptaka, kurczyła się w bezsilnym gniewie. Przeżuwał przygnębiający ból niemocy.

Miotał się w sobie z wściekłości, aż jego blade, nieubłagane oczy, rzucające się po gabinecie niby oszalałe, ślepe ptaki, uderzyły w szeregi ksiąg olbrzymich, ustawionych na niskiej, długiej półce.. Stały przyodziane w szare płótno, niby w mundur jednaki, a wszystkie miały wyciśnięte na grzbietach czerwone daty lat. Było ich kilkadziesiąt, tłoczyły się w sztywnym ordynku, twarde, nieruchome, milczące — stały jak groby lat przeszłych. Czerwone daty, niby oczy dni minionych, wychylały się z niepamięci, szepcąc całą historję fabryki, najtajniejsze drgnienia jego duszy, całą pracę jego żywota.

Te księgi mówiły mu o jego potędze.

Te księgi opowiadały, że był stwórcą tych murów potężnych, że był władcą tego państwa maszyn i sił, zaprzęgniętych do pracy, że był panem tej rzeszy ludzkiej, stłoczonej tam przed kasami, tych tysięcy nędzarzy, których wzburzone głosy brzęczały mu nad głową, niby brzęk os rozsrożonych.

Te księgi śpiewały, że nie oparł mu się nikt, ni ludzie, ni rzeczy, ni żywioły.

Wszystko przemógł i zaprzągł do pracy dla siebie, bowiem wszystko wywiódł z nicości mocą woli swojej i trzymał żelazną dłonią władcy.

Pięćdziesiąt lat panował nieubłaganie.

Jak złowrogi pająk, zamknięty w tym królewskim gabinecie, przez całe pół wieku zarzucał sieci na wszystkie strony świata i łowił bezustannie, miażdżąc w potężnych szczękach ludzi i rzeczy wszelkie, przeżuwał, wysysał złotą miazgę i sycił się nią powoli, potężniejąc coraz bardziej, że prawie co rok przybywały nowe pawilony fabryki, nowe oddziały, nowe ziemie, nowe składy i nowe rzesze ludzkie oddawały pokornie krew swoją, trud swój i żywoty swoje!

On był i fabryka wciąż rosła, wszystko się zmieniało dokoła, całe pokolenia kładły się do mogił, całe państwa powstawały lub się waliły, a on potężniał wciąż, olbrzymiał, że już mu się zdawało, jako tak być musi po wsze czasy.

Aż nagle!

Czy miałby już nadchodzić kres jego potęgi?

Miałby się lud zbuntować przeciwko jego władztwu?

Uśmiechnął się wątpiąco, ale zadumał się niespokojnie.

— I to przetrzymamy! — szepnął, ogarniając spojrzeniem fabrykę.

Przetrzymał już bowiem wojny, pożogi, katastrofy, bankructwa, kradzieże.

Wszystko to przetrzymał zwycięsko.

Ale teraz cios przyszedł z nieoczekiwanej zgoła strony.

Ze strony, której nigdy nie brano w rachubę.

Te wielkie księgi mówiły: co ma i co winien; a również szeptały dyskretnie, co kosztuje władza, co kosztują surowe materjały, co kosztuje siła maszyn i rąk roboczych — i co przynosi, ale milczały o wartości człowieka.

Nie było w nich takiej rubryki.

I właśnie ta nieprzewidziana wartość dała znać o sobie. Zjawił się człowiek, połamał jarzmo i zażądał swego ludzkiego conta.

Te najnędzniejsze z jego narzędzi i najlichsze ośmielały się stawiać swoje warunki.

I to jemu?

Jemu, przed którego przemocną wolą wszystko padało na twarz!

Tak mu się to z początku wydało śmiesznem, że ani chciał słuchać.

Odpowiedzieli bezrobociem.

Wtedy się rozsrożył, rozkazał wszystkich wypłacić i fabrykę zamknąć na czas dłuższy. Znał swoją potęgę i był pewnym, iż nie wytrzymają tej walki nierównej, że rychło przyjdą błagać o cofnięcie srogiego rozkazu i wrócą do roboty jeszcze cichsi, jeszcze bardziej ulegli, jeszcze pokorniejsi.

Ale nikt się nie zjawił z prośbą, nikt się nie korzył i nie błagał o nędzny kęs chleba.

Nie mógł tego zrozumieć,

Stanął teraz zboku okna, w cieniu portjery i przyglądał się w jakiejś cichej trwodze tym rzeszom, cisnącym się do kas.

— Głód was przypędzi! — szepnął, odwracając się z gniewem.

Siedział znowu cierpliwie, czekając końca wypłat.

— Powrócą! — zawołał nagle, bijąc nogą w podłogę, jakby tratując te głowy zuchwałe.

— Powrócą! — powtarzał, zapatrzony w ten dzień jasny, roztaczający się na świecie, ale nie wiedział, że już wiosna szła, że ciepło przenikało ziemię, że słońce oprzędza złotem i błękitem powietrzną falę, że ptaki, oszalałe z radości, ważą się z krzykiem wysoko nad jego głową, że wiosna już powiała nieśmiertelnem tchnieniem skróś wszystkiego, że już tam gdzieś zieleni się w polach, szumi młodemi pędami borów, skrzy się w ponikach srebrzystych, wywodzi z gniazd pisklęta, otwiera kwiatom promienne oczy, i śpiewa w każdem źdźble, w każdym głosie, w każdem drgnieniu powietrza, nowe, młode, potężne przenajświętsze życie...

Nie wiedział, że ta dziwna wiosna słodkiem marzeniem przepełniała dusze, że hymn dziękczynienia wyrywała z serc uciśnionych, i jasność niosła zawartym w ciemnicach, i wolność wracała spętanym, i szczęście smutnym, i jutro głosiła konającym, i sprawiedliwość wymierzała krzywdom, i dni nowego żywota zapowiadała.

Tak, wiosna szła, była tam, gdzieś na świecie szerokim.

Ale tutaj, w tem mieście przeklętem, wśród fabryk, dymów i zgiełków, drgała zaledwie słabem, bolesnem echem.

Te ziemie, zgwałcone przez miasto, stratowane tysiącami nóg i wozów, przyduszone olbrzymiemi cielskami fabryk, pożerane mrowiskiem domów i zatruwane ich plugawemi oddechami, nie poruszyły się nawet w tych słodkich wiosennego słońca pieszczotach— leżały martwo w blaskach, niby żebracze łachmany sromotnie porzucone i rojące się ohydnem robactwem fabryk i ludzi żerujących po trupie.

Zaledwie gdzie niegdzie z pośród szarych, spasłych murów dźwigało się ciężko jakieś drzewo suchotnicze, zaledwie gdzie niegdzie, z pod chmur dymów, zieleniły się blade, umęczone uśmiechy liści, a tylko zrzadka, w trwodze i tajemnicy, w jakimś kącie zapomnianym tliły się nędzne źdźbła traw lub wystrzelał zuchwale mlecz żółty.

A wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozciągało się cmentarzysko życia pustym, zamarłym stepem.

Żyły tylko fabryki.

Tylko te czerwone mary, lśniące w słońcu, jakby skamieniałe krwią i potem, wynosiły się dumnie ku słońcu, panując nad światem.

W cieniu tych polipów potwornych, wyrosłych na trupach całych pokoleń, kosztem dusz, powietrza, ziemi, kosztem całej przyrody — marło wszystko, stawało się nędzą, złem, przekleństwem i rozpaczą.

W radosnych promieniach słońca wznosiły się te fabryki, niby świątynie strasznego bóstwa, któremu ludzkość składać musiała w ofierze krew swoją.

I jak zły, przerażający sen trwało nad światem nieubłagane władztwo tego bóstwa tajemniczego.

Lęk i groza biły od kamiennych potworów, śmierć wionęła od tych sił straszliwych, spętanych milczeniem, od tych maszyn, zwitych w potworne kłęby, niby zakrzepłe zwoje mózgowe, i czyhających tam za szybami, które tysiącem rozgorzałych oczów zdawały się stróżować zaciekle nad gęstwą, poruszającą się w dziedzińcu.

Stary człowiek znowu stał w oknie i także pilnował.

Słońce już się nieco stoczyło z południa za wyniosłe dachy i basztowe narożniki jęły kłaść cienie i niby grobowym całunem przysłaniały kłębiących się przed kasami.

Na skraju dziedzińca, od strony miasta, jakiś staw zdechły przebłyskiwał ponuro z pod przegniłych bielm pleśni, a kilka topoli nad nim schnących dźwigało z trudem pokręcone, chore pnie i obłamane gałęzie, trzęsące się nędznemi liśćmi, jakby w przedśmiertnej gorączce—stały rzędem głodomorów wiecznie łaknących, rzędem kalek, broniących się rozpacznie od wód zatrutych, od dymów, od całej nędzy fabrycznego istnienia, jak cały ten tłum ludzki, który w bolesnem milczeniu brał ostatnie wiatyki nędzy—i odchodził w nieznane jutro.

W popołudniowej ciszy i w martwych cieniach milczącej fabryki słychać było coraz wyraźniej wywoływane nazwiska i brzęk pieniędzy.

— Już blich płacą!—szepnął służący, stając w progu.

Starzec coś odmruknął i cofnął się gwałtownie od okna.

*

Przed kasę cisnęła się nowa, zwarta kohorta twarzy o dziwnej bladości, twarzy, jakby utkanych z wilgotnej, szarej przędzy.

A potem płacili farbiarnię.

Korowód gorączkowych, zatrutych spojrzeń się skłębił, zielonkawych twarzy i ruchów, jakby pijanych.

A potem płacili suszarnię.

Gęstwa przezroczystych postaci sunęła cicho wiotkiemi krokami, jakby gęstwa cieni przepalonych w skwarze. Chwiali się przed kasą bez szelestu, jak badyle wyschnięte na ścierniskach.

A potem płacili drukarnię.

A potem apretury, magazyny, składy, kantory, koleje...

Cały ludzki inwentarz fabryki ciągnął w smutnej, ostatniej procesji, starzy i młodzi, kobiety i dzieci, wszyscy...

Każdy odbierał swoje, cofał się, przystawał gdzieś zboku, przeliczał prędko te nędzne, ostatnie grosze, wzdychał, wodził zdumionemi oczami po towarzyszach, przenosił je potem na fabrykę, zatrzymywał się dłużej na swojej sali i odwracał się, jakby z lękiem, i odchodził zwolna, ciężko pod brzemieniem jutra nieznanego, aż za staw, za żelazne sztachety, ku domom rozsypanym nad szeroką, czarną drogą.

Długie jeszcze godziny wlokły się te korowody.

Aż słońce przetoczyło się na zachód i olbrzymią, czerwoną kulą spadać zaczęło za siny horyzont, za las kominów, majaczących w dymach, za miasto, hucz ące

wrzawą nieustanną, wtedy dopiero opustoszały dziedzińce i zawierały się ciężkie bramy za ostatnimi.

— Skończone!—oznajmił służący, otwierając okna narozcież.

— Poszli?

— Wszyscy! Już bramy zamknięte.

— Fabryka zamknięta? — pytał, nie wiedząc, co mówi.

— Zamknięta.

— To jedźmy na obiad, jedźmy! — powtórzył, z trudem się podnosząc. Czuł się zdrętwiałym i dziwnie chorym, zaledwie mógł się udźwignąć z fotelu, ręce mu się trzęsły, a oczy z uporem wpijał w jakiś punkt.

— Konie już czekają.

— Dobrze, mój drogi, dobrze! Jedziemy zaraz — mruczał, pozwalając się przywdziewać w palto, włożył kapelusz, wziął laskę i obejrzał się, jak zwykle, za wielką teką, którą brał służący, i jak zwykle sprawdził olbrzymią kasę, czy zamknięta, i wyszedł wolno, jak zawsze, jak codziennie od lat na podjazd, gdzie już na niego czekała para koni z powozem.

Już postawił nogę na stopniu i, jak zawsze, pytał się stangreta o konie, gdy naraz przerwał rozmowę, cofnął się i zawrócił śpiesznie do kantoru, wziął z kasy pęk kluczów i prawie pobiegł krętemi, mrocznemi korytarzami do fabryki.

Służący powlókł się za nim cicho i nieodstępnie jak cień.

Fabryka usypiała w złowrogiem milczeniu.

Windy, niby zdechłe kraby, leżały w czarnych, przepaścistych norach, a puste schody szczerzyły kamienne zęby i zionęły wilgotnym, lodowatym tchem grobów.

Wzdrygnął się nieco, obejrzał trwożnie na służącego, ale wszedł na piętro, pławiące się w czerwonych brzaskach zachodu.

I szedł wolno przez oniemiałe, mroczne sale, niby przez jakiś bór, zaludniony śpiącemi potworami.

Maszyny ciężko przywierały do podłóg, niby bydlęta spracowane, pasy i transmisje opuszczały się bezwładem znużonych i wyczerpanych mięśni, a gdzie niegdzie z szarych mroków polśniewały mosiądze, jak oczy w sen zapadające.

Cisza pełna drażniących, dziwnych drgań niemych i błysków konających obmotała te nieskończone szeregi sal szerokich i czarnych, tę złowrogą gąszcz maszyn, mrowiących się w gasnących brzaskach.

Kroki rozlegały się głuchem, trwożnem echem.

Niekiedy gdzieś w jakiemś oknie, oślepłem od kurzów, zabrzęczały muchy, szarpiące się w pajęczynach, niekiedy zadźwięczał krótki przejmujący szczęk, jakby ziewnięcie usypiającego potworu, a niekiedy znów podnosił się jakiś szmer cichy, bełkotliwy, niby echa pracy niedawnej i płynął z sali do sali, przenikał maszyny, błądził pod sufitami, aż chwiały się długie przędze pajęczyn i obwisłe pasy zadrgały na chwilę.

A on szedł coraz wolniej i ciężej wśród tych pustek martwych, zasypywanych więdnącemi blaskami dnia jakby pyłem marznących wodospadów.

Sale już zwolna pogrążyły się w ciemnościach, że w mrokach, wznoszących się popielnym tumanem, i w tych ślepnących brzaskach zachodu wszystko przybierało kontury halucynacji, wszystko zdawało się być zatopionem na jakieś dno snów, rojącem się od zjaw straszliwych i majaków rzeczy niepojętych.

Jakieś groźne, nieuchwytne zarysy kołysały się w cieniach, jakieś stalowe, lśniące ręce prężyły się ze zmroków i trwały zastygłe w skurczu bolesnym; jakieś złe, okrutne uśmiechy pełzały wskróś ciemności, a jakieś potwory nieokreślone zdały się czaić pod ścianami, to dziwne, stalowe pajęczyny skrzyły się rosą ostatnich blasków.

Ale on szedł niepowstrzymanie, przedzierając się wskróś cieniów, zarysów i majaków, milczącem stadem zalegających mu drogę, szedł coś szepcąc głębią swej duszy do tych myśli swoich, zakutych w więzy ciał żelaznych, do tych tajemniczych bytów znieruchomiałych w milczących skrętach i jakby niecierpliwie oczekujących na rozkaz jego woli ożywczej.

Przechodził z piętra na piętro, z sali do sali w rozmodlonem milczeniu zgrozy, jakby przechodził alejami cmentarzysk. Twarz mu krwią nabrzmiewała, a stare, wypełzłe, nieubłagane oczy lśniły zastygłemi łzami, niekiedy zatrzymywał się przed maszynami, obejmując je gorącem, prawie miłosnem spojrzeniem, a czasami dotykał dłonią lśniących tłoków i z bezmiernie żałosną pieszczotą szeptał cicho:

— Powrócą! Odpocznijcie! Wrócą!

I odchodził prędko, wstydząc się tego rozrzewnienia.

Służący szedł za nim i co chwila huczały ciężkie, żelazne drzwi, jakby zapadające na wieki płyty grobowe.

Dzień już dogasał, gdy wrócił do powozu.

— Fabryka zamknięta? — spytał nagle służącego.

Ten w milczeniu wskazał na wielki papier, bielejący na murze: „Fabryka zamknięta na czas nieograniczony".

Głosiły czarne, olbrzymie litery tej klepsydry.

Przeczytał kilka razy i skinął na woźnicę.

Powóz potoczył się cicho szeroką, kamienną drogą, przecinającą kolonję domów robotniczych.

Majowy, ciepły zmierzch niósł chłodnawe powiewy pól dalekich. Już gdzie niegdzie w oknach wybłyskiwały światła, a pod ścianami i na drodze stały całe gromady ludzi żywo rozmawiających, niekiedy cichy, stłumiony śmiech zadźwięczał, pod jakiemś drzewem grała harmonijka i stado oberwanych dzieci tańczyło z krzykiem wśród tumanów węglowego pyłu.

Ale skoro ukazał się jego powóz, urwała się muzyka, dzieci pierzchnęły, jak ptaki spłoszone, zamarły śmiechy, porwały się rozmowy, groźne, ponure milczenie zaległo dokoła.

Przeprowadzały go tylko migoty spojrzeń nienawistnych.

Jakby mroźne tchnienie powiało, tak zlodowacieli w milczeniu, tylko zrzadka rwało się jakieś syczące, twarde słowo i padało na jego siwą, drapieżną głowę.

Stangret zaciął konie, ale go powstrzymał, nakazując jechać jak najpowolniej. Nie uląkł się tej groź-

nej ciszy, ni tych słów wyzywających, wlókł po nich zimnem i tak przeszywającem, władczem spojrzeniem, iż odwracali pobladłe twarze.

— Wrócicie niedługo! Wrócicie! — myślał, rozkazując naraz stangretowi przystanąć; zapragnął się z nimi rozmówić, lecz nim znalazł jakieś łagodne słowa, nim je zdołał wymówić — odeszli śpiesznie lub się odwracali pogardliwie.

Nie próbował już więcej, a stangret ruszył wyciągniętym kłusem, aż tuman kurzu okrył go czarnym obłokiem.

Już wyjeżdżali z obrębu fabryki, gdy przed bramą wjazdową jakiś tłum runął z krzykiem na drogę i rzucił się do niego.

Do otwartego powozu wdzierały się wynędzniałe, wzburzone twarze, a jakieś ręce i jakieś ciała kalekie czepiały się go ze wszystkich stron, krzycząc wniebogłosy.

Strach go ogarnął, porwał się, jakby do ucieczki, ale sto rąk go pochwyciło, sto strasznych spojrzeń i cała burza krzyków zwaliła się na niego huraganem.

Siedział skurczony, zwolna przychodząc do siebie, a ta kohorta żywych trupów, tłum kalek, kupa ludzkich łachmanów, podartych w strzępy przez fabrykę, kłębiąc się dokoła wyły głosami rozpaczy i gróźb lękliwych.

Kobiety wrzeszczały o dzieci okaleczałe, o mężów, o braci, którzy bez nóg, bez rąk, często bez oczów i twarzy czołgali się ku powozowi bezkształtnemi tłumokami ran i nędzy, wlekli się na kulach,

pełzali na rękach i, czepiając się jego nóg i rąk całych, skomleli nieludzkiemi głosami o zmiłowanie.

Uspokoił się prędko i słuchał cierpliwie, rozpatrując uważnie twarze, bardziej rozszlochane.

Wszyscy żądali chleba, nędznego kawałka chleba za całe żywoty swoje, wyssane przez jego fabrykę, za te rany i kalectwa, poniesione dla niego, za tę nędzę i cierpienia.

Cała litanja bolesnych skarg wzniosła się błagalnym krzykiem i padała na niego krwawą rosą człowieczego męczeństwa.

Nagle podniósł rękę, wrzawa przycichła, a on rzekł donośnie:

— Niech wam jeść dadzą tamci, którzy zamknęli fabrykę!

Tłum skamieniał i cofnął się w przerażeniu, jakby przed widmem śmierci, lecz wnet zakołysał się gwałtownie, straszliwy ryk wydarł się ze wszystkich piersi, ulewa rozpaczliwych szlochań spadła na niego, dziesiątki rąk błagalnie się wyciągnęło, setki okaleczałych ciał padło przed nim z przejmującym krzykiem i łkało w pyle, żebrząc o miłosierdzie...

Nie wzruszył się, a czujny stangret krzyknął na konie, iż poniosły z miejsca, tratując, kto stał na drodze.

Grad kamieni posypał się za nim wraz z całym huraganem przekleństw.

Nie obejrzał się nawet, skulił się i siedział z jakimś bolesno-wzgardliwym uśmiechem, a niekiedy bezwiednie wycierał suche, zgorączkowane ręce.

A potem, chociaż już ukryty w głębi swego pałacu, długo jeszcze słyszał ten krzyk rozpłakany, długo jeszcze mrowiły mu się w oczach te straszne postaci, zeżarte przez fabrykę, i wstrząsał nim lodowaty dreszcz zgrozy.

I źle się naraz poczuł w tym pustym, wspaniałym pałacu. Głuchy, dręczący niepokój ściskał mu serce. Nudził go ten królewski przepych mieszkania, drażniły boleśnie światła i te skrzenia złoceń i bronzów. Gniewały go zalęknione twarze służby, przesuwającej się bez szelestu, gniewały ich oczy, trwożliwie oczekujące skinienia. Dławiła go samotność i stawała się ciężarem nie do zniesienia. Wciąż zdawał się czekać na coś, wciąż nasłuchiwał i wciąż wyglądał na miasto.

— Żyje jeszcze, robi!—myślał, topiąc oczy w bladem morzu świateł. Szary rozlew domów, przesycony łunami, nakryty nocą, majaczył upiornie. Tysiące słońc elektrycznych wisiało w powietrzu, tysiące niedojrzanych gardzieli buchało dymami, a rytm ciężki, od którego drżała ziemia, rytm pracujących fabryk przenikał wszystko i wrzał nieustannie, jak szum morza dalekiego.

Wysunął się niespostrzeżenie na miasto.

Ale jakiś dziwny nastrój unosił się dzisiaj w powietrzu.

Wieczór już był zupełny, gwiazdy wybłyskiwały na ciemnem niebie, powietrze muskało ciepłem i spokój kojący płynął zgóry, z tych głębin nieprzejrzanych, ale na ulicach coś się stawało.

Ruch panował wielki, jak zwykle, latarnie niby szereg szyldwachów o błyszczących, złocistych ka-

skach, prężyły się sztywno wzdłuż ulic, jak zawsze, wystawy sklepów jaśniały światłami, kawiarnie były pełne, tłumy snuły się po trotuarach, tysiące pojazdów krążyło bezustannie, elektryczne tramwaje przelatywały z jednakim świstem. Wszystko napozór było jak zwykle w tej porze dnia, ale wszystko było spowite w ledwie odczutą chmurę posępnych drżeń, oczekiwań, niepokojów.

W twarzach czaił się głuchy jeszcze strach, oczy biegały podejrzliwie, szeptano jakoś trwożnie.

Nie było śmiechów, ni zwykłej, bezmyślnej wrzawy.

Nie było kobiet strojnych.

Nie było dzieci. Jakieś niepochwytne kartki krążyły z rąk do rąk, jakieś tajemnicze znaki padały jakby hasła z ust do ust, a w bramach, w cieniach domów czaiły się jakieś gromadki, rozbiegające się co chwila.

Przed wspaniałemi sklepami, po kawiarniach, po trotuarach, krążyły jakieś dziwne, nigdy tutaj niespotykane twarze, jakieś głowy męczeńskie, jakieś zagadkowe płomienne spojrzenia i lodowate, okrutne uśmiechy.

Nie mógł tego pojąć, ale poczuł, że się coś poczyna.

I nie mógł się od nikogo dowiedzieć, bo jacyś spotkani znajomi wymówili się, że o niczem nie wiedzą i śpiesznie odeszli, a inni, spostrzegłszy go zdala, przechodzili na drugą stronę ulicy.

Objaśnił go dopiero jakiś człowiek, wyglądający przez okno.

— Chcesz pan wiedzieć, co się dzieje? — zdziwił się niezmiernie. — Chyba pan obcy, z jakiegoś kraju dalekiego?...

— Tak, tak... przyjechałem dzisiaj i nic nie wiem...

— A tu już wróble świergocą, że będą wyrzynali fabrykantów i bogaczów, odbierali im bogactwa i dzielili między wszystkich... He! he... nażywali się dobrego, to niechże teraz i biedny posmakuje trochę...

Siwy człowiek wyprężył się nagle i rzekł szorstko:

— Głupiś, mój stary!

I nie pytał już więcej nikogo, ale później, siedząc w jakiejś wielkiej kawiarni, ukryty za płachtą gazety, ciekawie nasłuchiwał rozmów, krążących dokoła. Nie były ciekawe, lecz mimo to, same głosy i widok twarzy sprawiały mu głęboką przyjemność, budząc zarazem nagłą i żrącą tęsknotę za ludźmi, że z radością byłby się do nich przysiadł i mówił o byle czem, byle tylko ta ciepła fala życia ogarnęła go i porwała za sobą. Zapomniał o sobie, był tylko nieukojoną tęsknotą człowieczą i starczą samotnością.

Podniósł się, aby się przysiąść do ludzi i poznano go natychmiast.

Cisza się stała kłopotliwa, wielu porwało się z miejsc i, kłaniając się uniżenie, odchodziło, a wielu przenosiło się śpiesznie do dalszych pokojów... uciekano jak od zarazy...

Został samotny, jak zawsze i wszędzie, otoczony pustką i tym nimbem przeklętym jakiejś zgrozy i strachu.

Wyszedł natychmiast z dumnie podniesioną głową i powlókł się ciężko i apatycznie ku domowi.

Już w nim pogasły te skry uczuć niespodzianie rozżarzone, a lodowata obojętność znowu okuła mu serce w pancerz nieprzełamany.

Mimo znużenia i szalonej chęci odpoczynku, szedł coraz wolniej jakiemiś bocznemi, krętemi zaułkami, aby tylko jak najpóźniej znaleźć się w swoim pałacu.

A tam już czekali na niego niecierpliwie. W olbrzymim gabinecie czekali dyrektorzy jego fabryk, inżynierowie, szefowie oddziałów, agenci; czekały na biurku depesze i stosy listów; czekały również ważne wiadomości.

Wszyscy się już tak niepokoili o niego, że służba rozbiegła się za nim po mieście, szukano go usilnie.

Gdy się zjawił, rzucili się ku niemu, odgarnął ich jakimś władczym ruchem, skinął głową i przeszedł do swoich apartamentów.

Nie chciał dzisiaj wiedzieć o niczem i z nikim mówić.

Błagano go o słówko rozmowy w nadzwyczajnie ważnych sprawach. Rozgniewał się i krzyknął przez drzwi:

— Jutro rano w kantorze, jak zwykle.

I położył się natychmiast spać, zapomniawszy o wszystkiem.

Obudził się bardzo rano, jak zwykle, przed samą piątą, i jak zwykle drzemał jeszcze, oczekując zwykłych sygnałów fabryki.

Dzień się już roztaczał jasny, przez zielone, jedwabne story wdzierał się różany poranek, ptaki ćwier-

kały za oknem, a szum gałęzi pieszczotliwie szemrał w ogrodzie.

Zaczęła bić piąta, głos zachrypły, jakby od nocnego chłodu, wołał z wieży zrdzawiałemi dźwiękami.

Uniósł się nieco w oczekiwaniu — zaraz, natychmiast powinny się były wydrzeć z ciszy pierzaste, krzykliwe świsty gwizdawek, wołające do pracy.

Ale fabryka milczała.

Już ostatnie uderzenie zegara rozsypało się w ciszy, a fabryka nie dawała znaku życia, nie przebudziła się jeszcze.

Zerwał się do telefonu. Nikt się nie odezwał na jego wołania.

Zadzwonił z całych sił, gorączkowo.

— Dowiedz się, czemu nie dają sygnałów. Już po piątej...

— Przecież... fabryka zamknięta... — jąkał służący.

Zwalił się na poduszki, przypomnienie uderzyło go jakby obuchem.

Pamiętał już teraz doskonale i rozważał szczegóły, zarazem nasłuchując i bezwiednie czekając na sygnały miasta.

Znał je wszystkie, rozróżniał świsty każdej fabryki, wiedział, która woła, znał turkoty każdego rodzaju wozów, znał odgłosy kroków robotników, pędzących do pracy, rozumiał każdy głos miasta, jak uderzenia własnego serca.

Ale i miasto milczało.

Wybiło wpół do szóstej, wybiła potem szósta i ani jeden świst nie rozdarł powietrza, ni jeden turkot

nie rozległ się na ulicach, ni jeden ruch pracy nie zadrgał w powietrzu.

Puszyste, mgławe tumany przysłaniały całe miasto, gdzie niegdzie lśniły się w słońcu szyby i majaczyły kominy w błękitnawem powietrzu, niby las potężnych sosen o wierzchołkach zrąbanych, chwiał się pod wodą przejrzystą i rozdrganą.

— Wszystkie fabryki zamknięte! — meldował zalękniony służący.

— A teraz zaczną rżnąć i rabować! Rozumiem już wszystko, rozumiem! — wołał, gorączkowo biegając po pokoju.

Służący zaszlochał cicho, ukrywszy głowę w portjerze.

Siwy człowiek przystanął nagle przed oknem, chwycił się za głowę i z przerażeniem wtopił nieprzytomne oczy w puste, złowrogo milczące ulice, jakby w rozwarte gardziele potwora...

Nie słyszał nawet, że otaczał go gwarny, zgorączkowany tłum tych, którzy pozostali jeszcze przy nim. Co chwila ktoś nowy przybiegał z miasta, co chwila nowa, straszna wieść się roznosiła, co chwila podnosił się skłębiony huragan przerażonych głosów.

Wszyscy byli bezradni i przerażeni.

A siwy człowiek wciąż patrzył w puste ulice, jakby w paszczęki najeżone głodnemi kłami, jakby w przepaści, w które wszystko musi runąć za chwilę.

Wreszcie odwrócił się od okna, chciał coś powiedzieć, ale się zatoczył nagle, jak pijany, i ciężko, bezwładnie zwalił się na podłogę...

II.

Dopiero po wielu, wielu tygodniach, podniósł się z łóżka i natychmiast pobiegł do fabryki: obejrzał mury, obszedł wszystkie sale, przepatrzył wszystkie maszyny, długo wsłuchiwał się w dawno ostygłe kotłownie, próbował poruszyć ordzewiałemi tłokami, chciał pchnąć w ruch olbrzymie koła rozpędowe, szarpał bezsilnie obwisłemi transmisjami, szeptał jakieś błagalne słowa próśb, a niekiedy, biegając jak oszalały po pustych salach, krzyczał w straszliwym gniewie, kopał maszyny i rozbijał, co mu wpadło pod ręce, to przycichał nagle, stawał zmartwiały i z obłąkańczym uśmiechem powtarzał cicho:

— Moja fabryka umarła!... Ona umarła! Umarła.

I klękał w omroczonych, cichych salach już zasnuwanych pajęczą przędzą i, jakby na grobach istot najdroższych, zaczynał mówić jakieś pacierze, nieprzytomne, krwawe słowa wyrywane z głębin serca, z tajni rozbitej świadomości, brzmiały w ciszy straszną litanją beznadziejnego żalu i skargi, jak płacz sierot zbłąkanych na cmentarzysku,

Musiano go zanieść zpowrotem do pałacu.

Ale nazajutrz obudził się o piątej rano, przeczekał trwożnie tę chwilę, w której powinny się były rozlegać świsty jego fabryki, a potem wstał, jak dawniej, i jakby wrócił do dawnego, normalnego życia.

Całe dnie przesiadywał w kantorze fabrycznym.

Całe dnie wpatrywał się w miasto i, jak zegar, automatycznie i bezmyślnie, podnosił co pewien czas zaciśniętą pięść i szeptał:

— Moja fabryka umarła, ale i ty zdechniesz!

A niekiedy brał służącego za rękę i, wskazując mu na miasto, mówił z głęboką radością — z uśmiechem szczęścia mówił:

— Patrz, ono już kona... i musi umrzeć... musi...

A miasto istotnie leżało, jakby w przedśmiertnej gorączce.

Najpierwej stanęły wszystkie fabryki.

Zdrętwiały wszystkie maszyny.

Pogasły elektryczne słońca.

Oślepły wszystkie ulice.

Nagły paraliż tknął ruch wszelaki, a grobowe milczenie zwaliło się na przerażone miasto.

A później zaczęły się rwać wszystkie wiązadła życia.

I wszystkich ludzi ogarnęło jakby szaleństwo.

Miasto przemówiło głosem huraganów.

Życie wzburzyło się do dna, rozwalało prawieczne pęta i, oszalałe własną potęgą, szamotało się wśród gromów, błyskawic i śmierci.

Burza się rozpętała nad światem, orkan się zerwał i w swój wir straszliwy porywał ludzi i rzeczy, kłębił się, miotał, miażdżył i zabite rozsiewał po ziemi wiecznie głodnej.

Zaczął się stawać na jawie przerażający sen apokalipsy.

A siwy, obłąkany człowiek już codziennie widział z okien swojego kantoru długie gardziele ulic, rojące się rozszalałemi tłumami, czerwone płachty, jak krwawe ptaki wznosiły się nad niemi, a śpiew bojowy huczał bezustannie zwycięskim hymnem.

Siwy, obłąkany człowiek już codziennie widział w ulicach nieubłagany bój rozpętanych żywiołów.

I widział, jak budziły się krzywdy odwieczne.

Jak wypełzały z nor krwawe zemsty.

I otwierały się rany niezagojone.

I płynęły strumienie gorzkich łez.

I skarżyły się ciche, nieutulone żale.

A wszystkie nędze człowiecze podniosły głos buntu.

Wszystkie szaleństwa zawyły.

Wszystkie zbrodnie wyszły na żer.

I widział, jak skłębione, oszalałe, niby potworne wężowiska runęły na siebie, zwarły się śmiertelnym uściskiem i przewalały z dzikim skowytem nienawiści wśród gromów, błyskawic i śmierci.

Świat zadygotał w posadach.

Dnie już ślepły od krwawych oparów, a ciepłe, letnie noce, zaropiałe mgłami łez jęczały konającemi głosami.

Siwy, obłąkany człowiek już codziennie widział konanie miasta; w lepkich od krwi kanałach ulic miotały się huragany; stawały się mordy, wrzały bitwy mordercze, wybuchały szaleństwa.

Już codziennie, jak monotonna litanja, biły do nieba jęki mordowanych, wściekłe wrzaski, gruchoty karta-

czownic, karabinowe trzaski i głuche, posępne bicie żelaznych cepów, jakby przy straszliwym omłocie ludzkiego nasienia; już codziennie wśród ulewy kul, sypiących się śmiertelnem ziarnem, wśród zawieruchy płaczów, wśród huków walących się domów, wśród syków pożog głęboki, wstrząsający bas dział huczał bezustannie, a bił wolno, śpiewał uroczyście, ciężko, żałobnie, jakby ostatniem podzwonnem dla rozpadającego się miasta.

A miasto jeszcze wciąż szamotało się w śmiertelnej gorączce.

Wszystko dawne marło, rozsypując się w struchlały pył, a nowe, poczynane wśród łez i męki, niewidne było jeszcze oczom śmiertelnym, dalekie sercom tęskniącym, nieznane nikomu.

Archanioł zagłady powiewał czarną płachtą śmierci nad światem i szedł w triumfalnym pochodzie, szedł wskroś ziem pomarłych, wskroś murów pomarłych, wskroś pomarłych tysięcy — jako ten żniwiarz nieśmiertelny.

Umierało wszystko, ale fabryki jeszcze żyły; tylko te potwory, oblegające miasto stadem głodnych bestyj czaiły się w złowrogiem milczeniu. Wznosiły się, jak ołtarze Molocha, cierpliwie oczekującego na zwycięzców. U ich stóp, w błocie krwi i łez wrzały walki śmiertelne, mrowiło się oszalałe plemię ludzkie, a one zdały się pławić z rozkoszą odrętwiałe cielska w jękach i krwi.

Umierano o panowanie nad niemi, a one czekały niewzruszenie na nowych niewolników i nowe, pokorne ofiary.

Ale nikt tego nie widział, tylko siwy, obłąkany człowiek wychylał się z okien swojego kantoru i krzyczał niekiedy:

— Moja fabryka umarła! to i wy zdechniecie! Wszyscy! Wszyscy!

I błogosławił zniszczeniu całą mocą oszalałej nienawiści.

Siedział w tem oknie, jak samo nieubłagane przeznaczenie, a jego przyczajone oczy krążyły nad miastem niby wygłodzone sępy, oczekujące na żer trupi.

I obojętnie, jak przeznaczenie, patrzył w noce, które były rozpaczą.

I widział ranki, które dygotały przerażeniem.

I widział dnie, które były przekleństwem.

I widział zmierzchy, które były płaczem tylko i męką śmiertelną.

Ale miasto jeszcze walczyło.

Opasane splotami dział, ludzi i bagnetów, zasypywane ulewą żelaza, rozdzierane czerepami bomb i granatów, tratowane przez stada zdziczałego żołdactwa, miażdżone z dział niby młotami, palone żywcem i zabijane tysiąckrotnie—szamotało się rozszalałe, broniło się jak osaczone stado wilków, zabijało z każdego okna; każde drzwi zionęły śmiercią, każdy dach siał zniszczeniem, każdy dom kąsał, każda ulica darła kłami zemsty nieubłaganej, i szła krwawą, nadludzkich poświęceń pracą, do śmierci bohaterskiej.

Bo już przychodziły dnie znużeń, że milknęły działa, milknęły ryki, nawet konający przycichali, a w odrętwiałych z wyczerpania ulicach, wśród posęp-

nego milczenia toczył się cichy, pijany zemstą bój; pierś z piersią, dom z domem, gniew z nienawiścią, rozpacz ze wzgardą, walczono, jak we śnie obłąkanym na dnie jednej, wspólnej mogiły, że tylko niekiedy wyrywał się dziki kwik, niekiedy rzężenia ostatnie, a niekiedy tylko zgrzyt stali, suchy trzask wystrzału i głuchy odgłos padającego trupa...

I noce się już stawały podobne halucynacjom, noce ślepe, głuche i trupie, tragiczne noce pobojowisk.

W jesiennych deszczach, smagających niby stalowemi biczami, w przegniłych ciemnościach, niby z dna grobu, przywalonego czarną płytą nieba, żarzyły się krwawe łuny pożarów, tryskały złociste fontanny płomieni i huczały ciężkie jęki rozwalających się domów, a z zapłakanych przestrzeni, z rumowisk, z nocy płynął wraz z wichrami niemilknący szmer szlochań, krzyków i boleści.

I tak szły dnie, tak szły tygodnie i tak przechodziły miesiące.

Tak stawały się rzeczy straszne i nadchodziły niepojęte.

Niewiadome rodziło się wśród łez i męki człowieczej.

A stary, obłąkany człowiek niestrudzenie patrzył na bój tytaniczny, na śmiertelną kośbę śmierci i czekał nieubłaganie.

I fabryki czekały.

Aż pewnego dnia listopadowego, pewnego dnia, który był jakby zgrzęzami piekła, szaleństwa i grozy; pewnego dnia, który się wydawał ostatnim już ginącego świata, miasto zaśpiewało tragiczny hymn zwycięstwa...

I widział znowu wypełzłe, zadeszczone dnie, jak wskroś rumowisk, zgliszcz i trupów niepogrzebanych ciągnęły nieskończone procesje, pijane triumfem.

I widział płachty, maczane w niezastygłych jeszcze kałużach krwi, powiewające krwawo w szarych, omglonych ulicach.

I słyszał ten hymn zwycięstwa, co rwał się z serc jakby huraganem szczęścia i wolności.

Miasto oszalało, upite zwycięstwem.

Przeciągały nieskończone, bohaterskie korowody, pełne ran jeszcze krwią ociekających, szły hufy niezwyciężonych, szły kohorty półludzi, półtrupów, szli konający i marli z okrzykiem szczęścia, szli wszyscy, którzy pracowali na ten dzień wielki, wypełzali z nor, czołgali się z pobojowisk, z wiecznych ciemnic poniżenia się wynosili, a pobrzękując poszarpanemi kajdanami ciągnęli z pieśnią triumfu, z krzykiem niezmożonej potęgi, płynęli jak fale przypływu, wstające z głębin niezbadaną mocą przeznaczeń, i jak fale huczały burzliwie, chlustając w lądy dalekie i nieznane.

Że już wszystkie dnie stawały się niebosiężnemi pieśniami.

Że wszystkie noce leżały pijane weselem.

Miasto zwyciężyło.

I wszystko runęło w proch przed jego potęgą niezwyciężoną.

A stary, obłąkany człowiek wciąż patrzył z okien swego kantoru, patrzył, jak przeznaczenie i czekał.

. . . . . .

Aż przyszły te nowe, te wyśnione dnie.

Wyniosły się z ruin, z krwi ofiarnej, z trupów, z największych marzeń i oto stawały się przed jego nieubłaganemi oczami.

Przechodziły nieskończonym korowodem bladych, omylonych cieni, a tak samo, jak te dawne, pomarłe, jak te przeklęte dnie, łez pełne, jęków pełne, i nędzy bytowania pełne, i skargą człowieczą brzemienne, i jak te pomarłe, męczarnią dusz smutne, i nieutuloną tęsknotą płaczące...

. . . . . .

A wlokły się ciężko, jak wdowy rozszlochane wskroś posępnych ciszy cmentarzysk, bo zwycięskie miasto brało już dziką przemoc nad światem i jęło czynić sąd na nieprzyjaciołach.

Zemsta rozsiadła się na trybunałach.

Wagi sprawiedliwości wzięły ręce katów.

Pijana nienawiścią tłuszcza wydawała wyroki.

A na placach, w ulicach, na rozstajach dróg, drzewa szubienic wyrastały straszliwie bujnym lasem.

Zabijano w imię wolności.

Zabijano w imię równości.

Zabijano w imię braterstwa.

Krwawe msze odprawiały się dnie całe — w te nowe, wyśnione dnie, co przechodziły jak wdowy, płaczące wśród trupów rozkołysanych na szubienicach, i wśród radosnych urągowisk zwycięzców, i wśród wyniosłego milczenia wiedzionych na śmierć.

. . . . . .

I tak przeszło dni wiele i miesięcy wiele.

A zwycięskie miasto coraz chciwiej wyciągało drapieżne, ubroczone krwią, bratobójcze ręce i coraz okrutniej brało przemoc nad światem, marząc już o dniu ostatecznego triumfu i panowania, o dniu, w którym wszystką ziemię porwie w żelazne ramiona władzy, obedrze ją z barw i blasków, z marzeń i tęsknot nieśmiertelnych, przywali ją sobą na wieki, zdusi, oplącze nieskończonemi łańcuchami szyn, przemieni całą w jedną fabrykę i w maszynę jedną, a ludzkość niewolniczem stadem powlecze przykutą do rydwanu swojej potęgi niezmiernej.

O tem marzyło już miasto, przy bezustannym skrzypie szubienic, w te nowe, w te wyśnione dnie.

I potężniało wciąż, olbrzymiało, jak ocean, pijany burzą, i jak ocean rozszalały druzgotało lądy oporne, siejąc dokoła śmierć, zniszczenie i strach.

Aż stary, obłąkany człowiek opuścił swoje okno.

Ale nie poznał miasta, było już nowe, obce i przerażające.

Żałosny cmentarz pomarłych dni, pomarłych rzeczy i ludzi pomarłych.

A na rumowiskach wrzało już nowe życie. Kanałami ulic przewalał się chaos żądz i namiętności.

Fale ludzkich zgrzęzów, miotane wichrami nienawiści szumiały złowrogo.

Rozpętane żywioły, jakby strugi roztopionych metalów i błota, wytryskiwały gdzieś ze samego dna człowieczeństwa, płynąc bezustannie, ryły ziemię w straszliwe brózdy, niszcząc wszystko i plugawiąc.

Pijane mordem dnie toczyły się już z zawrotną szybkością.

Stary, obłąkany człowiek snuł się, jak cień trwożny, wskroś tłumów, wskroś zbrodni, wskroś szaleństw, a dokoła niego stawały się rzeczy niepojęte, waliły się bożyszcza, padały świątynie jeszcze niedokończone i wznosiły się nowe bogi, stawały nowe ołtarze, brzmiały nowe hasła, a co było jeszcze wczoraj wielkie — zabijano, co było święte — zabijano, co zdało się być nieśmiertelnem — zabijano.

Miecz równał wszystkich nieubłaganie i spadał nieustannie bez litości, ni miłosierdzia.

A stary, obłąkany człowiek snuł się jak cień wskroś chaosu oszalałej potęgi i nieubłaganemi oczami widział wszystkie grzechy, wszystkie zbrodnie i wszystkie szaleństwa miasta — ale już spostrzegał i jego rany śmiertelne, dotykał się tętnic poszarpanych, czuł zamieranie jego serca, przez które niepostrzeżenie wraz z krwią pomordowanych bohaterów uciekało życie, widział jego duszę, odchodzącą z płaczem żałosnym w nieskończoność.

I szeptał, jak przeznaczenie, bez miłosierdzia, ni litości:

— Umrzesz na wieki! Umrzesz!

III.

Stary, obłąkany człowiek przepadł gdzieś w zawieruchach czasu, jak cień przelatującego ptaka, i jak cień przepadły dnie walk, mordów i nieszczęść, jak

cienie wszystka przeszłość umarła, że nawet imiona bóstw dawnych i mogiły bohaterów pomarły, a pamięć o nich stoczyła się w otchłanie wzgardliwego zapomnienia. Zwycięskie miasto całym ciężarem przemocy zwaliło się na pierś ziemi, niby płyta grobowa, że już pomilkły walki, nie zrywały się bunty, nie było szamotań, ni nawet marzeń nie było.

Katowski miecz wyrównał świat wszystek, wyplenił nieużyteczne, wyciął oporne, wbił w ziemię wyniosłe, a dusze dostojne, dusze o wzlotach w nieśmiertelność śniące, wygnał wzgardliwem szyderstwem biczowań.

Że już się stała na ziemi złota doskonała równia i głęboka cichość bezgranicznej sytości, trupi spokój szczęścia, z którego wyrastała niezwyciężona potęga miasta.

I wznosiło się, jak złoty cud, pyszne, święte, jedyne!

Sto złotych bram wiodło do niego, sto złotych baszt strzelało triumfalnie, sto złotych kopuł błyszczało w słońcu i sto złotych chorągwi szumiało w błękitach, a pod złotemi portykami, na ołtarzu z rubinów, jakby z krwi kiedyś przelanej, wśród kadzielnych dymów, siedział złoty bałwan, przed którym kornie chyliły czoła ociężałe sytością tłumy...

I wszystkie prace, i czucia wszystkie, i myśli wszystkie płynęły nieskończonym hymnem dziękczynień pod jego stopy święte, że pod wyniosłemi kopułami wszystek głos rzesz ludzkich rozbrzmiewał, jakby śpiewem złota przesypywanego nieustannie.

Zwycięskie miasto panowało, jego sztandary szumiały triumfalnie nad światem, jego wola była prawem dla mnogich ludów, jęczących lękliwie w złotych cieniach, jeszcze rosło w bogactwa, w potęgę, w pychę trwania po wiek wieków, ale już śmierć jęła stukać suchemi palcami do jego bram złotych.

Nie usłyszeli tych szmerów złowrogich, bo nabożeństwo plugawej szczęśliwości, święta msza używania odprawiała się bezustannie wśród hymnów zadowoleń, bo każdy był syty, każdy był cnotliwy, każdy był równy, każdy był mądry jednako i pyszny, i podobien drugiemu jednako — więc śmierć coraz silniej stukała suchemi palcami zagłady do złotych, niebosiężnych bram miasta.

Ale zwycięskie miasto było głuche na głosy nie złotem brzękające.

W ciszy, bez troski, ociężałe stado ludzkie gmerało się sennie w bytowania rozkoszach, trwało bez marzeń, bez trwóg, bez śnień, jak robactwo w kupie nawozu. W nieustannej ekstazie szczęścia brali złote komunje życia przed bałwanem, siedzącym na tronie z rubinów, jakby z krwi pomordowanych bohaterów, i trwali triumfujący, panowie wszystkiego złota, wszystkich mądrości władce, i wszystkiej pychy królowie — ale już miasto zaczęło zwolna, niepostrzeżenie konać.

Bo i rzeczy mają swoje straszne agonje i śmierci konieczne.

. . . . . .

Aż pewnego dnia, jakich tysiące przesuwało się niemym korowodem, pod złotemi portykami miasta

zjawił się jakiś cień blady, snuł się wskroś ciżb, wskroś dni majaczył i szeptał:

— Co z nienawiści poczęte — umrzeć musi.

— Co nie pragnie pójść drogami wieczności — w błocie skona.

— O miasto, bądź przeklęte!

Próżni mówił i milczeniu.

Cichy głos nie przedarł się do serc okutych w pychę, ale blady cień snuł się już bezustannie i stawał się zwolna jakby zarysem snów zapomnianych, jakby echem pomarłych, dawnych dni — na miejscach szubienic majaczył, z grobów się wynosił, na krzyżowych drogach dusz wypędzonych stawał i szeptał mocno — jak głos, co do sumień mówi z nieskończoności:

— Co na śmierci budowane — w śmierć wieczną runie.

— Co pychą i kłamstwem wyniesione — hańbą się stanie.

— O miasto, cmentarzysko dusz, bądź przeklęte!

Próżni jeszcze mówił i milczeniu.

Cichy głos nie zbudził dusz, przywartych do ziemi, ale blady cień snuł się bezustannie, widmem już był, cichą, straszną marą o trupiej twarzy i oczach patrzących wskroś rzeczy i ludzi.

Błąkał się samotny wśród tłumów, opitych potęgą i głuchych na krzyk duszy, błąkał się niepoznany, niepragniony przez nikogo i przez nikogo nieczekany, ale mówił coraz potężniejszym głosem!

— O miasto, wampirze świata!

„O miasto, złoty grobie człowieczeństwa!

„O miasto, stolico grzechów!

„O miasto, królu pychy, kłamstwa i zbrodni, córko szatana, kacie dusz, godzina twojej zagłady nadeszła, bądź przeklęte!“

Wołał tak gromowo, aż miasto usłyszało.

Ale śmiano się z tej niezrozumiałej mowy, wielu szydziło z jego bladości, wielu plwało na jego łachmany, wielu odwracało się z nienawiścią, bo jego dziwny głos budził w nich jakieś dawno wypędzone echa, wskrzeszał zabite, wrogie trupiemu spokojowi szczęścia, majaki, a wielu rozgniewanych, że śmie być innym, niźli wszyscy, że nie korzy się przed złotym bałwanem, ujęło go i, okrywszy w płaszcz wzgardy powszechnej, wiodło wśród naigrawań, urągowisk i krzyków.

— Patrzcie! Oto dusza nieśmiertelna!

I zbiczowawszy nienawiścią, oplwanego szyderstwem, wypędzono za złote bramy, wypędzono nieubłaganie i na zawsze.

Ale blady, straszny cień powrócił, błąkał się wciąż, był na każdem miejscu, zjawiał się wszędzie, jak nieodstępny cień duszy każdej, i szeptem sumienia mówił w każdem sercu i patrzył nieubłaganemi oczami wskroś wszystkiego — aż zrozumieli jego mowę cudzoziemską, aż tragicznie bolesnem stało się im to wejrzenie, że niepokój padł na miasto i strach zatargał trzewiami.

Wtedy padły niezwyciężone mury i śmierć weszła triumfalnie!

Runęła nagle duma zwycięzców, głupstwem się stały bogactwa, marnością potęga, niczem rozumy wyniosłe i złudą szczęście, bo w każdej duszy rozparła

się trwoga śmiertelna i była jej towarzyszką jedyną, była jej męką i katem niemiłosiernym.

A blady, smutny cień błąkał się nieustannie wskroś ciżb i rzeczy i wraz z nim szła już nieodstępnie śmierć triumfująca i zbierała swoje żniwo straszliwe.

Zwycięskie miasto stawało się cmentarzyskiem.

Nieskończony korowód mar wynosił się, jakby z grobów dni pomarłych, z dawnych krzywd, z cierpień i łez całych pokoleń, ze szczodrego posiewu nienawiści wyrastał i, ująwszy się za trupie ręce, zawiódł dziki, przerażający tan pod złotemi kopułami miasta, a gdzie tknął wiew ich szat złowrogich, tam szerzył się mór, buchały pożogi, kąsał głód, wyły szaleństwa, szło zniszczenie, a gdzie padły ich trupie spojrzenia, tam rozwalały się mury, marli ludzie i w struchlały pył rozsypywała się wszystka potęga miasta.

Że już dnie stały się niemilknącym jękiem rozpaczy.

Błagalnym, a nadaremnym krzykiem o litość.

I padały w wieczność, jak puste oczy zastygłe w męce.

Aż trupiem, niezgłębionem milczeniem się stały.

Miasto umarło na wieki.

Pod niebem posępnem, w cichości dni nieskończonych, w cichości nocy pełnych niemego migotu światów dalekich, jakby w otchłani niezgłębionego milczenia, leżał trup miasta, wydany na łup czasu i zatraty wiecznej.

. . . . . .

Tylko fabryki stadem głodnych, nienasyconych bydląt, leżały u złotych murów miasta i w ponurem milczeniu czekały na żer.

. . . . . .

Przeszło wiele, wiele lat.

I na umarłem, zapomnianem cmentarzysku potęgi człowieczej, wśród ruin i trupów zetlałych, przesuwały się już nowe, jasne dnie i rozlegał się święty krzyk radosnego życia, jego nieśmiertelna fala biła wskroś próchna rzeczy i ludzi w wieczystym, niepojętym przepływie przemian nieskończonych.

I znowu powróciły wiosny, znowu ożyły puste, stratowane pola, znowu wróciło wygnane życie przyrody i wraz ze słońcem, nieprzyćmiewane dymami, siało po ziemi błogosławiącą dłonią weselne szczęście istnienia, że zaroiły się pustki, ozieleniały ruiny, a lasy, co niegdyś ledwie były dojrzane ze szczytów złotych bram, zbliżały się już coraz bujniejszym kręgiem, szły ze wszystkich stron szumiącą chmurą zieleni, szły rozśpiewane świegotem ptactwa i dyszące upojeniem rostu, okrążały mury, zdobywały zwaliska, wdzierały się triumfalnie w ulice, że już z popękanych bruków chlustały smukłe brzozy w białe gzła przyodziane, już jałowce pełzały rynsztokami, już leszczyny gąszczem zasiadały w cieniu złotych portyków, już sosny wynosiły się dumnie przez potrzaskane zręby, a potężne dęby wżerały się korzeniami w marmury i gdzie niegdzie, przez zapadłe dachy, dzika grusza wychylała o wiośnie okwiecony, woniejący czub, owiany pszczelnym brzękiem.

Że całe to tragiczne cmentarzysko jakby się zapadło na dno niezgłębione, z którego wynosiły się nad rozkołysaną, szumiącą zielenią samotne wieże, kominy fabryk i omszałe, dzikie zsypisko porozwalanych świątyń, gdzie jeno niekiedy pięła się sarna płochliwa, czaił się zwierz dziki, a wysoko, niby nad wichrami skalnemi krążyły orły i wiatry jęczały żałobne, zaś w głębiach ruin, pożeranych przez puszcze, w chaosie złomów i zwalisk, w krętych wąwozach i rozpadlinach ulic pomarłych, nad białemi brzozami, z nieprzebytych gąszczów lśniły strumienie, zmartwychwstałe po wiekach, rwały się gdzieś z rumowisk i z uporem, wśród tysiąca przeszkód, niezmordowanie szukały swych łożysk prawiecznych — druzgotały okowy, ryły się śród kamieni, błądziły po placach i radosnemi kaskadami spadały przez popękane mury w mroczne objęcia lasów i, jak rozpienione srebrzyste hymny miłosne, dzwoniły swoją pieśń wieczystą drzewom, kwiatom, ziemi, światu wszystkiemu, jak niegdyś śpiewały, jak przed wiekami i jak po wiek wieków już śpiewać miały!

Umarłe cmentarzysko miasta, zetlały trup człowieczej potęgi, okrył się królewskim płaszczem puszczy słonecznego waru życia, pełnej szumów, lśnień, kwitnień, cichych poczynań, śpiewu ptaków, miłosnych szałów, bełkotu wód, upajających śmierci i tajemniczych, niezgłębionych szeptów przyrody.

Że przyszedł czas, iż i te fabryki, co wciąż czekały pod murami miasta głodnem stadem bydląt nienasyconych, pomarły na wieki, pożarła je puszcza, rozszarpały drzewa i ziemia wchłonęła zpowrotem.

Ale ponad zwaliskami, ponad puszczą dziką jeszcze wynosiła się dumnie w samotności ostatnia fabryka, trwająca wciąż jakby naprzekór przeznaczeniom, jakby na nieśmiertelną pamięć zła i cierpień czasów pomarłych, jakby niezniszczalne mauzoleum przeklętego miasta.

Dusza obłąkanego człowieka jeszcze w niej żyła, i jego moc, i wola jego.

I trwała jeszcze, ale już ją dosięgały bory, już fabryczne dziedzińce szumiały drzewami, już kolejowe nasypy, pociągi, magazyny były tylko zielonym wałem malin, żółtych janowców i łopianów, już topole z nad ślepego stawu całą hordą wpierały się w okna kantoru, i druzgotały mury, już chmiele i bluszcze pięły się zuchwale po ścianach i tysiącznemi szczelinami wdzierały się do fabryki, a puste, strupieszałe, mroczne sale, niby wnętrza niezliczonych grobów, zionęły trupią stęchlizną i milczeniem stęchłem, w ordzewiałych maszynach gnieździły się ptaki, głębokiemi ranami spękanych murów zaglądały drzewa, przez zapadnięte sufity świeciło słońce, wiewiórki skakały po kołach olbrzymich a wskroś chwastów, pleniących się bujnie na zgniłych podłogach, lis się czasem przeczołgał na łowy, wąż przemknął lub wilk przeszedł na zwiady.

Lecz mimo ran wszystkich i mimo spustoszeń, fabryka jeszcze żyła jakby ostatniem błyskami czucia i jakby jeszcze marzyła o swej potędze, jak marzą starce w długich chwilach konania, bo jeszcze niekiedy, w ciche noce letnie, gdy przycichło życie, i ostatnie ptaki pomilkły, i wszystko grążyło się w słodki sen

odpoczywania, a tylko zbłąkany, bezdomny wiatr, szukający legowisk, zatargał nieostrożnie przegniłemi transmisjami, fabryka jakby podnosiła się z drzemki śmiertelnej i poczynała majaczyć, śniła na jawie, że budzi się w jakiś dawny, umarły poranek, że już tam w piecach olbrzymich, pod kotłami rozpalają ogniska i zwolna przez jej żyły strupieszałe przepływa potężny strumień ciepła i siły, że już prężą się w niej moce dawne, że już na dziedzińcach rozlegają się śpieszne kroki, że już wszystkiemi drzwiami, na wszystkie piętra i do wszystkich sal wchodzą, idą, tłoczą się całe rzesze niewolników, i każdy z nich zapomina o sobie i czeka pokornie — bo zaraz, za chwilę, za mgnienie, wydrze się z gardzieli kominów hasło pracy, i te już sprężone siły krwi, ognia i maszyn zatrzęsą murami i runą w ciszę hymnem wszechpotęgi.

Tak śniła nieprzytomnie ta ostatnia fabryka.

A znowu niekiedy, w długie, bezlitosne noce listopadowe, gdy zimno przeżerało ją do głębi, gdy deszcze przez porozdzierane sufity zacinały lodowatemi biczami, gdy zły wicher odzierał resztki dachów, gdy nawet drzewa, strachem obłąkane, szamotały się z wichurą, a wysoko, nad nocą straszną i puszczą rozkrzyczaną, w czarnych otchłaniach, migotały roziskrzone gwiazdy, fabryka budziła się jakby w śmiertelnej gorączce przerażenia i trzęsła się w dzikiej trwodze, aż pękały mury i rozwalały się z jękiem maszyny, bo w zgniłych mrokach poczynały majaczyć widma okrutnych przypomnień, mrowiły się cichą, groźną gęstwą straszliwych mar, wypełzały z jej wnętrza, z tajni najgłębszych wynosiły

*

się na jawę i gryzły jej duszę strachem obłędnym, jak gryzie mordercę pamięć jego ofiar i zbrodni.

Oto wlekły się skrwawione widma ludzi przez nią pozabijanych.

Oto kłębiły się wyschnięte, zielonawe mary głodów.

Oto szły nieskończonym szeregiem choroby, kalectwa i zbrodnie.

Oto przesuwały się całe pokolenia nieszczęsne, całe wieki krzywd i nędzy, całe światy przez nią pożarte, szły w tumanach krwi, spętane gorzkiemi łańcuchami łez, szły milczące, straszne, nieprzeliczone. Przechodziły i powracały jakby skute na zawsze więzami przeznaczenia do źródła swoich nieszczęść i zbrodni, kołowały bezustannie wskroś ciemnic i gruzów, wskroś maszyn i sal, jak myśl szamocąca się w obłędnem kole, jak żal nieutulony, jak wieczna skarga, i jak przekleństwo.

Dopiero świt poranny rozpraszał gorączkowe mary i fabryka zapadała w długi, śmiertelny letarg.

Że już była tylko męką i, konając z nieopowiedzianych tęsknot do spoczynku, do powrotu w ciche łono pramatki, do radosnego szczęścia rozpłynięcia się we wszystkiem, trwała jednak, okuta w niezniszczalne okowy myśli ludzkiej, w niewolę bytu rzucona na wieki, aż po kres przeznaczenia.

I przepływały przez nią lata jak stada ptactwa, niewiadomo skąd i gdzie lecące, jak fale bijące nieustannie o brzegi lądów nigdy niepoznanych, a ona trwała samotnie niby skamieniałe przekleństwo pomarłych wieków.

Aż przyszły nowe czasy, że w tem królestwie zapomnienia pojawili się znowu ludzie.

Fabryka wyżartemi ślepiami okien, wpatrzonych w wielką pustkę, dojrzała znowu białe domy, dojrzała, jak bór się rozstępował, a wykwitały szumiące zbożami pola, jak dymy biły w niebo i światła błyskały, dojrzała wreszcie i ludzi.

— Powrócą do mnie! Powrócą!—zdała się marzyć całą męką pragnienia.

Ale nie przyszli, omijali ją zdala i trwożnie, że tylko niekiedy w wiośniane dnie i w słodkie, rozwonione noce słyszała ich pieśni dziwne i obce... Nie dawne pieśni mordu, krwi, zniszczenia, ale jakieś nowe, upajające pieśni miłości, śpiewane przez chór dusz na cześć najsłodszej z ludzkich radości—radości istnienia.

Czekała na nich nadaremnie i musiała patrzeć, jak na cmentarzysku hańby, w krąg jej szatańskiego ołtarza, krzewiło się nowe, czyste życie.

Życie bez przemocy, bez fałszu, bez zbrodni.

Życie mądre i sprawiedliwe.

Święte życie dusz nieśmiertelnych i do wieczności dążących.

Ale fabryka musiała trwać samotnie aż po kres przeznaczenia, ze zgrozą omijana przez nowe plemię ludzkie, musiała trwać jako jedyny pomnik tych zapomnianych i okropnych czasów ludzkiego dzieciństwa, szatańskich czasów panowania niesprawiedliwości, egoizmu, złota i przemocy, jako haniebna pamięć przeklętego miasta.

Paryż, 20 października 1906 r.

ZABIŁEM!

— Czy to robota majchrem, na cicho?

W odpowiedzi, Jędruś pokazał mu długi, wąski sztylet z szeroką rękojeścią, stal zamigotała kąśliwem ostrzem, niby błyskawica.

— Bykowiby serca namacał... wystarczy połowa... — szepnął Michał.

Jędruś uśmiechnął się dziwnie, nóż wpuścił w kieszeń na piersiach, wyjął z kuferka harmonijkę, przysiadł na łóżku pod ścianą i grać zaczął. — Zdawał się być zupełnie spokojny i cały zatopiony w muzyce, głowę pochylił nad miechami, z lubością nasłuchując dźwięków.

Sztajer rozległ się brzękliwą strugą po ciasnej izdebce poddasza i zakręcał tanecznym, rozkołysanym wirem, aż dzieci, siedzące na podłodze, zaczęły klaskać, podrygiwać i śpiewająco wołać:

— „Kosiu, kosiu w rączki, pojedziem na łączki“ „Kosiu, kosiu w łapki, pojedziem do babki...“

A z klatki zawieszonej w oknie kos zagwizdał.

Michał wychylił głowę z za niskiej zasłony, oddzielającej ich barłogi od reszty izby i ze szczególną ciekawością przyglądał się przyjacielowi.

— Mleczak, z pannami chodzi do kościoła, w knajpie nie postoi, sztamy z nikim nie trzyma i do majchra się bierze! No, no... — mruczał półgłosem.

Ale Jędruś nie dosłyszał, jakby o całym świecie zapomniawszy, kołysał się korpusem, głową przytakiwał, nogą bił do wtóru i grał zapamiętale. Dziewczynka zaczęła się kręcić w miejscu, jak wrzeciono, a chłopiec przybałykował do niego i, czepiając się łóżka, to jego kolan, chciał powstać na pogięte, rachityczne nożęta i padał co chwila, ale, dosłyszawszy kosa, który się już rozgwizdał na dobre, poczołgał się ku niemu, bełkocąc radośnie:

— Ptapta... piu, piu... Cacy ptapta...

Michał, już zniecierpliwiony muzyką, odezwał się wyzywająco:

— Chwata udajesz, a serce ci w pięty zagląda...

— I... nic, myślę tylko, jakby to zrobić na fest, bez poprawki! — odparł, podnosząc głowę; niebieskie oczy strzeliły mu stalowym błyskiem.

— Poradzę ci! — podszedł i szeptał mu do ucha: — Zajdź mu od mordy, dopuść go zbliska i niby to przypadkiem natknij się na niego, a dopiero wtedy wal go w bebech z całej siły... pod włos... trzaśnie ci pod ręką, jakbyś majchrem bęben przebił...

— Majster z ciebie! — rzekł, wzdrygając się nieco.

— Niech ci Bolek powie, nieraz widział mnie przy robocie... — Wyprostował się dumnie, tocząc zawadjacko oczami.

— To już między wami zgoda?

— Dawno! Zrachował mi nożem żebra, ja mu potem wypuściłem trochę kiszek i jużeśmy teraz na kwit, w przyjaźni...

— Trzy miesiące szpitala, tyle bólu i teraz w przyjaźni?

— Frajer, dlatego właśnie sztamę z nim trzymam, za psa miałbym tego, coby mi nie chciał oddać. Uderzysz, dostaniesz, wyliżesz się i masz czyste sumienie. Nie jestem przecież zbójem! — zawołał wyniośle.

— Możesz ty jeszcze paść na takiego, że...

— Że mnie od ręki przyrychtuje do trumny! Mała strata, krótki żal, nikt po mnie nie zapłacze, ale pókim żyw, nie pozwolę nikomu grać sobie na nosie i ze strachu przed majstrami nie przystanę do socjalistów, jak Felek... Nie głupim, wolę ciężką robotę przez cały tydzień, a wesołą zabawę po fercentagu, niźli Pawiaka i nahajki...

— Za sprawę go przecież schowali...

— Pociecha! kiedy mu i tak mordę przefasonowali kolbami, że go rodzona matka poznać nie mogła. Wyklina teraz tych, co go wciągnęli. — Jędruś odwrócił głowę, coś pilnie majstrując koło klawiszów. Michał roześmiał się domyślnie i, uderzając go w ramię, spytał przyjacielsko:

— Czy to za pannę Józię chcesz płacić?

Jędruś poczerwieniał, ale zaprzeczył stanowczo.

— A może to ten lancuś cylindrowy, co za matką książki nosi do kościoła?

— Przecież to kawaler Mani...

— Pysk ma, że tylko walić! Nie lubię takiej facjaty! Któryż to?... Nie powiesz, dobra, twoja sprawa, dowiem się potem, ale pamiętaj, com ci radził: rżnij zbliska i pod włos! Kiedy myślisz?...

— Kiedy się zdarzy okazja...

— A nie uciekaj potem jak głupi, każdy frajer zaraz buch w nogi, prosto w pazury salcesonów... Uderzysz i odchodź, jakby nigdy nic, przystawaj nawet i dopiero, kiedy się zrobi wrzask, drałuj... Daj mi harmonijki, obiecałem węglarce, chrzciny dzisiaj wyprawia, przyjdź, będzie niezgorsza wyżera...

— Przyjdę, muszę tylko zaczekać na Ignacową, żeby dzieci zabrała...

— Mamra! — Zaśmiał się pogardliwie, wykręcił wąsiki przed lusterkiem, nasadził kapelusz, kosowi zanucił piosenkę, wyhuśtał chłopca aż pod sufit, dziewczynkę wyłechtał, że śmiechem się zaniosła, i wziąwszy instrument pod pachę, wybiegł, pogwizdując.

— Michał! — zawołał za nim Jędruś — a uważaj na harmonijkę, lewem skrzydłem rób ostrożnie, bo tam się już skóra przeciera i dolne łapki wylatują!

Cicho się stało w izdebce, dzieci bawiły się pod kominem, wygrzebując karaluchy, a Jędruś, przysiadłszy pod oknem, wodził niewidzącemi oczami po facjatach, otaczających całe podwórze.

Dzień był szary i dziwnie smutny, listopadowy dzień, nad spiętrzonemi dachami, nad czarnemi pniami kominów wisiało szare, puste niebo, okna błyszczały, niby oczy zaledwie z łez obeschłe, ze środka podwórza trzaskał kasztan pokręconemi, czarnemi gałęziami, resztki liści trzęsły się rudemi łachmanami, jakieś dzieci goniły się z wrzaskiem po mokrym, zabłoconym bruku; pies szczekał w bramie, turkotały gdzieś wozy, a niekiedy bił głuchy, bełkotliwy szum ulic niewidzialnych

i nuda niedzielnego dnia wlokła się po świecie i senną, rozziewaną cichością przepełniała poddasze.

— Klowa! — zakrzyczał naraz chłopiec, bałykając za uciekającym karaluchem.

Jędruś ocknął się z zamyślenia i szepnął pobłażliwie.

— Frajer, myśli, że tu o pannę Józię chodzi... Niech sobie tak myśli, bezpieczniej dla mnie, nie wie, to się nie wygada — rozważał.

Znieruchomiał znowu, przed oczami stanęła mu ta niedawna scena, tam na Solcu... Sześciu ich ciągnęło, a że na niego padł los... zrobi święcie... zabije, jak psa... nie zawaha się... taki drań... tylu ludzi wydał... giną po więzieniach... a i Felek, też pewnie przez niego siedzi... Musi być kara na takich... musi... Myślał i tysiące szczegółów, twarze przebranych towarzyszów, tajemne schadzki, zebrania po różnych norach, rozlepianie proklamacyj nocami, mowy, wspólne czytania, ucieczki przed pościgiem — cała treść ostatnich paru miesięcy, tłumnym a zgiełkliwym strumieniem przewijała mu się przez mózg.

— Zapłacę za wszystkich!—Zerwał się rozogniony, ręka już znowu chwyciła za nóż i przysiadł nagle, twarz mu się dziwnie skurczyła, oczy zapadły w głąb, serce zamarło, i dzikie, szalone przerażenie ścisnęło za gardło... ale tylko na chwilę, na jedno mgnienie, bo się błyskawicznie otrząsnął z tego, twarz mu zagrała uniesieniem, oczy rozgorzały, a święty, bojowy płomień zawrzał w piersiach.

— Ano, to podyndam!... Lepsi ode mnie się nie zlękli... przecież to za sprawę... za wolność... za wszystkich...—szeptał ze drżeniem uniesienia i zapału, i znowu owładnął nim dziwny spokój, spokój bez troski, głębokiej wiary i nieustraszoności.

— Zabiję go, mnie powieszą i będziemy na kwit!— zaśmiał się takim radosnym, szerokim śmiechem, że dzieci się przysunęły.

— Hajty! Hajty! — napraszał się chłopiec, chwytając go za but, a dziewczynka zaczęła mu paluszkami przygładzać wzburzone włosy...

Nie bronił się i chłopaka kołysał na nodze.

— Hop, hop, hop, jedzie chłop... A tak pan, a tak pan! — przyśpiewywał, podrzucając go wysoko, a potem dziewczyna, ściągnąwszy brata na ziemię, kazała sobie poczesać włosy i zapleść niebieską wstążeczkę, „jak ma Frania maglarki“. Zrobił i to, ale już miał dosyć, bo krzyknął:

— Siedźcie cicho, bębny, zaraz przyjdę.

Owładnęła nim szalona chęć, aby zobaczyć znajomych, aby polecieć na miasto i skąpać się we wrzawie i ruchu, wystroił się śpiesznie i już przed drzwiami stanął bezradnie, jak skamieniały.

— Gdzie iść? Do kogo? Przecież nie będę się włóczył po ulicach, jak pies! — myślał z przykrością niezmierną. — Dopiero trzecia, do ósmej strasznie daleko. — Bezwiednie pomacał kieszeń, nóż był na swojem miejscu... Przypomnienie zimną błyskawicą przewinęło się przez serce.

— A zbliska wal... trzaśnie jak bęben — zabrzmiały Michałowe rady tak głośno, że się trwożnie rozglądał.

Sam był w pokoju. Dzieci bawiły się pod oknem, szum miasta huczał monotonnie, niekiedy zabrzęczały szyby, dym z papierosów snuł się niebieskawą przędzą pod niskim sufitem, a w rogu, przed złocistym obrazem Częstochowskiej tliła się lampa.

Rozdział się z palta i znowu siadł, dzieci go zaraz obległy z wrzaskiem.

— Dajcie mi spokój; Mańka, nie właź na łóżko!— krzyknął ze złością, zabierając się do czytania jakiejś książeczki, ale ją wnet rzucił. Nudziło go wszystko i wstawała w nim jakaś głucha, bezprzyczynowa tęsknota, latał głośnemi krokami po stancji, nie mając się tu niczego przyczepić...

— Żeby cię choroba!—zaklął sam na siebie i poleciał do sąsiadów, ale, jakby na złość, wszystkie drzwi były pozamykane, tylko z ostatniej facjatki rozlegał się stuk młotka i wrzaski bachorów. Mieszkał tam znajomy Żyd, szewc, wszedł więc do niego bez namysłu.

— Widzę, pilna robota?—rzucił, przysiadając obok.

— Jak pan rewirowy przysyła do zelowania, musi być pilno. Sza! sza! — zawołał na kopę dzieci, bębniących łyżkami w pusty, blaszany rondel.

— Podobno syn pisał z Ameryki? — zapytał, aby coś powiedzieć.

— Pisał! Pan wie, on przyśle szyfkarty... i może za miesiąc wszyscy pojedziemy do niego! Pojedziemy!—dodał przeciągle, z błogością.

— Dobrze mu idzie?

— Dobrze! — uśmiechnął się pobłażliwie. — Jemu tam, jak w raju! Przysłał swoją fotografję, synowa ją wzięła dla krewnych, zobaczy pan, jak on tam ubrany... ma surdut, co tak na oko wart ze trzydzieści rubli... cały jaśnie pan, nie taki kapcan, jak my wszyscy! nie...

Jędruś uśmiechnął się ironicznie.

— Pan się śmiać nie potrzebuje, panie Kowalski! Prawdę mówię, on na tydzień więcej zarabia, niż my na cały rok! Jemu jest bardzo dobrze, w Ameryce jest wszystkim bardzo dobrze! To tylko u nas tak ciężko człowiekowi. Komu jest u nas dobrze? Może panu jest dobrze? Może pani Ignacowej jest dobrze? Panie Kowalski, komu jest z nas dobrze? — wołał krzykliwie, coraz mocniej tłukąc młotkiem w skórę.

— Bogaczom jest dobrze, nie pasą się to naszą krwią?...

— Takie słowo to jest ten wiatr, panie Kowalski. Pan Bóg im poszczęścił i dorobili się, ja nie o nich mówiłem.

— Naszą krzywdą się dorobili!—rzekł nienawistnie.

— To jest bardzo ładne słowo, ale to nieprawda! Przecież każdy człowiek chciałby być bogaczem! Czy panbyś nie chciał mieć kamienicę, zdrowe dzieci i ładną żonę, co?

Jędruś milczał, przypomniały mu się marzenia o Józi i założeniu własnego warsztatu.

— Panie Kowalski, wszyscy chcą jednego—upewniał z mocą Żyd.

Jędruś powstał, zbrakło mu już ochoty do rozmowy i szedł ku drzwiom.

— Może mi pan przeczyta, nie umiem po waszemu... synowa gdzieś znalazła... — prosił, podając zadrukowaną kartę.

Był to numer „Robotnika“ z jakimś programowym artykułem.

Jędrek się zarumienił i, odwróciwszy nieco twarz, czytał głośno, Żyd wsparł się na łokciu i słuchał z uwagą, ale po ustach wił mu się lekceważący uśmiech.

— Pan myśli, że będzie tak na świecie? — spytał, wpijając się w niego przyczajonemi oczami.

Jędruś zapomniał o ostrożnościach, poniosło go z miejsca, że jął, po swojemu, gorąco rozpowiadać o szczęśliwości przyszłego ustroju. Unosił się, wybuchał i gorzał taką wiarą serdeczną i zapałem, aż Żyd cmokał, ale mu przerwał dość ironicznie:

— Kto się tego doczeka, niech mu będzie na zdrowie. Obiecywali mi jeszcze lepsze rzeczy, a jak mi wnuczki chorowały, to nikt z takich nie chciał mi pożyczyć rubla... Ja panu co powiem, panie Kowalski...

Ale Jędruś splunął i wyszedł bez słowa.

— Burżuj, psiakrew! — Zły był na siebie, że się zdradził przed Żydem.

Ignacowa już była w mieszkaniu, obdzielała właśnie dzieci piernikiem.

— Dobrą pracę miała pani dzisiaj?

— Na psa taki dzień. Pół rubla utargowałam, może byłabym sprzedała wszystkie, ale jakiś wisielec

potrącił mnie i wszystkie kwiaty poszły w rynsztok! — wyrzekła, wskazując na zabłocone papierowe róże, czerwieniące się w koszu. — Towar już na nic, ale sprałam go, że przez ruski miesiąc nie zapomni! Ale jak pan gdzie spotka mojego, to niech przyjdzie po nas na Rybaki, do ciotki. Zaprosiła nas na wieczór, a że to chrzestna Mani, może jej da na jaką sukienczynę. Bogaczka przecież, mają dwie dorożki. Szukałam go przed hotelem, tam, gdzie zawsze stoi, ale mi kolegi jego powiedziały, że z kursem poleciał na Mokotów...

Słuchał tylko piąte przez dziesiąte, ubierając się do wyjścia.

— Późno pan wróci? Klucz będzie gdzie zawsze...

— Bo ja wiem, może... — szepnął, śpiesznie wychodząc na schody. — Może nigdy! Może nigdy... — pomyślał już na dole i nagle zachciało mu się powrócić do mieszkania i obejrzeć raz jeszcze wszystkie kąty, ucałować dzieci, pożegnać się z Ignacową, posiedzieć tam między niemi... po raz ostatni może... ale się nie dał mazgajstwu, zapalił papierosa i ruszył ostro przez podwórze.

Krótko stał przed domem, namyślając się, gdzie iść, bo zwyciężyło wspomnienie panny Józi. Przecież każdy człowiek musi mieć gdzie pójść w niedzielę... A tam, na Świętojańskiej było tak przyjemnie, tak cicho i tak dziwnie słodko... Czasem, kiedy przyniósł karmelków, panna Józia spojrzała tak znacząco, że jakby mu rozżarzonych węgli nasypał w serce, a czasem tak ścisnęła za rękę... Całe miesiące wspominał z błogością o tem szczęściu. Kosa kupił dla niej od Ignaca i wyu-

czył go gwizdać walca, chciał go zanieść dopiero na imieniny... Tylko matka nie była mu rada, dogryzając przy każdej sposobności.

— Mieszka kątem u posłańca i o porządną pannę się stara, smoluch jeden — zwierzyła się kiedyś przed Michałem.

Wiedział o tem, ale, nie zważając na jej przycinki, przychodził w niedziele. Starać się jeszcze nie starał o pannę Józię, marzył tylko o tem niekiedy, ale strasznie lubił posiedzieć u nich wieczorem i zagrać pannom na harmonijce. Był sierotą, nie miał nikogo na świecie, więc ten dom rajem mu był po zadymionej fabryce, ogrodem kwietnym po izdebce u Ignaców.

— Z pół godziny posiedzę — usprawiedliwiał się teraz przed sobą. — Może już tam nigdy nie pójdę... nigdy... — szepnął smutnie.

Dziwna żałość ścisnęła mu serce.

— Żeby ją tylko jeszcze zastać!—myślał, biegnąc z Bednarskiej ku Zygmuntowi, ale co raz obejrzał się trwożnie, przeleciał kilkanaście kroków i po raz drugi się obejrzał, wreszcie przystanął pod Bernardynami i długo, badawczo patrzał na dom, gdzie mieszkał tamten... skazany.

Dom stał po drugiej stronie Krakowskiego, ogromny, pyszny, jak bogacz, połyskujący szeregiem wielkich wystaw. Nie mógł oderwać oczu od okien drugiego piętra, bo mu się zdawało, że z za firanek wyziera ta twarz nienawidzona.

— Pod włos i z całej siły! — mruknął, czyniąc ten ruch bezwiednie.

*

Stał długo. Miasto kipiało niedzielną wrzawą, trotuary były pełne, dorożki pędziły, jak oszalałe, dzwonki tramwajów nieustannie brzęczały, a w powietrzu huczał szum pomieszanych odgłosów. Zmierzch już się taił po bramach i przysłaniał domy w niebieskawe woale, gdzie niegdzie wybłyskiwały wystawy sklepów.

Oderwał się wreszcie i prawie pędem poleciał na Świętojańską.

Mieszkały nawprost katedry, w wąziutkim domu, strzelającym pod niebo. Przyjęli go, jak zawsze: panny życzliwie, a matka dosyć kwaśno. Józia sztafirowała się przed lusterkiem.

— Cóż tam nowego na świecie? — spytała stara, chodząc po pokoju z kubkiem herbaty w ręku.

Bąknął ni to ni owo. Roześmiała się cicho i rzekła drwiąco:

— Pański gospodarz cały dzień gania z wywieszonym ozorem po ludziach, to mógłby naznosić wiadomości.

— Pewnie, alem nie ciekawy—odparł dość ostro.

— Przyniósł pan harmonijkę? — ozwał się głos z za zielonego parawanu, rozdzielającego pokój na dwie połowy.

— Michałowi pożyczyłem na dzisiaj.

— Szkoda, goście będą u nas wieczorem, myślałam, że pan zagra.

— Obejdzie się żydowskie wesele bez marcepanów! — syknęła stara, oglądając Józię ze wszystkich stron. — Mańka, spaskudziłaś stanik, worki wiszą pod

pachami. Zobacz-no, jak to wygląda, w baskinie spuchnięta jakby była w ósmym miesiącu...

— To niech mama poprawi! Panie Jędruś. proszę siąść w oknie, a nie oglądać się na pokój. Niech się mama prędko ubiera! — rozkazywała Mańka.

Usiadł, jak mu rozkazano i patrzył w okno na strzelistą wieżę katedry, słysząc za sobą szelesty nadziewanych sukienek, szurganie bucików, wyciąganych z pod łóżka, trzaski szuflad i szybkie tupoty Mańki, która, biegając ciągle, wybuchała co chwila śmiechem, lub podsuwając się cichutko, przejeżdżała mu mokrem piórem po twarzy.

— Panno Maniu, bo złapię!—wołał, rozbawiony, i nie odwracając się, sięgał poza siebie rękami.

— Niech pan siedzi spokojnie, bo oczy zawiążę, albo fora ze dwora!

— Już ani się ruszę, ale co to za facety przyjdą wieczorem?

— Niech panu Józia powie!

— Kawaler przyjdzie! Ma dystrybucję na Żelaznej! — objaśniła matka z za parawanu, wśród parskań i chlupotu wody.

— To panna Mania już swojego puściła do luftu?

— Pan się wyraża jak... szewc!—zahuczała stara.— Pan Jan przyprowadził go we czwartek. Świetna partja i Józi też się podobał.

— Bardzo szykowny facet! — szepnęła Józia.

— Celender ma, pachnie trochę karbolem i bransoletkę nosi na ręku!... — przekpiwała się Mańka, nie zważając na matczyne znaki. — Z cukierkami przyszedł,

pachniały śledziem, ale się zjadło... Siedział cały wieczór i zjadł rozmaitości za całą złotówkę... Mówił, że go swatają z panną, co ma dom na Woli... że ma brata księdza... że na przyszłe gospodarstwo kupił dwa materace na licytacji, ale już wywietrzone, i, że Józia byłaby w sam raz dobra za ladę do jego interesu...

— Mańka, nie pleć głupstw! — zgromiła ją Józia.

Przycichło na chwilę, Jędrusiowi ścisnęło się serce boleśnie i łzy stanęły w oczach, przychylił się, by je nieznacznie obetrzeć, gdy naraz Józia, niby to wychylając się spojrzeć przez okno, wsparła się piersiami na jego ramieniu i, przyciskając głowę do jego twarzy, szepnęła:

— Niech pan nic nie wierzy! Już pełno ludzi przed kościołem — dodała głośno.

Wstrząsnął się, chciał coś powiedzieć, już jej nie było.

— Mamuniu, prędko, bo pójdziemy świece gasić, dzwonią!

Jakoż uderzyły dzwony katedralne, tak nagle, rozgłośnie i bujnie, że stado gołębi wzbiło się ponad wieżę, kołując wysoko, niby garść białych piór, wichurą uniesionych; a potem u Augustjanów zadzwoniły rozdrganym, gorącym basem; a potem od Pijarów wytrysnęły spiżowe dźwięki, jak struga ognia, jak dym niebosiężny; a potem, gdzieś zdala, od Paulinów, płynęły wolno szerokie, rozkołysane, wołające dźwięki; a wkońcu, już ledwie dosłyszalne, jak klangor żórawi, płynących gdzieś w bezkresach, płynęły dzwonne śpiewania od Krakowskiego Przedmieścia.

Szyby cicho brzęczały, pokój się napełnił spiżowym świergotem i zdawał się cały kołysać zwolna i dzwonić echami, aż duszę przejmował bolesno-słodki, rytmiczny spazm rozkoszy, szarpiącej nerwami.

Panny już były gotowe, tylko matka jeszcze marudziła, że biegały koło niej, jak frygi.

Jędruś zwolniony od przymusowego niewidzenia, pożerał teraz oczami pannę Józię, tak śliczną mu się dzisiaj wydała; była szczupła w pasie i gibka, a poruszając się, robiła biodrami, stanik ledwie mógł opiąć jej strome piersi, czerwone usta grały w bladej twarzy, poznaczonej delikatnemi piegami, jak brzoskwinia, jasne rzęsy przysłaniały szafirowe oczy złotawym cieniem—tak wciąż chodził za nią rozkochanemi spojrzeniami, aż Mańka zaczęła się śmiać.

— Wytrzeszcza pan oczy, jak kot na piasku... To Józia, nie poznaje pan?... Na nieszpory idziemy, nie do ślubu... Niech pan w ścianę nie włazi...

Uśmiechał się na kpiny, ale kiedy wychodzili, ogarnął tem samem rozkochanem spojrzeniem pokój i wszystkie sprzęty, żegnał je żałosnem westchnieniem, jakby po raz ostatni...

W kościele nie było tłoku, więc przecisnął się wraz z niemi do ławek, kobiety siadły a on stanął zboku za Józią.

Nieszpory już się rozpoczęły, mrok zalewał wysokie nawy, świece płonęły w mrocznych kaplicach, nad wielkim ołtarzem mgliły się senne wizje witrażów, organy brzmiały cichą modlitwą, czasem podnosił się chór głosów i wiał górą, pod sklepieniami, jak rozpła-

kany śpiew zabłąkanych w strasznym lesie, czasem szmery modlitw trzepały się w ciszy, niby deszcz rzęsisty po liściach, ale Jędruś nic nie słyszał, patrzył tylko w Józiną głowę, pochyloną nad książką. a myślami krążył gdzieś daleko.

W lata dziecinne leciał, na zapomniane mogiły ojców, do jakichś dni minionych... że wkońcu zapomniał, gdzie jest, aż oplątany w złotą sieć świateł, dźwięków i modlitw, opadł znużony w siebie i zmartwiał.

Organy grały tak cicho i monotonnie, że spać mu się zachciało, ziewał ukradkiem, przecierając trwożnie oczy, bo z głębi naw wynosił się przed nim ten biały, ogromny dom... a przez okna drugiego piętra wyglądała ta twarz złowrogo uśmiechnięta... że mu już sama ręka szukała noża, ukrytego na piersiach, a dreszcz wstrząsał.

Muzyka ucichła i oprzytomniał, skończyły się nieszpory, fala ludzka wyniosła go przed kościół. Już tam na nich czekali ci zaproszeni na wieczór. Józia spłonęła, witając się bardzo serdecznie z tym dryblasem. Mańka pytlowała ze swoim, wybuchając co chwila śmiechem, aż się ludzie oglądali. Stara zaś bardzo uroczyście zapraszała na kawę. Tylko Jędruś szedł samotnie, nieco za niemi, nikt się bowiem do niego nie odzywał, ani go nie poznajomił z tym nowym. Wlókł się zgryziony, obiegając chmurnemi oczami rywala.

Wszedł za niemi do sieni, ale wstrzymał się przy schodach, bo go nikt nie zapraszał... Czekał, że może go zawołają, że może narazie zapomnieli... ale na

schodach, coraz wyżej rozlegały się wesołe głosy dziewczyn... śmiech Mańki... i skrzyp stopni... może nawet nie zauważyli, że się zapodział...

Drzwi się otwarły do mieszkania...

Wytężył słuch, serce mu zamarło w oczekiwaniu... zamknęły się z trzaskiem.

Ogarnęła go cisza i jakby grobowy kamień przywalił duszę.

Zapomnieli o nim!

Jeszcze z ulicy spojrzał na okna, właśnie rozbłyskiwały światłem, westchnął ciężko i poszedł.

Przemógł się, ale poczuł, że mu się stała straszna krzywda, i że mu duszę zalewają gorzkie łzy żalu i bezsilnej wściekłości.

— Pies z wami tańcował, mordy jedne! — zaklął z nienawiścią.

Zegary biły szóstą, kiedy się znalazł pod Zygmuntem, ciemno już było, zapalone latarnie rozbiegały się na wszystkie strony węzłowatemi sznurami świateł, wieczór szedł cichy i ciepły, ostatnie liście leciały na trotuary, zapchane ludźmi. Szedł ostro środkiem trotuaru, brutalnie rozpychając świątecznie postrojone gromady, że niejedna groźna obelga leciała za nim.

— Stawiasz się? Chcesz w mordę? — wrzeszczał niekiedy, wysuwając pięści.

Odsuwali się trwożnie, groźby milkły, bo miał w oczach pioruny i rozsrożona, blada twarz grała mu nienawiścią. Przystawał często, nic o tem nie wiedząc, ale zwolna, nieubłaganie zbliżał się do tego domu...

Długo stał przed jakąś wystawą, gdy ktoś mu szepnął:

— Nie odwracaj się... pilnuj... może wyjść lada chwila...

Pochylił się ku szybie, znał ten głos i wiedział, co znaczą te słowa. Uspokoił się zupełnie i jakby zakrzepł na kamień, ta zbliżająca się chwila owładnęła nim teraz niepodzielnie.

Przygarbił się nieco, ręce głęboko wsadził w kieszenie i przepatrując z nadzwyczajną uwagą twarze spotykane, wlókł się leniwie, jak człowiek, któremu się nigdzie nie śpieszy, ale wymijając ten dom, obleciał go błyskawicowem i niby aparat fotograficzny, niezawodnem spojrzeniem: stróż drzemał pod bramą, wielka sień była oświetlona i w głębi podwórza majaczyły jakieś drzewa.

— Za widno, zpowrotem możnaby się natknąć na strupla!—zdecydował.

O parę domów dalej był sklep galanteryjny, za wielką szybą wystawy leżały stosy kołnierzyków, koszul i krawatów, przyjrzał się każdemu przedmiotowi zosobna i, nic nie spostrzegając, zawrócił.

Szedł spokojnie a bacznie do najbliższej ulicy poprzecznej, przyglądał się policjantowi, stojącemu na rogu i znowu powracał. Wiele razy, prawie już automatycznie tak spacerował, nie tracąc z oczów ani na chwilę pustej sieni. Przemykał się pod ścianami, jak głodny wilk, czatujący na zdobycz, gotowy w każdej chwili do skoku, nie czując trwogi żadnej, ni niepokoju.

Czyhał z napiętą i wysiloną aż do bólu uwagą, a rozmyślał o figlach dzieci Ignaców i o kosie, że zaczął zcicha pogwizdywać walca, którego go uczył.

Z powodu niedzieli większość sklepów była zamknięta, na szerokim trotuarze leżał mrok, tylko gdzie niegdzie przecięty smugami świateł, bijących z wystaw; przechodził je, nawet nie zauważywszy, ale czerwony brzask, padający z okien apteki, od wielkiego szklanego naczynia, napełnionego jakąś krwawą cieczą, sprawił mu dziwną przykrość, zdawał się lśnić plamą żywej krwi, że omijał ją z niejasną, głuchą trwogą.

Noc już widniała nad miastem, niebo szaro-złotawe od łun, bijących zdołu, obtulało wysokie, posępne domy, ale ulica wciąż była gwarna i tłumna; spacerujące gromady krzyżowały się wśród nieustającej wrzawy, niekiedy buchały szerokie, głośne śmiechy, albo wytrysnął rozbawiony chichot panieński. Podnosiły się nawoływania i czasem płacz dziecinny zakwilił żałośnie. Uliczne dziewczyny, postrojone jaskrawo, zaglądały w oczy mężczyznom i, jak motyle różnobarwne, migotały wśród czarnych mrowisk niedzielnej publiczności. Drewniane bruki dudniły głucho pod kopytami, turkotały dorożki, dzwoniły tramwaje, a szmer tysięcy kroków i rozmów huczał, jak morze dalekie, że chwiały się od niego światła latarń, stojących, niby szyldwachy, w niestrudzonym szeregu.

Pod jakąś bramą stróż przygrywał zcicha na fleciku, a w jakiejś sieni mrocznej stała para, trzymając się za ręce; miejscami, z nad sklepów wybłyskiwały złote litery napisów. Czasami znów drzewa na trotua-

rach zaszumiały, lub przechodził człowiek z pudłem, uwieszonem na szyi i wołał monotonnie:

— Cygara! Papierosy! Zapałki!

Jędruś widział to wszystko, słyszał i zapominał zaraz doszczętnie, ale coraz więcej interesował go stójkowy, bo raz, zawracając się od rogu, jakby posłyszał za sobą jego ciężkie, miarowe stąpania. Wstrząsnął się nerwowo, ale głowy nie odwrócił, przystając najspokojniej przed wystawą z bielizną. Wspaniały krawat czerwony w zielone pasy rzucił mu się w oczy, patrzał na niego z głęboką przyjemnością.

— Chodź pan do mnie!

Przestraszył się tego głosu, jakaś dziewczyna stała obok z wabiącym uśmiechem na dziwnie czerwonych ustach. Odsunął się od niej bez słowa i ruszył w swoją stronę, ale po paru minutach zobaczył ją, idącą z jakimś starym. Sam nie wiedział dlaczego, choć zaczepiała go już dzisiaj niejedna, tylko tę poznał zdaleka i poszedł za nią bezwiednie, aż na róg ulicy.

Stójkowy coś patrzał pod latarnią, więc się powstrzymał i zawrócił dość śpiesznie.

Siódma już biła.

Czas płynął mu strasznie wolno.

Całą godzinę czekał, a tamten się jeszcze nie pokazał. Chwilami już myślał, że może przeoczył i nie spostrzegł... Wprawdzie okna drugiego piętra wciąż były oświetlone, ale jeśli mu się niepostrzeżenie wymknął...

— Całą noc będę czekał i doczekam się! — postanowił zawzięcie, choć czuł się już znużonym, go-

rączka go rozbierała i nie mógł się powstrzymać od wewnętrznego dygotu, ale ani na mgnienie nie powstało w nim wahanie, ni lęk przed tym strasznym zamysłem. Nie myślał nawet o tem, tylko czekał na każdą chwilę nadchodzącą... na chwilę ciosu. Parę razy spostrzegł towarzysza, czuwającego zdaleka, porozumiewali się oczami i rozchodzili... Minuty już mu się zaczęły wydawać wiekami.

— Kupię sobie ten krawat zaraz po fercentagu!— rozmyślał, stając znowu przed wystawą.

— Chodź pan do mnie! — prosiła cicho ta sama dziewczyna, nie poznając go widocznie. Zobaczył teraz, że była dosyć młoda i ładna, o bujnych, jasnych włosach i mocno piegowatej twarzy.

— Daleko mieszkasz? — spytał, zezując nieustannie na bramę.

— Na Piwnej, stąd parę kroków. — Przysunęła się bliżej.

Naraz poruszył się niecierpliwie, dojrzawszy stróża wstającego.

— Chodź pan, panie śliczny — mizdrzyła się, biorąc go za rękę.

Jakiś przechodzień zagwizdał przeciągle.

— Odczep się! — odepchnął ją gwałtownie, że zaklęła, odsunął się w cień i pędem poleciał na drugą stronę ulicy, przystając naprzeciwko bramy... w głębi sieni ukazało się parę osób, wysoki, tęgi mężczyzna, kobieta i dwoje małych dzieci.

— Nareszcie! — prawie krzyknął z radości, ale taka straszna niemoc ogarnęła go na chwilę, że mu-

siał się oprzeć o latarnię, ręce mu latały i ten wewnętrzny dygot jeszcze się wzmagał i trząsł nim jak w febrze; ale mimo to w zupełności panował nad sobą, przypatrując się chciwemi oczami, jak ci ludzie wychodzili przed bramę... mężczyzna mówił coś ze stróżem i, zapaliwszy cygaro, ujął żonę pod ramię... dzieci ruszyły nieco naprzód...

Jak cień szedł z niemi równolegle, nie spuszczając z nich wzroku, lecz po chwili skoczył gwałtownie naprzód, roztrącając przechodniów, przewinął się między dorożkami i, zakreślając łuk, zabiegł im drogę o kilka domów naprzód. Na trotuarze już było znacznie mniej osób, natknął się znowu na tą samą dziewczynę, ale jej nie zauważył.

Posuwał się wolno, próbując rozglądać przechodniów, nawet jakimś kobietom w twarze zajrzał, lecz same oczy niosły się bezwiednie do tamtych i ich tylko widziały... szli środkiem chodnika... widział ich przez luki, tworzące się między ludźmi a może i wskroś wszystkich... on palił cygaro... kobieta zwieszała mu się ciężko u ramienia, wypinając wielki brzuch... dzieci szły przed niemi; dwie dziewczynki; mniejsza przyciskała do piersi obu rączkami białego, sztucznego pieska.

Jędruś wyprostował się, zaczerpując oddechu i szedł jeszcze wolniej... byli już tylko o kilkanaście kroków... dojrzał ogień cygara... parę osób go przedzielało... jego twarz czerwona mignęła pod latarnią... Przygiął się nieco, jakby do skoku... rękę trzymał na rękojeści... już byli prawie przed nim, o parę kroków

zaledwie... dosłyszał jego głos... serce mu się zatłukło, ale cały był jedną nieubłaganą wolą, wszystko mu znikło z czucia i pamięci...

Jeszcze byli o jakie pięć kroków... wyminęły go dziewczynki rozszczebiotane... przestał oddychać...

Już ich tylko dzielił ten krwawy brzask, bijący z okien apteki...

Jeszcze ze dwa kroki... zatoczył się nieco.

Jeszcze jeden... i... zderzył się z nim... wyprężył się naraz i, niby to wymijając, ze straszną siłą wbił mu nóż w lewy bok...

Stało się tak błyskawicznie, że przebity ani krzyknął, zachwiał się nieco, rozkrzyżował ręce i runął wtył...

A Jędruś poszedł dalej tym samym cichym, wymierzonym krokiem. Krzyk się podniósł, nie odwrócił się, ale i uciekać nie mógł, nogi mu zdrętwiały.

Ludzie zaczęli się rozbiegać, a jeszcze więcej cisnąć do leżącego na trotuarze, kobiety, nie rozumiejąc, co się stało, usiłowały go podnieść, dziewczynki stały strwożone.

Po chwili jacyś ludzie wnieśli go do apteki.

Jędruś naraz się zatrzymał i wraz z drugimi poszedł na miejsce wypadku, był nieco bledszy, ale tak zupełnie spokojny i przytomny, że spostrzegłszy na chodniku zgubionego pieska, zaniósł go dziewczynce do apteki.

Tamten już konał; na kanapce leżał rozciągnięty z twarzą wykrzywioną i zbladłą na płótno, oczy miał w słup, otwarte szeroko i usta rozchylone w jakimś niemym, straszliwym krzyku, obnażone piersi pławiły

się w krwi krzepnącej, niekiedy chrypiał, grzebiąc nogami i prężył się sztywno. Nie było już ratunku.

Ludzie tłoczyli się bezradnie w ponurem milczeniu, tylko kobieta, podtrzymując mu głowę, wyła wniebogłosy, a dziewczynki zanosiły się żałośnie.

Jędruś, stojąc w ciżbie, przyglądał się konającemu spokojnym, lekko współczującym wzrokiem, jakim się zwykle patrzy na rzeczy obce i przykre. Jakby zupełnie zapomniał, że to on go zabił, że to jego nóż przebił ten bok, z którego płynęła czarna, spieniona krew. Z obojętną ciekawością przyglądał się twarzy konającego, i ani razu nie zabiło mu żywiej serce zgrozą, ni trwogą. Tłoczył się jak drudzy i patrzał jak drudzy, niby na niezwykłe widowisko. Nie zdawał sobie jeszcze sprawy z niczego.

Godziny oczekiwania, powody, cios, wszystkie te chwile dopiero co przeżyte, zapadły się naraz w jakąś głąb niepamięci, jakby ich nigdy nie było. Wzruszał go tylko płacz dzieci, że była chwila, w której chciał je brać na ręce, by przycisnąć i obetrzeć łzy z jasnych rozbolałych twarzyczek, jak to nieraz robił z dziećmi Ignacowej.

Przyjechało Pogotowie i zjawiła się policja, ale stał jakby wrośnięty w ziemię, aż ktoś go przemocą wyciągnął na ulicę.

— Zwarjowałeś! Sam leziesz im w łapy! Zmiataj że teraz!

— A prawda! To już po krzyku... na fest, co?

Nikt mu nie odpowiedział, obejrzał się zdziwiony, towarzysza już przy nim nie było. Zrobiło mu się jakoś

dziwnie, że postawił kołnierz i zapiął się starannie, nóż leżał na swojem miejscu, sprawdził bezwiednie.

Na trotuarze było prawie pusto, tylko gdzie niegdzie czerniały gromadki przechodniów, sklepy już zamykali, w cieniu pod ścianami kłóciły się jakieś dziewczyny, a po sieniach rozlegały się śmiechy służących, kilka dorożek stało pod latarniami, ślepy grajek, ze skrzypcami pod pachą, szedł, macając kijem brzeg chodnika, psy się ganiały przed jakąś bramą, jakby więcej okien świeciło się w domach, które zdały się pochylać i niby patrzeć w pustą ulicę, zegary znowu dzwoniły jakąś godzinę...

Przystanął na rogu, przypatrując się bezmyślnie stójkowemu, gdy ktoś ujął go pod rękę, zmartwiał, ale się nie poruszył.

— Idziemy, panie śliczny?

Roześmiał się wesoło, że dziewczyna przycisnęła się do niego i, paplając, wiodła go ze sobą, ale pod latarniami obiegała jego twarz ukradkowem, dziwnem spojrzeniem.

— Nie widział pan, jak zaszlachtowali jakiegoś człowieka?

— Gdzie? Kogo? — Jakby się nagle zbudził.

— Wzięło go już pogotowie, ale nie dowiezie żywego.

— Widziałem... leżał w aptece... dzieci krzyczały... — wstrząsnął się nerwowo.

— Podobno szpicel... — obejrzała się trwożnie. — Stróż mówił, że we czterech czekali na niego przed bramą...

— Nie zawracaj mi gitary! — wybuchnął gwałtownie.

— Czego się rzuca... Ja pana nie ciągnę, wolna droga! — zakrzyczała obrażona.

Objął ją wpół i, przyciskając mocno, szepnął łagodniej:

— Chodźmy prędzej, bo nie mam czasu.

Poszli już w zgodzie, tylko dziewczyna oglądała się co chwila z jakąś ledwie ukrytą obawą, aż się zapytał:

— O pięty się boisz?

— Nie, nie, tylko mi się zdawało, że ktoś leci za nami. — Znowu się obejrzała.

— Musiał ci jakiś kawaler obiecać lanie, kiedy się tak wiercisz... — żartował.

— Nie mam swojego, sama jestem biedna sierota! — i zajrzała mu w oczy z czułością, podobał się jej ogromnie. — Ale jakby pan chciał, to moglibyśmy się pokochać na dłużej, co?

Cisnęła się do niego namiętnie, lecz tak spojrzał na nią w odpowiedzi, że spuściła głowę i umilkła.

W parę minut byli już na Piwnej, w parterowej, sklepionej izbie. Mieszkały tam we dwie, wprowadzała go po cichu, gdyż u przyjaciółki był gość; na parawanie, osłaniającym łóżko, wisiały różne części męskiej garderoby.

Jędruś siadł przy stoliku i, paląc papierosa, błądził oczami po pokoju, ledwie rozwidnionym przez świecę. Zatęchłą wilgoć czuć było w powietrzu. Uśmiechnął się,

bo z za parawanu rozchodziły się przyciszone szepty i odgłosy pocałunków.

— To dom przechodni? — naraz zapytał.

— Na Świętojańską, wprost kościoła. — Zasłoniła okno chustką i rozciągała parawan koło swojego łóżka.

— Ja cię już gdzieś widziałem? — Przyglądał się jej uważnie.

— Nie pamięta pan? Przed sklepem pana zaczepiłam...

Siadła mu na kolanach.

— A potem widziałam pana na ulicy, nawet parę razy... Miał pan taką twarz, jakby pan czekał na przyjaciela. — Zaśmiała się domyślnie.

— Czekałem na facetkę i nie przyszła, psiakrew — prędko odpowiadał i naraz zaczął się cicho śmiać, ale tak jakoś dziwnie i strasznie, że się odsunęła.

— A to dlatego był pan taki wściekły?

— Jakże, czekałem przeszło godzinę i nie przyszła!... — Zaczął kląć i tak niezręcznie udawał rozgniewanego, że dziewczyna spojrzała podejrzliwie, właśnie i on w tej chwili ogarniał ją badającem, lękliwem spojrzeniem, oczy się im skrzyżowały błyskawicami, cofnęły w głąb i rozbiegły jak wystraszone ptaki, zakasłała się gwałtownie, pilnie strzepując poduszki, a on zadrżał i chciał się unieść jakby do ucieczki, ale nim się poruszył, rzuciła mu się namiętnie na szyję.

— Niech pan zostanie do rana... mój śliczny.... u mnie tak cicho... mój złoty! — prosiła, obsypując go pocałunkami i wtulając się w niego.

Trwogi jego pierzchnęły. Oddawał uściski z niesłychaną gwałtownością, ogarnął go nagły, oślepiający pożar krwi wzburzonej, nieugaszone pragnienie pocałunków, porwał ją jak piórko, rzucił na łóżko i prawie dusił w uściskach.

— Niechże się pan rozbierze! — szepnęła, wyślizgując mu się z rąk.

Z taką gwałtownością rzucił na krzesło palto, że nóż z brzękiem wypadł z kieszeni na podłogę. Odrazu oprzytomniał, ale stał zdrętwiały, dziewczyna się zaśmiała.

— Z majcherkiem facuś spaceruje!—szepnęła niby żartobliwie.

— I... zwyczajny kozik...—odpowiedział tak samo, podnosząc palto z podłogi.

— Niech pan da kopiejek, to przyniosę jakiej wsuwy... Niezdrowo kochać się na głodno, niech też osoba doda i na monopolkę...

— Dobra, mnie się też jeść zachciało! — Już zupełnie odzyskał równowagę, nóż schował na swoje miejsce i dał jej pieniądze; poleciała zaraz.

Cisza go ogarnęła, z za parawana zaczęły się rozlegać miarowe sapania, przeciągał się leniwie, bolały go wszystkie kości, czuł się dziwnie zmęczonym, a prawą ręką przy kostce nie mógł poruszyć bez bólu.

— Masz djable kaftan! Jutro w garści pilnika nie utrzymam — myślał, opuszczając się ciężko na krzesło, paliła go twarz i w oczach czuł piasek, przecierał i ziewał ze znużenia, zapadając co chwila w jakiś dziwny stan; nie spał przecież a skoro jeno

przywarł oczy, zdawało mu się, że jest tam, na ulicy, że znowu czeka... że znowu chodzi... wszystko się przesuwało przed oczami jak w latarni czarodziejskiej, szli ludzie... jaśniały światła,.. podnosiły się głosy.

Zerwał się na nogi, dorożka przejeżdżała z takim hukiem, że wszystkie sprzęty zadygotały, jakby się przebudził, ale poczuł się tak strasznie znużonym i sennym, że rzucił się na łóżko i zasnął momentalnie. W parę minut zbudziła go dziewczyna, a jemu się zdawało, że spał całe godziny — tak poczuł się wyspanym i trzeźwym, jadł też z łapczywością i nie oszczędzał butelki.

Wkrótce przyjaciółka z gościem wyszli, że pozostali tylko sami. Oboje byli już w dobrych humorach i niesłychanie podnieceni, gdy wstawali od stołu. Jędrusiowi kręciło się w głowie, prawie się upił temi paru kieliszkami, śmiał się z byle czego, podśpiewywał i żartował, nie bardzo jednak wiedząc, co się z nim dzieje, gdyż często wśród śmiechu stawał jak słup, rozglądając się dokoła tępym, ogłupiałym wzrokiem.

— Chodźże pan prędzej! — wołała niecierpliwie, tarzając się po łóżku, ze śmiechem odrzuciła kołdrę i leżała naga, nęcąca bezwstydnie i tak olśniewająco biała, że zaczął się śpiesznie rozdziewać, tylko, że ręce miał jakby nieprzytomne, nie mógł znaleźć spinki od kołnierzyka, chciał najpierw ściągać koszulę, to zapinał się na wszystkie guziki.

— A to się moja panienka wstawiła! — zaśmiała się, wyskakując, aby pomóc, ale rozpiąwszy mu kamizelkę, rzuciła się nagle wtył... na koszuli była

krwawa plama... cofnęła się śpiesznie i, okręciwszy się kołdrą, zwinięta w kłębek, patrzała w niego z niedającym się wyrazić trwożnym podziwem i zgrozą... Zrozumiał odrazu wszystko, spostrzegając równocześnie z nią tę plamę; krew musiała aż tam przesiąknąć od noża, zbladł strasznie i rzucił się do łóżka, a pochylając się zwolna nad nią, wbijał oszalałe oczy w jej skamieniałe ze strachu źrenice i pytał cicho, złowrogo:

— Widziałaś, co? Widziałaś!...

Przestała oddychać, krzyk zamarł na otwartych ustach, cisnęła się w pościel przed tą nieubłaganą twarzą, czepiając się rozpaczliwie jego spojrzeń, przebijających niby noże.

Ręką szukał czegoś na piersiach, zęby mu szczękały, a lewa dłoń posuwała się drapieżnie do jej gardła... była już bliską obłędu.

— Co tobie? Co? — wyjąknęła nareszcie jakimś ostatnim odruchem.

To go nieco oprzytomniło, zaczął się gorączkowo ubierać.

— Muszę iść, nie mam czasu, przyjdę kiedy indziej!... — bełkotał, unikając jej oczów, nie śmiała się odezwać, nie odważyła się nawet poruszyć, gdy wychodził.

Stał jakiś czas w ciemnej, pustej sieni, miotały nim ponure myśli.

— Wszystko wie... wyda... może już powiedziała... — Ścisnął rękojeść noża i powrócił do drzwi; były już zamknięte, zakołatał niecierpliwie.

— Otwórz, Rysia! Otwórz, zapomniałem ci dać pieniędzy! — prosił bardzo łagodnie, posłyszał szelest za drzwiami, klucz szczęknął, ale się nie otwarły, nie dała się złudzić obietnicą, poczuła śmierć.

Nie czekając długo, przez wąziutkie podwórko wyszedł na Świętojańską, w sąsiednim zaraz domu mieszkała panna Józia, z przyzwyczajenia spojrzał wgórę, okna czwartego piętra gorzały światłami, aż blask padał na wieżę kościoła. Splunął z jakąś zawistną niechęcią i pobiegł co tchu do domu, na Browarną.

W mieszkaniu nie było nikogo, w sąsiednich facjatach świeciło się jeszcze tu i owdzie, było zaledwie po dziesiątej, brama stała otwarta. Na dole, w parterowych mieszkaniach wszystkie okna błyszczały światłami a od stancji maglarki rozbrzmiewała muzyka i wesoła wrzawa licznych głosów; zabawiali się tam jeszcze.

Przebrał się z pośpiechem, koszulę spalił pod blachą, nóż rzucił na samo dno kuferka pod rzeczy i zaczął się namyślać, co zrobić. Miał ochotę zajrzeć na muzykę, ale mu się prędko odechciało. Zrobił sobie herbaty i, zwolna popijając, patrzał w podwórze, na szeregi jasno oświetlonych okien, prawie bezwiednie zaglądając zgóry do wnętrza różnych mieszkań: u gospodarza pod lampą wiszącą przy stole okrągłym pisał coś chłopiec w mundurku, a jakaś chuda pani z obwiązaną twarzą kładła pasjansa; obok, u sklepikarki, dzieci goniły się po pokoju i pies szczekał; dalej zaś, ktoś czytał gazetę i stara pani siedziała plecami do okna z kotem na kolanach. Podniósł znudzone oczy na okna facjatek, w ostatniej dojrzał przez szyby pochyloną

nad robotą głowę szewca, Żyda, i ciągły ruch jego rąk rozbiegających się szeroko co chwila.

Muzyka coraz huczniej rozlegała się od maglarki.

— Miechy nie wytrzymają! — mruknął żałośnie, wsłuchując się w zawodzące tony harmonijki. Michał zagrał wściekłego oberka, że ściany zadrgały od hołupców, buchnęła wrzawą śmiechów, a po chwili, kiedy przycichło, jakiś głos młody i donośny śpiewał:

„Szeroka woda we Wiśle...
„Powiedz, panienko, swe myśle!"

Piosenka ciągnęła się dość długo, aż się zniecierpliwił:

— Żeby was pokręciło, zepsują mi instrument i spać będą przeszkadzali! — Wsunął się za zasłonę na swój barłóg i zaraz usnął.

. . . . . .

A nazajutrz, w poniedziałek rano, chociaż go ręka jeszcze bolała, jak zwykle, poszedł do fabryki, i, jak zwykle, stanął do ciężkiej, codziennej pracy.

To wszystko wczorajsze jakby się w nim zapadło w najgłębszą przepaść niepamięci. Zabił człowieka i nie czuł ani przez jedną chwilę żadnych wyrzutów sumienia, ani obaw żadnych. Zabił człowieka i nie myślał o tem, jak się nie myśli o jakimś dniu dawnym—był, i przeszedł bez śladu.

A kiedy go podziwiali wtajemniczeni, powiedział zupełnie szczerze:

— Jak będzie jaka nowa robota, to ja zawsze i owszem. Dla sprawy zrobię wszystko. Nie wielka zresztą sztuka, każdy potrafi to samo...

Michał chciał go wybadywać o wczorajsze zamysły.

— Wiesz, pogodziłem się z facetem. Porządny chłop! — skłamał przezornie.

Ale Michał spoglądał niedowierzająco, znał jego cichą zawziętość.

Jeszcze wieczorem tegoż samego dnia gazety rozpisały się szeroko o tem zabójstwie, niektóre z nich już szaty rozdzierały nad zdziczeniem obyczajów, a co wznioślejsze i bardziej wodą święconą skrapiane, roniły ciężkie łzy na grobie zabitego ojca rodziny, szlachetnego obywatela i t. p. derdymały.

Policja poszukiwała mordercy z poczwórną gorliwością i całe miasto mówiło parę dni o tej zbrodni niesłychanej.

Mówiono o tem i w fabryce, przy sąsiednich śrubsztakach i tokarniach. Jędruś z uśmiechem wysłuchiwał różnych bajd o zbrodniarzu, a tak go szczerze bawiło, że nieraz pierwszy rozpoczynał o tem rozmowę—i sam snuł najrozmaitsze przypuszczenia.

Któregoś wieczora, kiedy wracał, maglarka dowodziła w sieni.

— Zabili go ci, co to w Boga nie wierzą! Mój Boże, taki godny człowiek, urzędnik, a należał do bractwa różańcowego u Bernardynów, ja wiem o tem z pewnością...

A Jędruś też wiedział do jakiego bractwa należał tamten, więc tylko mu splunął na wieczne odpoczywanie.

Ale, że i Ignacowa zaraz na wstępie zaczęła trajkotać o tem samem, nie odezwał się ani słowem, a po kolacji zabrał dzieci na swój barłóg, za zasłonę i wystrugiwał im wiatraczek, zaś Mańce, która dzisiaj wciąż popłakiwała, na pocieszenie obiecywał parę razy, że kupi jej takiego białego pieska, który sam skacze.

Przypomniał sobie zabawkę tamtej dziewczynki...

— Czy to pan Jędrzej ogłuchł dzisiaj? — zła już była na niego za milczenie.

— Słucham, a jakże! Niech pani co powie nowego! — odpowiedział ze śmiechem, że Ignacowa zaczęła mamrotać gniewnie:

— Lokatory, psiekrwie, ganiają po świecie, albo śpią, nawet gęby nie ma do kogo otworzyć. Stawia się to, jakby Bóg wie kto.

Zirytował się, zabrał harmonijkę i rzekł już we drzwiach:

— Od pierwszego mogę się wyprowadzić, za swoje dwa ruble dostanę wszędzie mieszkanie, tylko może bez karaluchów i wrzasków...

— Widzisz go! Jaki mi hrabia, już mu karaluchy przeszkadzają! A idź na zbity łeb! — wykrzykiwała za nim, ugodzona w samo serce.

Poszedł do Żyda i grał tam prawie cały wieczór, otoczony kupą bachorów; stary pracował zawzięcie, cmokał niekiedy z przyjemności, bijąc do taktu młotkiem, a gdy Jędruś odchodził, szepnął mu cicho:

— Ja wiem kogo to zabili w niedzielę... Żeby takich wszystkich to samo spotkało... żeby ich...

— Może ich spotka! — Uśmiechnął się i spać poszedł, ale nie zasnął zaraz, jak zwykle; snuły mu się po głowie słowa maglarki, uparcie wracające, a potem przyszła mu na myśl panna Józia, i taką naraz tęsknotą wezbrało mu serce, że, pomimo wszystkiego, postanowił pójść do nich w najbliższą niedzielę.

Ale do niedzieli było jeszcze strasznie daleko, tyle długich dni i nocy!

I dnie wlokły się tak dziwnie wolno, te smutne dnie późnej jesieni, sieroce dnie bez słońca, szare i posępne; wstawały, oprzędzone duszącemi mgłami, cuchnące zgnilizną i błotem, a kładły się rozdygotane z zimna, wśród plusku deszczów.

Nocami wiatry tłukły się po dachach i świstały w pustych ulicach, jęczały drzewa bezlistne, bełkotały rynny, domy stały obmokłe i czarne, a ciężki smutek przenikał wszystkie serca i głucha tęskota szarpała duszami.

A Jędruś liczył dnie niecierpliwie, bo i jego żarła coraz boleśniejsza tęsknota, że już, nie mogąc wytrzymać, poleciał któregoś wieczora na Świętojańską, ale wejść do nich nie śmiał, popatrzył tylko na oświetlone okna, powzdychał i powlókł się do domu.

I z tą nadzieją niedzieli zrywał się codziennie na pierwszy, daleki gwizd, chwytał blaszankę z kawą i jeszcze wpółsenny leciał czarną, długą ulicą ku fabryce, buchającej już dymami i światłem słońc elektrycznych, a gdy rozlegał się drugi gwizdek, już wchodził do swojego oddziału i stawał na posterunku — i zawsze, z jednako dziwnym dreszczem, czekał na

ostatni sygnał — na pierwszy, jakby senny, ruch kół, na pierwsze drgnienie żelaznych kolosów i świszczący trzepot pasów, porywanych rozpędem.

A potem, kiedy maszyny zaczęły pracować na dobre, kiedy cała fabryka gorączkowo się rozdygotała i przez salę jął się przewalać straszliwy łoskot, niby huk morza wzburzonego, uspokajał się i przywierając do roboty, zapominał o sobie i całym świecie.

I tak mu czas przeszedł do soboty południa. Poleciał, jak zwykle, na obiad do Ignacowej, zjadł śpiesznie i zaraz po czapkę sięgał, gdy go zagadnęła płaczliwie:

— Może pan prędzej wróci dzisiaj i ma oko na dzieci, muszę iść na cały wieczór do ciotki, chora, wie pan, ta co ma dorożki, chrzestna Mańki. Może tam na noc zostanę, a mój niewiadomo kiedy powróci.

Obiecał solennie i pobiegł na Krakowskie, przedłużał sobie drogę do fabryki, ale zachciało mu się obejrzeć ten krawat. Wisiał jeszcze na wystawie i wydawał mu się teraz nawet znacznie piękniejszym.

— Wstąpię po niego wieczorem, po wypłacie — postanowił, obiecują się wystroić w niego na jutro do panny Józi.

Mijając ten dom, powlókł bezwiednie oczami po oknach drugiego piętra: były pootwierane; później spojrzał w głąb apteki, na kanapkę, stojącą wprost drzwi, i poszedł spokojnie dalej. Przypomniał sobie tę scenę niedzielną, tak zimno i obojętnie, jak się przypomina jakiś błahy, już wypełzły sen!

Co go to mogło obchodzić? Stało się to przecież dla sprawy...

— Jednego drania mniej! — myślał, wesoło pogwizdując i śpiesznie leciał, by zdążyć jeszcze przed ostatnią gwizdawką, ale jakiś kondukt zagrodził mu drogę przy Św. Krzyżu, gęsty tłum zalegał trotuar i ulicę.

Jędruś obojętnie przyglądał się twarzom i białym komżom księży, trumnę już wynoszono z podziemi, kołysała się ciężko nad odkrytemi głowami, jakiś krzyk rozdarł powietrze i zakwiliły płacze żałosne, ustawili ją na karawanie, pokrywając wieńcami, zaśpiewali księża i cały pochód ruszył. Jędruś poleciał w swoją stronę, ale na rogu Oboźnej zatrzymał się gwałtownie.

— A może to on? — jakby oślepiająca błyskawica mózg mu przeszyła, odwrócił się, pobladły śmiertelnie i spojrzał wylękle: trumna, niby kopiec kwiatów i zieleni, unosiła się nad czarną masą ludzi, ponury śpiew brzmiał ciszej, przygłuszony turkotem dorożek.

— A może... — jęknęło w nim złowrogim tonem i szybko, bez namysłu, rzucił się za pogrzebem. Chciał się przekonać; złota blacha z nazwiskiem już zdaleka błyszczała, ale przegrodził go tak wielki tłum, że nie mógł jej okiem dosięgnąć. Przeszedł na trotuar, aby zajrzeć zboku i zawahał się w ostatniej chwili, lodowaty dreszcz nim wstrząsnął i oczy się przyćmiły, jakby mu nogi coś splątało, powstrzymując na miejscu, uląkł się tego stwierdzenia. Bał się, i miotając się w sobie coraz bardziej i boleśniej, pozostawał za orszakiem coraz dalej, lecz szedł wciąż, ciągnięty nieprzeparcie.

Ta trumna wżerała mu się w oczy, jak ukwiecona, czarna łódź, kołysząca się nad falą głów, płynęła przed nim w szarem, smutnem powietrzu.

Naraz zbliżył się znowu i oblatując wszystkie twarze roztrzęsionem, trwożnem spojrzeniem, dojrzał tuż za karawanem kobietę w czerni i dwoje dzieci; zadrżał, kurcząc się jakby pod ciosem.

— A może to jego?...

Kondukt odsunął się już dość daleko, a on stał jeszcze pod jakimś domem, wstrząsany burzą przerażających myśli — zerwały się w nim, jak orkan i zawyły dzikim, lodowatym strachem. Nie rozumiał, co się z nim dzieje i jeszcze nadaremnie usiłował pojąć; jakby powiekami chciał strząsać bijące w niego pioruny, że tylko ślepł bardziej, pogrążając się w coraz głębszy chaos, w dręczący, niepowstrzymany niczem wir. Myśli mu się rozsypywały, niby suchy piasek z pękniętego czerepu, a serce syciło się zwolna przerażeniem.

I poszedł znowu za pogrzebem, bo iść musiał, jakby przykuty niewytłumaczonym lękiem, bo jakby jakieś ręce straszliwe wysuwały się z tej trumny i ciągnęły go za włosy.

A gdy śpiew księży rozbrzmiał boleśniej, sypiąc się na serca popielnym kurzem dźwięków, Jędruś przytomniał na chwilę, rozglądał się zdumionym wzrokiem, usiłując powiązać pajęcze włókna świadomości:

— Co to za ludzie?...

Ale śpiew przycichł, ludzka ciżba poniosła go ze sobą, a trumna znowu przykuła do siebie, że znowu się pogrążał w męczący sen na jawie.

Dzień był szaro-zielonawy, suchy, wiatr prześwistywał, niebo wisiało niskie i wypełzłe, jak oczy wyżarte płaczem; posępne domy błyskały zamglonemi oknami, wieże kościołów rwały się wgórę, niby błagalny i skamieniały krzyk przykutych na wieki do ziemi, drzewa gięły się w jedną stronę, jakby coś szepcąc do siebie nagiemi gałęziami, a bokiem orszaku przelatywały dorożki, ciągnęły ładowne wozy, dzwoniły tramwaje, tłumy snuły się chodnikami, a dokoła wrzało życie bujne i pełne, jak pieniąca się czara; potężne a zwykłe życie dnia, tak już obce i tak już strasznie dalekie dla tego pyłu człowieczego, dla tej grudki ziemi, która stoczyła się z pola żywota i spadała martwa w przeciwną stronę — w śmierć.

I dla Jędrusiowej duszy, która z krwawym trudem unosiła się ze zgrzęz życia i rozpinana na krzyżu męki, już przeczuwała jakąś jeszcze niejasną a straszliwą prawdę...

Był jej coraz bliższym, rozrastała się w nim gryzącą treścią, już wpełzła w niego, jak żmija okręcając serce kolczastemi skrętami przerażenia, już nawet w czaszkę stukała kościotrupim palcem nieubłagania...

Ale bronił się jeszcze przed nią potężnym instynktem samozachowawczym, przychodziły bowiem chwile, w których ostatkami woli, wszystkim szałem rozpaczy wyrywał się na powierzchnię życia i uciekał z obłędnego koła.

Wracała mu wtedy pełna świadomość swojego ja. Odpędzał mary i dusił strach, myśląc wzgardliwie.

— Cholera z takiemi czułościami! A może to nie on? A zresztą to i cóż się stało, nie człowieka zabiłem, tylko szpicla!—rzucał sam sobie zuchwale i wyzywająco, odwracając się od pogrzebu, ale nim uciekł z kręgu ponurych śpiewów, nim zdążył uchwycić się życia, sumienie znowu go porywało żelazną dłonią i wlokło zpowrotem za karawanem, że szedł jeszcze bardziej uległy tej woli tajemniczej, i nieuświadomiona jeszcze zgroza własnego czynu znowu zatapiała go w przepaście nieopowiedzianego lęku.

Szedł już trupim, automatycznym ruchem, zapatrzony w jakąś dal nieodgadnioną!

Nie wiedział, kiedy przeszli most, ni kiedy minęli domy ostatnie, ni kiedy weszli na szeroką, pustą drogę — nie wiedział już nic.

Zmierzch zasypywał już świat popielną, ciężką kurzawą, wiatr się wzmagał, przydrożne drzewa targały się z żałosnym jękiem, śpiew się rozlegał głucho, jakby łopotem skrzydeł, z pustek i pól oniemiałych wiał smutek śmierci, z niewidzialnych już siedzib wytryskiwały żółte światła, niby korowód zapalanych gromnic, rozsypywał się już wszelki kształt, a wynosiły się z mroków potworne, nieodgadnione majaki.

A Jędruś szedł coraz ciężej i jakby padał w bezkresy, niby drzewo wyrwane przez huragan, ale gdy kondukt przystanął przed cmentarzem, ukrył się bezwiednie za jakiemś drzewem i patrzył, zapominając o wszystkiem...

Trumnę ponieśli na ramionach, orszak się zwarł i ruszył długą, mroczną aleją, za smolnemi pochodniami,

co jak krzaki ogniste wybłysły, miotając się z wichurą, ponury śpiew zahuczał i wraz też wybuchały płacze i krzyki. Dzwony zabiły jękliwym, poszarpanym hymnem, że cały cmentarz jakby się rozszlochał i łkaniem napełnił powietrze...

Zrobiło mu się strasznie, dziki spazm bólu zatargał sercem i palące łzy pociekły z oczów, dziwne łzy nieopowiedzianego żalu i tęsknoty.

Wlókł się za wszystkimi.

Mętny, jesienny wieczór obtulał ziemię w wyszarzane, przegniłe łachmany, piaszczyste wydmy żółciły się jak czaszki, drzewa trwożnie szumiały, a jakieś białe brzózki trzęsły się tak rozpacznie, jakby wstrząsane płaczem, jakby lada chwila miały przypaść na mogiły, krzyże mu zastępowały drogę, czerniejąc złowrogo rozpiętemi ramionami, mogiły wyrastały przed nim niezliczonym szeregiem, jakieś krzaki chwytały go za ubranie, jakieś płyty, drzewa i grobowce kładły się przed nim niespodzianą, a nieprzebytą zawałą, a dzwony wciąż biły łkająco i rozpacznie, jakby każda mogiła zosobna krzyczała o zmiłowanie...

Pochód skręcił i gdzieś mu przepadł, jakby się w mrokach roztopił.

Rozglądał się bezradnie, gdyż w jakiejś dali brzmiały przyciszone śpiewy i światła połyskiwały, ale nie mogąc już pojąć gdzie, poszedł bezmyślnie za jakimś innym pogrzebem.

Pogrzeby przesuwały się jeden za drugim nieskończonym korowodem trumien, płaczów, śpiewań, i świateł; szedł już za każdym — i przy każdym gro-

bie, gdy płacze rozdzierały powietrze, gdy krzyki zrywały się, jak przekleństwa, gdy rozlegał się ohydny gruchot ziemi, spadającej na trumnę — cierpiał, jak inni, katusze niewypowiedziane i płakał krwawemi łzami...

Zdawało mu się bowiem, że stracił kogoś najdroższego i oto teraz oddaje go na pastwę wiecznej nocy, więc i tak samo jak drudzy klękał, modlił się, krzyczał, i tak samo czuł ogrom poniesionej straty, i gorycz opuszczenia, i mękę wiecznego rozstania, i rozpacz sieroctwa...

Dusza mu się już zbłąkała, jak w nieskończonościach ptak oślepły, że nawet nie wiedział, kiedy się znalazł z jakąś gromadą w restauracji, pełnej ludzi, żałobnie ubranych, i twarzy zapłakanych.

Garsoni roznosili piwo, parowe kiełbaski i kawałki sera, w kuchni dzwoniono niekiedy w moździerz, a czasami w różnych stronach olbrzymiej sali wybuchały płacze, lub rozpaczliwe skargi, pomieszane z brzękiem kieliszków i przyciszonym gwarem wspominań. Kilku żałobników, popijając przy bufecie, zabawiało się wesoło z grubą gospodynią, a w kącie na stosach okryć spały jakieś dzieci, płaczem zmęczone...

Jędruś siedział przed nietkniętym kuflem, daremnie usiłując sobie przypomnieć, kogo to pochował?

A potem kiedy tragiczny nastrój sali podniósł się jeszcze i powietrze rozdzierały spazmatyczne płacze, zanosił się niekiedy żałosnem łkaniem, bezmierny ból przeszywał mu serce i przygniatał do ziemi, jakby te

wszystkie trumny, i te wszystkie trupy, i te wszystkie mogiły zwalały się na niego.

Poczuł się jakby winnym tym wszystkim żałobom i skargom, i jakby każda z tych łez rozpacznych spadała na niego kamieniem i biła przekleństwem!

Pochylał się coraz niżej w strasznem poczuciu własnej winy.

Niekiedy taka boleść ryła mu się w twarzy i wyzierała z oczów, że jakieś litościwe osoby zwracały się do niego ze słowami współczucia.

— Panie, nie wolno tak rozpaczać, Bóg miłosierny zlituje się nad sierotami. I ja dzisiaj pochowałam męża! Sierotam, jak i pan, to rozumiem!... — I tak go pocieszając, gruchnęła nieutulonym płaczem, a z drugiej strony jakiś jegomość trącił życzliwie kuflem w jego, jeszcze nietknięty.

— Wietrzeje, panie kochany! Babska rzecz płacze, młody pan jeszcze... no...

Nawet nie rozumiał, że mówią do niego.

— Żonę pan pewnie stracił! Mój Boże, taki młody i przystojny, a mój nieborak...

— Nie trzeba się poddawać! Uszy do góry, panie kochany! I ja, panie, straciłem już drugą żonę, a przecież jakoś żyję... Trudno, wola boska... Rzepa, panie, była, nie kobieta! Stańcowała się, napiła się potem zimnej wody i szlus, panie kochany! — szeptał, wyciskając palcami piwo z wąsów.

Nie dosłyszał i tego, spoglądał na nich z jakiejś przepaści, gdzie już głosy ludzkie nie dochodzą.

Ludzi jeszcze przybywało do restauracji, że ledwie jedne płacze obeschły, już nowe wybuchały, sala bez przerwy drżała echami jęków i skarg, a z każdego kąta, od każdego stołu łkały żałosne głosy i biadała ludzka niedola, lecz garsoni wciąż roznosili piwo i wódkę, wciąż szczękały talerze i rozwłóczyły się mdłe, obrzydliwe zapachy piwa zwietrzałego i parówek.

— Pewnie po matce tak pan płacze? — zapytał go znowu jakiś głos łagodny.

Dosłyszał nareszcie, długo się patrzył w jakąś poczciwą twarz i rzekł:

— Zabiłem człowieka!...

Jakby oprzytomniał po tem wyznaniu mimowolnem i poczuł niezmierną ulgę; spojrzał dokoła prosto, choć smutnie.

Ogarnęły go spojrzenia pełne politowania, kilka głów zakiwało się znacząco, ktoś palcem stuknął w czoło, a jeszcze ktoś odsunął się od niego.

Jędruś podniósł się i wolno wyszedł na świat.

Noc już była, nad miastem gorzały łuny, w nieprzejrzanej topieli nocy błyskało tysiące świateł, jakby niezliczone oczy patrzyły ze wszystkich stron, głuchy, oddalony jeszcze szum miasta huczał nieustannie.

Jędruś dopiero na moście przystanął, by nieco odpocząć.

Wsparł się na balustradzie i patrzył w tajemniczy, rozdrgany mrok, w cicho płynące fale, wilgotny powiew chłodził mu twarz zgorączkowaną, a wody pluskały cicho, usypiająco, i z tak dziwnem, a słodkiem ukojeniem, że z trudem oderwał się od poręczy.

— Winienem! — szeptał, jakby tylko do własnej duszy.

Naraz przystanął nagle, trup zabitego unosił się przed nim... leżał, jakby wpoprzek chodnika... rozerwana pierś buchała krwią... twarz się wykrzywiała męką konania...

Nie przeraził się już ani na mgnienie, przetarł tylko oczy i poszedł, ale nie śmiał spojrzeć przed siebie, bo czuł, że tamten musi być przed nim, przez zamknięte powieki widział go teraz tak dobrze, jak wtedy, w aptece... na kanapce leżał... cały we krwi... w ostatniej chwili konania... słyszał płacz dzieci...

Ale nie mógł tego długo wytrzymać, bo, doszedłszy do Zjazdu, rzucił się jak szalony i leciał, roztrącając przechodniów.

Ignaców w domu nie było, a dzieci spały nierozebrane, ale, gdy wszedł, zbudziły się i chłopiec zapłakał, skarżąc się, że głodny. Uspokoił je, nakarmił troskliwie, zmówił z niemi pacierz, ułożył w pościel, obtulił troskliwie i siadł przy nich na łóżku.

— Winienem! — szepnął ciszej i boleśniej, gdyż ostre poczucie winy jęło go znowu rozdzierać aż do męki, aż do szaleństwa.

— Winienem! — powtarzał, kurcząc się w sobie, bo ten dźwięk, jakby go bił po głowie kamieniem i przywalał rumowiskami żałości.

— Musiałem! Przecież on był... — jęknął, usprawiedliwiając się trwożnie przed nieubłaganym trybunałem sumienia, ale naraz wszystkie powody i usprawiedliwienia wydały mu się tak nikłe i, tak głupie i złe

wobec własnej winy, że chwycił się z przerażenia za głowę.

— Zabiłem! Zabiłem! Zabiłem! — jęczał, pochylając się coraz niżej, jakby pod uderzeniem noża i za każdem powtórzeniem przejmowała go jeszcze głębsza groza i straszny, nieopowiedziany lęk.

Bał się już poruszyć z miejsca, bał się otworzyć oczy, bał się oddychać głośniej, gdyż mu się wydało, że trup stoi obok i pochyla się nad nim, że czuje, jak ciepła krew jego ran spływa mu na twarz, przesiąka ubranie i oblewa mu ciało lepką, gryzącą falą i przepala nieustraszoną męką strachu i przerażenia.

Wcisnął głowę w poduszkę i rozdygotał się takim niepowstrzymanym a gwałtownym szlochem, aż dzieci się pobudziły i, szepcąc trwożliwie, jęły go obejmować i kwilić żałośnie.

— Jędluś! Mama cię wybiła? Jędluś? — pytała cichutko dziewczynka.

— Boli! Mama... Cę jeść... — jąkał chłopiec.

— Cicho, Jędluś! Nie płacz! Cicho... śpij... a... a... a... — zanuciła płaczliwie, usiłując nim zakołysać, ale, że się nie poruszył, przytuliła się do niego i, objąwszy za szyję, gładziła po głowie pieściwym, matczynym ruchem i gorąco całowała.

Płakał jednak coraz rzewliwiej i boleśniej, zanosił się już wprost od płaczu, że i dzieci rozkwiliły się cichutko, jak pisklęta opuszczone. Przygarnął je jakimś bezwiednie serdecznym odruchem i już tak razem płakali, i już tak razem mieszały się łzy, i jednym rytmem biły serca, i skarżyły się żałośnie dusze udręczone.

Długo płynęły te nieme, bolesne strugi, długo brzmiały te szlochy sieroce i jakieś senne, porwane słowa, i jakieś lękliwe skargi aż wkońcu przycichły zupełnie, posnęli twardym snem wyczerpania.

Ale Jędruś po jakimś czasie przebudził się i usiadł.

Noc była w izdebce, dzieci spały spokojnie, deszcz zacinał w okno a niekiedy jęk wiatru wdzierał się przez szyby i przesmutnem tchnieniem rozbrzmiewał w ciszy.

Jędruś zapomniał już o strachu, jakby nawet zapomniał o wszystkiem, nasłuchiwał tylko z niezmierną uwagą jakiegoś głosu, jakiegoś nakazującego głosu i stanął zapatrzony bezmyślnie w mętną, rozpierzchłą źrenicę nocy.

Zapomniał już nawet o sobie i, chwiejąc się jakby na krawędzi niewiadomego, pochylał się zwolna w jakieś głębie obłędne, zasuwał się w jakiś mrok nieprzejrzany.

Naraz porwał się gwałtownie i wyszedł na ulicę.

Zegar jakiś wybijał gdzieś północ głuchym, dręczącym głosem. Wilgotne, zimne mgły nakrywały domy obmokłe, miasto już spało, tylko jeszcze gdzie niegdzie, zawieszone w powietrzu, świeciły jakieś okna zgubione, niby zasypiające oczy.

Pochylił się nieco, gdyż drobny, przykry deszcz zacinał mu w twarz, i bezwiednie, automatycznie poszedł do swojej fabryki. Ale stanąwszy przed bramą zamkniętą, nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest i poco?

I napróżno usiłował coś zrozumieć, tylko jakieś rozpierzchłe mgły przypomnień i słabe majaki zarysów

przepływały mu przez mózg, ale tak spienioną i wrzącą falą, że nim je zdołał pojąć, ginęły niepochwytne, rozsypywały się w nikły, nieujęty pył. Poczuł się jakby w pustym, odrętwiałym śnie, i jak we śnie wlókł się ulicami, nic nie myśląc już o niczem i nie wiedząc...

Deszcz sączył się nieustannie i wiatr łomotał po dachach i szarpał szyldami, a rynny bełkotały w ciszy ulic tak obumarłych i pustych, że tylko niekiedy jakiś zapóźniony przechodzeń przemycał się lękliwie lśniącemi trotuarami.

Ale on wlókł się wolno Krakowskiem, szedł niby słup głuchy i niemy, zapatrzony pustemi oczami przed siebie; dochodził do kolumny Zygmunta i zawracał automatycznie, jak wtedy... I jak wtedy chodził bezustannie, snuł się cicho jak cień chwiejny, niewiadomo skąd płynący, chodził bez myśli i celu, że nawet nie zauważył tamtego domu... ni miejsc tamtych... nie przypomniał sobie o niczem... Czasem przyglądał się z głęboką uwagą koniom dorożkarskim, drzemiącym na boleśnie podkurczonych nogach, a potem zasunąwszy się w cień jakiegoś domu, stał długo i bezmyślnie, nie czując zimna ni deszczu.

Jakaś dziewczyna, napróżno polująca na kochanków, przysunęła się trwożnie i jęła szeptać gorąco...

Jakby go przebudził jej głos, bo wzdrygnął się gwałtownie i pochwyciwszy za rękę, pociągnął ją pod latarnię.

Poznali się natychmiast.

— Facuś z majchrem! A tak cię szukałam! No, chodź do mnie... Myślałam, że cię schowali! Chodź

prędzej, zmarzłam jak pies... — wołała radośnie, cisnąc się do niego namiętnie.

Zatrząsł się febrycznie, przypomnienia zalały mu mózg krwawym brzaskiem i trup znowu stanął przed nim...

— Wiesz, to ja go zabiłem! — szepnął, wskazujac w próżnię. — Zabiłem! — powtórzył mocno, topiąc w niej obłędne, dzikie oczy.

Dziewczyna wyrwała mu się z rąk i uciekła przerażona.

A i jego przejął lodowaty dygot strachu, obejrzał się trwożnie, dziewczyna zniknęła, ale trup stał za nim o parę kroków...

Ruszył śpiesznie, tamten był wciąż...

Leciał już jak wiatr, rozbijając się o słupy i latarnie, leciał gnany dzikim, nadludzkim strachem, ale trup, jakby przywiązany nierozerwalnym łańcuchem, biegł za nim wciąż jednako... Zbrakło mu wreszcie sił, że powlókł się wolno i ciężko, nie patrząc już za siebie...

Ale jakieś błyski świadomości przeszywały mu duszę omroczoną, bo z pewną trwogą przyglądał się stójkowym po rogach ulic, lękliwie przechodził miejsca bardziej oświetlone, a już to jedno wiedział na pewno i czuł, że tamten idzie za nim trop w trop... słyszał odgłosy jego cichych, martwych stóp... rozlegały się równe i nieustanne, jakby ciągły gruchot ziemi, zasypującej trumny...

Czasem nagle przystawał i w błyskawicowem mgnieniu ciszy, słyszał że i tamten staje... że jest tuż za nim... że jego trupi oddech owiewa mu głowę...

Wtedy uciekał oszalały.

Ulice, place, ludzie, światła, domy, — wszystko stało mu się jakąś puszczą niepojętą, puszczą nieprzebytą i nieskończoną, po której błądził, goniony przez trupa...

Aż zmęczony śmiertelnie padł pod jakiemś drzewem w Łazienkach.. Przytuliła go litośnie jesienna, straszna noc.

Wiatr skowyczał w ciemnościach niezgłębionych, park szumiał złowrogo, kołysząc się ciężko nad jego głową, a cichy płacz deszczu, nieutulony płacz nocy jesiennej łkał nad nim smutkiem przejmującym i żałością.

Siedział skulony, cisnąc się bezradnie do drzewa, i jakby z zabitemi na wieki oczami, bo tamten czyhał, aby uczepić się jego spojrzeń i wślizgnąć do duszy, że już tak siedział bez ruchu całe godziny, trwał jak te drzewa, ziębnące bezlitośnie i jak te drzewa martwiał zwolna... i rwał się niekiedy... szumiał rozpacznie... a grążył się coraz głębiej w odrętwienie... Może i zasypiał niekiedy jak one, ale nie wiedział o tem, jak i one, gdyż długie chwile ciszy rozkrążały się nad parkiem i drzewa wisiały niby chmury posępne i głuche, tylko jeden deszcz nie ustawał ani na chwilę.

Że już cały świat dygotał z zimna, park wstrząsał się niekiedy w lodowatym dreszczu, szamotał bezsilnie i zasypiał znowu odrętwiałym, ciężkim snem.

Jakiś pies bezdomny przywlókł się do niego i, skamląc boleśnie, tulił mu się do piersi.

Noc szła wolno, ociężałym krokiem szarugi nieskończonej.

Jędruś budził się czasami, coś nasłuchiwał i znowu zapadał w niepamięć martwą, jak gałąź poruszona na chwilę.

Przegniły, zielonawy świt już się zaczął przesączać z ciemności, gdy jacyś ludzie przechodni spostrzegli go pod drzewem.

— Hej! Pan!—zakrzyczał jeden, kopiąc go w bok.

Nie dosłyszał, podnieśli go na nogi, ale zatoczył się i runął w błoto jak kłoda.

Przebudzili go wreszcie uderzeniem nóg i pięści.

— Kto ty takoj? Kto?

Twarz miał siną jakby ze zlodowaciałego błota, oczy mu pałały gorączką i, nie rozumiejąc czego chcą od niego, rozglądał się uważnie dokoła, trup stał na dawnem miejscu, nieco zboku...

— Zabiłem go! — wybełkotał nieprzytomnie. — Zabiłem! — powtarzał szeptem, uśmiechając się tępo a radośnie, jak dziecko.

Powlekli go do cyrkułu, chciał się im wyrwać, lecz nim zdążył, kułaki rozkrwawiły mu twarz i podbiły oczy, że już szedł spokojnie, oglądając się chwilami na t a m t e g o... był za nim nieodstępnie. Ale Jędruś już zapadał w stan taki, że patrzył bez lęku, obojętnie, a wkońcu zapomniał już o wszystkiem, czuł się tylko strasznie chorym i zmęczonym, a często łapał się z jękiem za głowę rozbolałą.

Rzucono go do jakiejś nory więziennej, gdzie wił się w mękach szaleństwa, gdzie długie dnie przesiady-

wał skulony pod ścianą i patrząc pustemi oczami w próżnię, lub ogarnięty gorączką całe godziny uciekał przed tamtym... rozbijając się o ściany i krzycząc nieprzytomnie...

Dopiero gdy się uspokoił, zaprowadzono go do badania.

Nie odpowiadał na żadne pytania, nie rozumiał, lecz spostrzegłszy trupa, wskazał na niego:

— To ja go zabiłem! — Zaśmiał się cicho i tak idjotycznie a zarazem strasznie, że straż odskoczyła a sędzia krzyknął:

— Warjat! W szeju jewo i za dwieri...

Ale ktoś miłosierny umieścił go w szpitalu.

I po wielu miesiącach znalazł się znowu na ulicy.

Ale się już zatracił w obłędzie zupełnie i na zawsze.

Błąkał się po mieście cichy i zmartwiały, jak tamten.

Ktoś go pożywił z miłosierdzia, ktoś rzucił grosz, ktoś kopnął ze współczucia lub kijem odpędził od drzwi, nie zważał na to, uśmiechał się obłędnie, wołał na tamtego, z którym już żył nierozłącznie i ruszali razem w nieskończoną, ciągłą, nieustanną wędrówkę po ulicach.

A gdy spadły na miasto dnie huraganów, gdy w ulicach zrywały się krwawe hymny zemsty i grochotały salwy karabinów, i rozlegały się dzikie tętenty szarż, krzyki mordowanych, a trupy bojowników padały, Jędruś był wszędzie, snuł się jak cień nieśmiertelny i nieodstępny każdego mordu, zbrodni każdej i każdej

śmierci, stawał przy trupach i strasznym krzykiem sumienia nagle rozbudzonego, wołał:

— To ja go zabiłem!

Ale potem znowu się śmiał cicho, idjotycznie, wstrząsająco i uciekał, gnany wszystkiemi furjami szaleństwa i strachu...

C Z E K A M...

(Opowiadanie)

...i co noc już rozlegały się w podwórzu i na schodach brzęki ostróg i pałaszy, co noc już widziałem w oknach biegające trwożnie światełka i słyszałem dokoła dzwonki alarmujące, przyciszone szepty, głośne stukania, łomot wyważanych drzwi, bieganiny na piętrach, aż się wszystko trzęsło w moim pokoju; przewracanie mebli, rozdzierające krzyki, wybuchy płaczów, ciężkie odgłosy padających ciał, głuche wrzawy szamotań wśród przekleństw, straszne, rozpaczliwe zmagania się wleczonych po schodach—i turkoty dorożek, uwożących daleko, daleko...

Nie mogłem już zasnąć ani na chwilę.

Nie kładłem się nawet, gasiłem tylko lampę i czekałem, byłem pewny, że lada chwila i przed mojemi drzwiami przycichną ciężkie stąpania i ktoś zawoła:

— Telegrama!

Ale omijali mnie, jakby na urągowisko.

Brali inteligentów, brali robotników, brali kobiety, ba, nawet kilkunastoletnich wyrostków.

A ja męczyłem się coraz okropniej.

Że wkońcu pragnąłem już z całej siły, żeby i mnie wzięli jak najprędzej, żeby już nie czekać, nie umierać z trwogi, nie słyszeć tych krzyków, co mi przeszywały duszę i nie widzieć tych łez gorzkich, tych palących

łez matczynych, żeby wreszcie uciec od własnego szaleństwa.

Nie, nie przyszli po mnie.

Wyprowadziłem się z tego domu, myśląc, że zapomnę o wszystkiem, ale trwoga poszła za mną...

Napróżno przenosiłem się z mieszkania do mieszkania, strach wszędzie czyhał na mnie i brał w swoje szpony piekielne, wciąż nie mogłem spać i wciąż całe noce przesiadywałem w dręczącem oczekiwaniu.

I nie wypowiedzieć, co przecierpiałem w te długie, nieskończone noce, kiedy każdy szmer był mi gromem, każda chwila wiecznością, a każde uderzenie serca, każdy ruch myśli wichrem trwogi straszliwej, a wszystkie moje uczucia niezgłębionem przerażeniem.

Ale i dnie nie przynosiły ulgi ni uspokojenia.

Warszawa bowiem była wówczas wzburzona do dna, dygotała od ogni wewnętrznych, które groziły wybuchem wulkanów. Niepokoje, trwogi i uniesienia, nadzieje i rozpacze, naprzemian targały sercami.

A co dnia inne wieści, inne obawy, inne hasła nerwowały ludzi do szaleństwa. Wszyscy już byli pijani marzeniem, pijani krzywdą, i pijani pragnieniem czynów, bohaterstw i poświęceń.

Pękały łańcuchy, budziły się dusze, podnosiło się pohańbione człowieczeństwo, nadchodził świt nowych, dostojnych dni, ale ja wciąż jednako cierpiałem, jednako bałem się nocy i jednako rwały mnie wampiry trwóg nieopowiedzianych.

Więc jakby w ostatniej ucieczce przed obłędem, prosiłem jednego z przyjaciół, aby mnie kazał uwięzić

lub zamknął w szpitalu, gdzie zresztą chce, gdzie uważa, że mi lepiej będzie.

Zabrał mnie do siebie.

I rzeczywiście zacząłem się uspokajać.

Było mi dziwnie dobrze w atmosferze pracy i przyjaźni.

Złowroga noc traciła nade mną władzę.

Że zwolna wracałem już do zwykłego, normalnego życia.

Gdy naraz, jakiejś nocy rozbudziło mnie gwałtowne dzwonienie.

— Rewizja! — ktoś zawołał do mnie.

Wiedziałem już o tem, przeczułem, że tak się stać musi.

Strach znowu wpełznął do serca i powlókł mnie za włosy.

Znowu przyszli nie po mnie, znowu nadaremnie czekałem.

A kiedy się wszystko skończyło i mego przyjaciela zabrali, i pozostałem znowu sam na sam z trwogą, aż rozpacz rzuciła mnie z piętra na bruk.

Chorowałem ciężko przez kilka miesięcy.

Jak przez mgłę, niby sen dawny, pamiętam salę szpitalną, i długie, długie noce, i pluski deszczów, i białe fartuchy doktorów, i zapach karbolu, i jakąś twarz kobiecą, pochyloną nade mną, i jakieś ciepłe ręce na czole...

Ale potem już nie pamiętam, czy gdzie mieszkałem.

*

Wiem tylko, że włóczyłem się po mieście, jak pies bezdomny.

Nie bałem się już niczego, ale wszystko mnie przerażało.

Przerażała mnie noc, ale i dzień przerażał, gdy się wynosił niby blady trup z ciemnicy. Przerażali mnie ludzie i przerażało drzewo samotnie stojące, przerażał cień rozchwiany, głosy niespodziane, chmury stłoczone, domy wyniosłe, gardziele pustych ulic, szum wiatru, lot ptaków, błyski światła, to czyjeś oczy patrzące na mnie — wszystko.

A równocześnie parła mnie niepokonana żądza zajrzenia na dno każdej rzeczy, każdej trwogi, każdego niebezpieczeństwa. Że byłem wciąż głodny coraz innych, coraz bardziej przerażających wrażeń.

Umierałem z nadmiaru a cofnąć się nie potrafiłem przed niczem; żyłem już wśród ludzi i rzeczy ohydnych, na samem dnie okropności, jakby w obłędnej mgle zgrozy ustawicznej.

Aż przyszła błogosławiona chwila wyzwolenia.

Moje przerażenie umarło nagle, umarło na zawsze, spaliło się na popiół, opadło ze mnie niby łachman znoszony.

Poczułem się znowu wolny, ale zacząłem widzieć dokoła zdumiewające rzeczy.

Miastem zatargały spazmy trwogi.

A moje przerażenie zmartwychwstawało we wszystkich oczach, we wszystkich sercach, ożyło nawet w domach, nawet w powietrzu.

Ja byłem wolny, ale oni cierpieli coraz srożej.

Mój strach już bowiem obejmował całe miasto, moje przerażenie krzewiło się w sercach jak płomień niczem nieugaszony. Zaraziłem ich śmiertelną chorobą.

Widziałem to, czułem, sprawdzałem w każdej twarzy, na każdym kroku, wszędzie.

Upijałem się szaloną, głupią i złą radością.

A miasto grążyło się w rozhukanych odmętach.

Pamiętam dobrze ten pierwszy dzień chaosu, ten dzień trwogi powszechnej, pierwszy dzień nieszczęsnych, długich dni... Bezbrzeżny smutek tlił się we wszystkich twarzach...

Dzień wlókł się ociężale; blady był, mdlejący, podobien do chorego człowieka, wstrząsanego przez dreszcze febryczne. A pierwszy zmrok, ten styczniowy, wczesny mrok sypał się na miasto tumanem przemarzłych, zielonawych cieniów. Jakby pył zlodowaciałych łez zasypywał całe miasto.

Wiatr zrywał się co chwila i miotał z jękiem w omroczonych ulicach niby ptak spętany.

Niekiedy polatywał suchy i nikły śnieg.

Zaś miasto przejmował straszny dygot lęku.

Pustoszały ulice.

Zamykano gorączkowo sklepy.

Ostatnie dorożki uciekały jak oszalałe.

Mówiono szeptem, stawano trwożnie na rogach ulic, rozglądano się podejrzliwie, i uciekano z przerażeniem.

Wieści z północy dalekiej leciały wciąż, leciały stadem kruków, kraczących coraz okropniejsze rzeczy.

Co chwila hukały bramy, zawierane na moc.

I co chwila rozlegał się dziki wrzask i brzęki tłuczonych latarń i jakieś wstrząsające, złe ryki.

Trwoga wionęła ulicami.

Złowróżbne milczenie dygotało w zamarłych domach. Niezliczone okna czerniały niby puste oczodoły.

Robiła się ciężka i posępna noc, miasto jakby się zapadło w otchłanie ciemności.

Nie zabłysło nawet ani jedno światło, ani jeden błysk nie zatrzepotał się w mrokach, było jak w lesie olbrzymim, pełnym nieodgadnionych szmerów i zjaw nocy zimowej.

Ulice stały się labiryntem, kutym w nieprzeniknionych mrokach, niektóre zaledwie szarzały, niby rozwarte gardziele jakichś potworów, a niektóre leżały, niby trupy potopione na dnie przepaści. Jakieś wieże i szczyty majaczyły podobne okrętom pobłąkanym w ciemnościach. Jakieś place rozlewały się w zmartwiałe zatoki, oślepłe i głuche.

A nad tem niebo rozpinało swój namiot smutny, niebo bez gwiazd, ołowiane, ciężkie, nieprzeniknione.

I wiatr lodowaty przewalał się po niedojrzanych dachach.

I jakieś drzewa szumiały żałośnie.

Nieopowiedzianą grozą dyszało miasto, jakby ciężkim tchem żywcem zagrzebanych.

Poszedłem w noc nieprzeniknioną, bo wołał mnie gdzieś jakiś głos, jakiś nakaz mnie zmuszał, że musiałem iść, musiałem czegoś szukać i czekać na coś niewiadomego.

Błąkałem się w pustych, potopionych ulicach, ale czułem, że dokoła zaczynają się stawać rzeczy dziwne, niezrozumiałe i groźne; noc jęła się mrowić i drgać niepojętemi barwami, rwały się jakieś szepty tajemnicze, buchały jakieś wrzawy dalekie, a niekiedy jakieś tętenty przelatywały jak gromy.

Wszystko przybierało zarysy halucynacji, że zdawało mi się, iż śnię i nie mogę się przebudzić.

Ale chodziłem wciąż, wlokłem się bez przestanku czarnemi tunelami bez końca i nazwy, błądziłem poomacku, jakby w labiryncie bez wyjścia, potykając się o drzewa, o domy, o ludzi, przemykających się wskroś ciemności...

Naraz, znalazłem się w jakiejś szerokiej ulicy — szarzała przede mną niby zatoka morska, ściśnięta w pokrętne, poszarpane brzegi, w pośrodku wznosiły się drzewa jak zastygłe wybuchy mgieł, a dokoła majaczyły czarne, pogięte obrysy dachów. Przywarłem nagle do muru, bo jakiś tętent zahuczał gdzieś niedaleko, a jacyś ludzie zaczęli obok mnie przelatywać; uciekali już całym tłumem a trwożne krzyki leciały za niemi niby ptaki oszalałe, wielu dobijało się do bram, wielu padało na ziemię, a wielu czołgało się pod domy, gdyż tętent był coraz bliżej, i po chwili, cały tabun rozhukanych koni zagrzmiał na bruku jak huragan, iskry posypały się z pod kopyt, zamigotały wstęgi błyskawic, huknęły salwy, i gdzieś z głębin nocy wyrwał się straszny, wstrząsający krzyk... I wszystko przepadło w ciemnościach.

A ja uciekałem przez jakiś park, który nagle wyrósł dokoła mnie. Czarniejszy był od nocy i również nieprzebyty. Biłem się o pnie, i zbłąkany w gąszczach, przewracałem się co chwila, drzewa bowiem zagradzały mi drogę i, kołysząc się dokoła czarną, olbrzymią ciżbą, chwytały gałęziami, smagając bezlitośnie, a nagły, przejmujący szum zalewał mnie, jakby krzykiem fal spiętrzonych.

Już nie pamiętam, jak się wyrwałem.

Ale znalazłszy się znowu w ulicach, poczułem takie straszne zmęczenie, że zwaliłem się pod jakąś bramę i zasnąłem.

Przebudził mnie grzmot przelatujących koni i wrzaski.

Salwy gruchotały gdzieś niedaleko.

A gdy przycichło, szczęknęły nade mną szyby, otwierano okno i ktoś się wychylał, bo dosłyszałem szept:

— Wściekła szarża!

— Przelecieli jak burza. Ulica już pusta, musieli skręcić...

Wysunąłem się na trotuar i pytam cicho:

— Co to za ulica? Zbłądziłem...

— Marszałkowska!

— Ale w którem miejscu?

Okno zawarło się bez odpowiedzi.

Czekałem przez długą chwilę, nie otworzyło się więcej; dom stał jak wszystkie ciemny, posępny i jakby wymarły.

Nie wiem dlaczego namacałem dzwonek i jąłem nim targać ze wszystkich sił, napróżno jednak: słyszałem ludzi zbierających się poza bramą, słyszałem ich szepty, słyszałem ciche, lękliwe kroki—nie otworzyli...

A mnie wtedy przejął taki lęk, i tak mi zaciężyła samotność, i tak strasznie zapragnąłem ludzi, światła i jakiegoś przytułku, że ze łzami błagałem, aby mnie wpuścili.

Nadaremnie, odpędzili kijami jak psa.

Postanowiłem więc iść do znajomych.

Ale nie mogłem sobie przypomnieć nikogo, nikogo...

Ani jednej twarzy, ani jednego nazwiska, ni adresu, nic...

Była to straszna chwila, gdy, jako tako, zrozumiałem, że wszystko wyciekło mi z pamięci, niby z rozbitego dzbanka.

Że nawet nie mogłem sobie przypomnieć samego siebie.

Gdzie jestem i co się ze mną dzieje?

Ale nim się zdołałem oprzytomnić, jakiś tłum nadbiegł i zagarnął mnie ze sobą. Unieśli mnie jak huragan, że nie byłem w stanie wyrwać się z ciżby, lecieli cicho, pod domami, niby stado wilków na żer.

Przystanęli gwałtownie i rozległa się chrapliwa komenda.

— Razem, towarzysze! Hura! Razem!

Jakby tysiąc młotów huknęło w jakieś drzwi żelazne, że padły z trzaskiem. Posypały się rozbite szyby, tłum już się wdzierał do jakiegoś sklepu. Roz-

błysło światło i w głębi, pełnej szaf, majaczyły straszne twarze, setki rąk spadło drapieżnie na towary. Rwali wszystko w głębokiem milczeniu, wyrzucali na ulicę, na głowy stłoczone u wejścia, na ręce wyciągnięte niby szpony, pod nogi.

Rozbito i sklepy sąsiednie.

A z ciemności wypełzał coraz większy tłum, tłoczył się już jak potworne mrowisko, rwał wszystko w strzępy, rozkradał, niszczył, i przewalał się przyduszonym pomrukiem, niby stado bydląt, pożerających się w jakiejś trupiej cichości, że tylko chwilami buchała wrzawa, lub dziki krzyk tratowanych.

Naraz, gdzieś woddali zadudniał ostry galop konnicy.

— Wojsko! — ktoś wrzasnął.

Tłum rozpełzł się w ciemnościach bez śladu.

Uciekłem w jakąś boczną uliczkę i tam padłem.

Szarża przeleciała jak huragan.

Podniosłem się, gdy jakieś ręce objęły mnie wpół.

— Ty kto? Nasz? — zaharczał opity, cuchnący głos, a ręce jęły mi sięgać do kieszeni.

Odpowiedziałem mu pięścią, że runął na bruk.

Uciekałem ze wszystkich sił i wpadłem na nową bandę, szturmującą monopol. W mgnieniu oka wyrwano drzwi, rozszarpano zapory i rozległ się brzęk tłuczonych butelek.

Ktoś zapalił gaz, tłum lunął spiętrzoną falą i rozpoczęła się grabież i zapamiętała pijatyka.

Nagle huk zatrząsł murami, olbrzymi płomień buchnął ze sklepu i straszny, nieludzki wrzask.

Tłum, jakby wypluty przez piekło, wił się z krzykiem na bruku, na wielu paliły się ubrania, wielu tarzało się w kłębach płomieni, ale większość ochłonąwszy nieco, rzuciła się znowu do rabunku i picia.

W oknach domu, za czerwonym wichrem płomieni, który buchał co chwila aż do dachów i przygasał, ukazywały się przerażone twarze, a na ulicy tłum już ryczał, pito na każdem miejscu, pito na zabój, do szaleństwa, na śmierć. Wrzaski poparzonych, śpiewy pijackie, trzask płomieni, wołania pomocy i brzęk pękającego w ogniu szkła, łączył się w jeden piekielny chór oszalałych głosów.

Byłem już bardzo daleko, a jeszcze słyszałem tę wrzawę.

W jakiemś mieszkaniu zegar bił drugą.

Wiatr ustał zupełnie, niebo zmętniało i ciemności jakby pobladły, jął sypać gęsty, wilgotny śnieg. Snuł się zwolna, migocąc bez szelestu niby niezliczne stado motyli, niby biały okwiat zmarzniętego światła, otrząsał się na ziemię.

Szedłem już bardzo ostrożnie, pod domami.

Raz czy dwa przejechały z hałasem jakieś wozy i przegalopował oddział kawalerji.

I niekiedy, wskroś opadających śniegów, targały się dalekie huki wystrzałów i krzyki mordowanych.

Kilka razy dzwoniłem do różnych domów, bo zimno mi było, ale nie otworzono.

A tak byłem śmiertelnie zmęczony, że co kilka kroków musiałem odpoczywać, tylko że od jakiegoś czasu płoszył mnie i nękał odgłos czyichś kroków.

Ktoś jakby nieustannie chodził za mną! Niepokój mnie ogarniał, a ten ktoś wciąż był za mną, szedł w jednakiem oddaleniu, słyszałem go wyraźnie i wciąż... Aby się lepiej przekonać, przystanąłem nagle — tamte kroki przycichły. Potem ruszyłem prędzej, i stłumiony przez śnieg odgłos stąpań znowu był za mną... Zacząłem uciekać, ten ktoś leciał tak samo, gonił mnie, słyszałem go tuż za sobą... Przebiegałem na drugą stronę ulicy — robił to samo; chroniłem się pod bramy—czaił się w sąsiednich. Wychodziłem, znowu wlókł się o parę kroków za mną, jak widmo ledwo szarzejące w śnieżycy.

Wreszcie, gdy mi już sił nie stało, zapytałem z rozpaczą:

— Kto idzie?

Nie było odpowiedzi.

Zacząłem kląć i grozić, a zawróciwszy gwałtownie, byłem już gotowy na wszystko, ale w miejscu, gdzie mi się wydawał być, nie znalazłem nikogo. Rozejrzałem się uważnie dokoła, śnieg tylko padał i majaczyły najbliższe domy, już miałem ruszyć dalej, gdy doszedł mnie z pod bramy cichy płacz.

— Kto tam?

Płacz ustał, jakiś człowiek stanął obok i wilgotne, rozpalone ręce mnie dotknęły. Odepchnąłem go gwałtownie.

Upadł na ziemię i zaczął jęczeć.

— Niech się pan nie obawia! Nie zbój jestem... Od godziny chodzę za panem... Boję się sam, boję...

Przysunął się bliżej, wydał mi się w ciemnościach bardzo starym, stał bez kapelusza i płakał jak dziecko.

— Boję się, panie — zaczął znowu. — Niech mi pan pozwoli iść za sobą... błagam na wszystko... Ratuje mi pan życie...

— Dobrze, ale ja nigdzie nie idę, nigdzie nie mieszkam i sam również się boję...

Zrozumiałem naraz i własne położenie.

— To już pójdziemy razem, dobrze? — szeptał błagalnie.

I poszliśmy.

Trzymał się mnie mocno, ale oglądał się wciąż za siebie, dygotał jak w febrze i co chwila pytał:

— Czy naprawdę nikogo nie widać za nami?

Pusto było zupełnie i cicho.

— Niech się pan obejrzy... On musi iść... słyszę jego kroki...

Zapewniałem go uroczyście, że się myli.

— Chodził za mną już od samego zmroku.

— Kto? — Zły już byłem, rozdrażniał mnie.

— On, panie! On! — szeptał tajemniczo, przytulając się trwożnie.

— Szpicel?

— Coś gorszego! O, coś stokroć gorszego! — jęknął, odwracając się gwałtownie. Nikogo nie było, jakieś drzewa, obwalone śniegiem, szarzały obok. Patrzył długo i nasłuchiwał...

— Prawda, pusto, cicho... Ale gdy zostanę sam jeden, on zaraz wróci. Zawsze powraca, chodzi za mną trop w trop... nie mówi, nie zbliża się, a snuje się za mną nieodstępnie jak cień... I nie mogę uciec, ni oderwać się od niego, nie mogę...

— I dawno już tak pana prześladuje?

Objął mnie gwałtownie, całował i prosił łzawo:

— Niech mnie pan nie odpędza od siebie, bo umrę, bo oszaleję ze strachu... On czyha na mnie, on wszędzie jest... Błagam na wszystko... Choćby do świtu, choćby tę parę godzin...

Byłem prawie pewny, że to warjat, i zacząłem mu łagodnie przedstawiać, że nie wytrzyma tak długo na mrozie.

— To chodźmy do mieszkania, niedaleko...

— Owszem, z przyjemnością pana odprowadzę.

— Ale pan ze mną pójdzie... bo gdybym przyszedł sam, onby się zjawił... Wie pan, staje we drzwiach i woła na mnie...

— Djabeł, czy co?

— Cicho, na Boga, cicho! — Chciał mi usta przysłonić.

Zacząłem się śmiać, a on, tuląc się do mnie, jął mówić błagalnie:

— Niech pan idzie do mnie. Tu strasznie zimno. Odpocznie pan, zrobię herbaty i doczekamy się rana. Potem mógłby się pan u mnie przespać. O parę godzin błagam pana.

— A w dzień on się nie ukazuje?

— Nie! Nie!—dodał ciszej. Poczułem, że zadrżał.

— To niech pan prowadzi, chętnie odpocznę.

Przytomniałem coraz więcej, jego warjactwo, jego strach, jego łzy i głos roztrzęsiony, przyprowadzały mnie do równowagi i dziwnie uspokajały.

Wiódł mnie śpiesznie czarnemi ulicami, ale do dzisiaj nie wiem, gdzie jest ten dom i na jakiej ulicy.

Miał klucz od bramy, weszliśmy na jakieś schody.

Wysoko było, naliczyłem trzy piętra. Szliśmy pociemku, dywany czułem pod nogami, a ślizka poręcz zimna była jak wąż.

Gdy otworzył drzwi, owionęło mnie ciepło przesycone jakby kościelnemi zapachami.

Rozbłysło światło w kolorowych latarniach, wiszących u sufitu, byłem w pustym, ogromnym przedpokoju, a przede mną stał siwy, wysoki człowiek, patrzący na mnie strasznie smutnemi oczami. Powiedział mi jakieś nazwisko, nie dosłyszałem, zapalił świecę i szerokim ruchem zapraszał w głąb mieszkania.

Przeszliśmy przez szereg ogromnych pokojów, czarnych jak noc; sufity, ściany, okna i podłogi były obciągnięte jakby kirem a zupełnie puste, tylko w każdym na środku stał czarny słup a na nim widniał jakiś posąg, obwinięty w czarny całun.

Gdzie niegdzie wielkie zwierciadła, przysłonięte krepą, połyskiwały niby oczy zasnute wieczną nocą.

Nie śmiałem się odzywać, przejął mnie smutek i lęk, jakbym szedł przez jakieś pola śmiertelnej grozy.

Zdało mi się, że jestem w katakumbach, wśród ciszy grobów.

Prowadził mnie w milczeniu, szedł zgarbiony, z trudem, świeca mu dygotała w ręku i światło rozsypywało się chwiejną strugą.

— Może pan odpocznie?

Rzekł wreszcie w jakimś pokoju, niepodobnym już do tamtych, w zwykłym, wspaniale urządzonym gabinecie.

Zapalił lampę obwieszoną kryształowemi kulami.

Patrzyliśmy znowu na siebie.

Ogarniał mnie coraz większy niepokój, a chwilami taki strach, że brakowało mi oddechu i włosy powstawały.

Zrobił kilka jakichś bezcelowych ruchów przed zasłoniętem oknem i usiadł naprzeciw mnie, pod lampą.

Nie wiedziałem co mówię, te oczy przewiercały mnie nawskroś, paliły i targały wnętrzności. Nie śmiałem się poruszyć, czułem się jak przybity do miejsca, omdlewałem prawie z lęku.

Naraz zerwał się gwałtownie, oczy stanęły mu w słup, nasłuchiwał czegoś przez chwilę i znowu usiadł.

Byłem tak przejęty i oszołomiony zdumieniem, że ani spostrzegłem, skąd się wzięła herbata.

Piliśmy w milczeniu.

Kryształowe kule rozsiewały przeczyste światło, skrzyły się niby olbrzymie źrenice brylantów.

— Jak się pan teraz czuje? — odważyłem się na pytanie.

Wstrząsnął się, długo patrzał dokoła i rzekł:

— Teraz mi zupełnie dobrze. — Zatoczył znowu oczami.

— Czy dawno pana to prześladuje?

Żałowałem tego pytania, bo skurczył się i zbladł, a oczy rzucały się nieprzytomnie po pokoju.

— Od roku! — zaczął cicho. — Raz w miesiąc się zjawia, zawsze innego dnia... Niespodzianie, ze strasznym rozmysłem, żebym się nie mógł zabezpieczyć, żebym się wciąż bał, żebym umierał w oczekiwaniu... Żebym wciąż, wciąż czekał na niego...

Patrzyłem ze współczuciem w jego oczy, które, niby ptaki śmiertelnie zestrachane, zrywały się co chwila z obłędnym wichrem przerażenia, krążyły w ślepej nocy strachów i spadały, gasły umęczone, bezsilne, pełne łez, niby oczy konającego dziecka. A chwilami z tej twarzy męczeńskiej wyzierała rozpacz, taka zimna, beznadziejna i przytomna rozpacz, że zaczynałem wątpić w jego warjactwo.

— Ja nie jestem obłąkany! — powiedział mi wręcz, odgadując moje myśli.

Usiłowałem się tłumaczyć.

— Ślepemi zmysłami ludzi nie można inaczej tłumaczyć mojego stanu. Nie dziwię się przeto panu, raczej byłoby dziwne, gdyby pan myślał inaczej. Ale niestety, nie jestem warjatem i nie halucynuję. On nie jest tylko widmem chorej wyobraźni. On jest, tak realny i rzeczywisty jak pan i ja. On jest!

Obejrzałem się bezwiednie.

— Tutaj go niema, ale stoi na ulicy, pod domem...

Zerwałem się z miejsca.

Otworzył okno narozcież.

Wyjrzałem. Ulica była mroczna, noc toczyła się posępnym nurtem ciemności. Śnieg już nie padał, lecz niebo szarawym tumanem wisiało nad miastem. W nieprzejrzanych ciemnicach, nie tliło się ani jedno światło. Patrzyłem, nie mogąc nigdzie dojrzeć nawet cienia.

— Niech się pan wychyli, stoi na dole.

Spojrzałem w głąb — nawprost domu stał jakiś człowiek.

Było zupełnie ciemno i z wysokości trzech pięter, a miałem go jakby tuż przed sobą i widziałem jak najdokładniej.

Patrzył w okno i kiwał ręką.

Śpiesznie się cofnąłem, zasłona zapadła na okno.

— To nie halucynacja, nieprawdaż? — szeptał.

Wyjrzałem jeszcze raz.

Stał na tem samem miejscu, zapatrzony w okno.

Wróciłem zpowrotem w krąg światła.

— Wciąż stoi i czeka na mnie... To mój wampir — jęknął boleśnie.

A mnie ogarnął gniew, nic bowiem jeszcze nie rozumiałem.

— Jabym tego wampira kijem przegonił — odparłem.

Roześmiał się dziwnie drażniąco.

— Gdyby mnie ktokolwiek prześladował w ten sposób, takbym się z nim rozprawił, żeby mu się odechciało. Jeśli pan pozwoli, zejdę i rozmówię się z nim po swojemu.

Przytrzymał mnie za ramię i rzekł cicho:

— Naprożno, nikt go nie odpędzi, nikt.

— Przekona się pan za chwilę — zawołałem zirytowany.

— Ależ to nie człowiek, to widmo...

Zaćmiło mi się w oczach, nogi się ugięły, przysiadłem bezwiednie, ale ochłonąwszy nieco, poczułem

złość do siebie, że dałem się tak głupio zmistyfikować.

— Opowiem wszystko, może wtedy prędzej pan uwierzy.

— Kpiarz czy warjat? A zresztą, cóż mnie to obchodzi? Zrobi się dzień, pójdę i już się z nim nigdy nie spotkam! — myślałem, obserwując go baczniej, gdyż prawie byłem pewny, że lada chwila wpadnie w furję...

A on milczał znowu. Chodził niespokojnie, ginął co chwila w sąsiednich pokojach, pił herbatę, nalewał dla mnie, a niekiedy przystawał pod oknem, wyciągał rękę do zasłony i cofał się prędko, lękliwie. Czekałem, popijając gorącą herbatę, i czułem, jak krew zaczyna mi krążyć w żyłach prędzej i silniej, a mózg działa coraz sprawniej. Odeszło mnie zmęczenie i apatja, a ten dziwny czad strachów i niepokojów jakby wyparował ze mnie. Poczułem się tak silnym i spokojnym, jak kiedyś, przed miesiącami.

— To jest człowiek, którego zamęczyłem... — zaczął znowu.

Musiałem zrobić drwiącą twarz, gdyż wybuchnął niecierpliwie.

— Drwina jest tylko ślepą i głupią maską lęku przed niewiadomem. To pancerz głupców!—dodał ostro.

— Ależ tak, naturalnie, ma pan zupełną słuszność!—przytakiwałem, aby go już nie rozdrażniać.

— To człowiek, którego moja zemsta zabiła! To mój wróg nieubłagany, wróg za życia i wróg po śmierci... — mówił twardo, przystanął przede mną i zapatrzył się gdzieś przed siebie.

*

— Zabrał mi wszystko, rozdeptał jak robaka i zepchnął w otchłanie nieszczęścia! Sprzedał nas a winę zepchnął na mnie! Świadomie zgubił mnie i moich. Chciał się nasycić naszem cierpieniem. I nie mogłem się wyrwać z jego szponów, i nie mogłem się zemścić. Niedosięgły był dla mojej kuli, ni noża. Och, długo niedosięgły! I strzegł się przytem, bo chociaż mnie zniweczył i wdeptał w błoto, wiedział, że dopóki żyję i zemsta moja żyje i czeka...

A hodowałem ją hańbą swoją i nieszczęściem.

Opowiadam bezładnie, bo wszystko mi się naraz przypomina i tłoczy w pamięci! A może straci władzę nade mną, jeśli tę tajemnicę powierzę panu! Zresztą, wszystko mi już jedno, nie dzisiaj, to jutro zwycięży mnie i zabije...

— Czy stoi tam jeszcze? — zapytał naraz.

— Stoi! — odparłem, wyjrzawszy na ulicę.

— Będzie czekał do rana... jak zawsze... Tak, nie mogłem go dosięgnąć, długo nie mogłem nakarmić głodnej zemsty... aż jakimś cudownym przypadkiem dowiedziałem się, że ten pan wszechwładny strasznie boi się śmierci. Nie odwiedzał chorych, nigdy nie szedł za niczyją trumną, i wprost nie wolno było przy nim mówić o śmierci. Przyszła mi wtedy dzika myśl. Będę mu przypominał o śmierci. Zacząłem go prześladować listami, pisałem co pewien czas, z różnych miejsc świata, a w każdym liście były tylko te słowa:

— „Umrzesz... Czekam“.—

— Dziecinny to był sposób zemsty, ale wkrótce się dowiedziałem, że wspaniale działał.

Podobno wił się w strachu i bezsilnej złości.

I nie mógł się wykręcić od ciosu, bo ja nie przestawałem, posyłałem mu te słowa raz na miesiąc w różnych dniach; przesyłałem w listach, drukowałem je na pierwszych stronach gazet, wsuwałem do książek, które musiał przeglądać, wysyłałem depeszami...

I syciłem się nieopowiedzianą rozkoszą zemsty niechybnej. Wymknął mi się jednak.

Dowiedziałem się, że otoczyła go cała armja, przez której ręce wszystko musiało przechodzić. Zasłonił się nimi, i moje ciosy przebijały próżnię, nie dosięgały go wcale.

On odetchnął, a ja szalałem z bezsilnej wściekłości.

Lata całe szukałem nowych a niezawodnych sposobów.

Aż niedawno, parę lat temu, przeczytałem starą, średniowieczną legendę o zemście okrutnej a wyrafinowanej, o zabijaniu wrogów z odległości. Postanowiłem spróbować.

Dla nienawiści nie istnieją rzeczy niepodobne, a sprężoną wolą można uderzać jak maczugą i druzgotać. Przekonałem się o tem. Kazałem ulepić z wosku blichowanego siedem jego posągów. Tak zalecał prawieczny ceremonjał.

— Ach, tamte w salach — zawołałem mimowoli.

— Pokażę panu drogi, jakiemi chodziła moja zemsta.

Zapalił świecę i poprowadził do czarnych pokojów.

— To pierwsza stacja zemsty! — szepnął, zdzierając całun.

Posąg wyłonił się w słabem świetle, nagi a blady niby trup. Stał podkurczony i pogięty jakby w skamieniałej męce, nogi miał oblepione krwią zaskrzepłą, twarz wykrzywioną.

— Poprzebijałem mu palce u nóg, a każdy innego dnia, żeby więcej czuł i dłużej cierpiał... Od tego zacząłem...

Tak, nogi miał przybite sztyletami do podstawy.

Zgroza podniosła mi włosy, wydało mi się, że to człowiek, który jeszcze cierpi, że jego wykrzywione usta krzyczą miłosierdzia.

— I wola moja przemogła! Modlitwa zemsty została wysłuchaną. Spełniło się, czego pragnąłem.

Głos jego świstał jak chlastanie szpady i przebijał mi serce niewytłumaczonym lękiem.

Odsłonił drugi posąg.

— A potem zabiłem mu prawą rękę...

— A potem lewą...

— A potem — kolana...

— A potem — ramiona...

I szepcąc tę okropną litanję, odsłaniał kolejno posągi...

I kolejno z pod czarnych zasłon wyłaniały się okaleczone, krwawe i ohydne trupy....

Wszystkie były zastygłe w skurczach mąk niewypowiedzianych.

Wszystkie były podarte i pocięte, całe w skrzepach krwi, w ranach i pozabijane po stokroć razy.

A wszystkie oczy przekłute krzyczały niemym głosem męki.

— Tak, zabijałem go powoli, przez całe lata. Zwolna nasycałem duszę zgłodniałą i oczy, bo jak pan widzi, wszystko, co przecierpiał w rzeczywistości, odbijało się na jego podobiznach. Całą ucztę miałem wciąż przed oczami, że każda jego rana i krzyk każdy grały mi w duszy niewysłowioną pieszczotą...

Mówił cicho i snuł się jak wampir pomiędzy trupami posągów, a drżącemi rękami dotykał ran zastygłych, głaskał kadłuby i wbijał głębiej sztylety.

Strachy dzieciństwa, lęki bajek, mar i zjaw straszliwych, załomotały mi w mózgu. Wydało mi się, że pokoje zapełniają się tłumem strzyg, pokutnic i wisielców, że otaczają mnie piekielnym korowodem i wiodą na jakieś dno okropności...

— A kiedy go już tak obgryzłem, że pozostał z niego tylko pień, dałem mu znać, że to ja się tak mszczę...

Zrozumiał i zabłagał o miłosierdzie.

Nie dałem się litości. Gdyby miał sto istnień, wziąłbym je z radością.

Ale pofolgowałem mu cierpień, zapragnąłem uderzyć w niego z innej strony.

Miał dzieci, które podobno bardzo kochał.

Postanowiłem je zniszczyć powoli, aby już mękę wypił do dna. Nie udało mi się jednak, przeholowałem, bo za pierwszym ciosem, gdy mu pokazali martwe dziecko, umarł...

Straciłem wtedy cel życia!

Wszystko mi było obojętnem prócz niego.

A on wymknął się z moich szpon.

Przepalała mnie gorycz niedopitej zemsty.

Wiedziałem wprawdzie, że pozostała rodzina, ale jakiś głos wewnętrzny ciągle mi szeptał:

— Niewinni!

Nie usłuchałem.

Do dziesiątego pokolenia niech żywi pokutują za umarłych. A tylko śmierć może oczyścić ziemię z kału i zbrodni.

Więc w jakiś czas zacząłem prześladować jego rodzinę.

Byłem wtedy w Paryżu, i jakiejś nocy przystanąłem na moście Pont-Neuf. Noc była jesienna, dżdżysta i zimna, wsparty o balustradę, patrzyłem w Sekwanę, w czarne, rozszumiałe fale, po których tańczyły czerwone blaski świateł mostowych.

Marzyłem o dalszej zemście, gdy ktoś mnie zawołał.

Odwróciłem się śpiesznie.

On stał przede mną i rzekł:

— Czekam... teraz na ciebie kolej...

Przywarłem oczy myśląc, że halucynacja.

Kiedy się obejrzałem, nie było nikogo, sam jeden stałem.

Że najzupełniej byłem pewny przywidzenia.

Ale po pewnym czasie znowu się zjawił i z tem samem.

I już mnie nie opuszcza.

Zjawia się niespodzianie, snuje się za mną po ulicach jak cień, lub stoi tam, na trotuarze i czeka na mnie, czeka wciąż...

Naraz obejrzał się, blednie, rzucił świecznik i uciekł do gabinetu.

Nie próbowałem go nawet uspokajać, jakąż dać mogłem radę na takie cierpienia, przytem i sam byłem zdenerwowany do szaleństwa, nie wiedziałem dobrze, co się ze mną dzieje...

Pozamykał drzwi na jakieś sztaby żelazne i pozasuwawszy je sprzętami, wcisnął się jak dziecko wystraszone w fotel głęboki. Po długiem milczeniu odezwał się słabym, żałosnym głosem:

— I już mnie nie opuści na wieki... Nie ucieknę przed nim, nawet śmierć mnie nie obroni przed nim, bo wiem, że i po drugiej stronie będę, jak i on jest!...

— Cicho! Ktoś idzie! — zakrzyczał, jakby kamieniejąc na miejscu.

Rozległy się powolne, wymierzone kroki w głębi mieszkania. Ktoś szedł ku nam... słychać było wyraźnie... trzaskały drzwi otwierane... skrzypiała podłoga... strach znowu chwycił mnie za gardło, nie mogłem się poruszyć... był już coraz bliżej... już zatrzęsła się lampa szczęknęły kryształowe kule... z hukiem opadły żelazne zapory... zakołysały się portjery, jakby wiatrem tknięte, i ozwał się cichy, daleki głos, jakby z głębi grobów płynący...

— Czekam... Na ciebie teraz kolej...

Uciekłem oszalały, a za mną wybuchnął przeraźliwy krzyk i gonił mnie przez puste pokoje...

Jak się wydostałem z tego domu, nie pamiętam, wiem tylko, że znowu znalazłem się w ciemnościach nocy i na ulicy.

„On“ stał naprzeciwko, jak go pierwszy raz zobaczyłem.

Lecz nim zdążyłem uciec, nim zdołałem się poruszyć, gdzieś wysoko nade mną trzasnęło okno i jakiś człowiek runął wdół, na bruk...

Na trotuarze nie było już nikogo.

Tylko na bruku leżał jeszcze ciepły trup.

Ulica była pusta, świt się podnosił i drzewa cicho szemrały.

Uciekałem ze wszystkich sił.

Gdzieś woddali zagruchotały salwy i burzliwy krzyk tłumów zamiotał się w przestrzeniach, jak krzyk fal, bijących gniewnie w okowy brzegów...

Warszawa, 4 października 1907.

FRANEK

Był maszynistą, inspicjentem, afiszerem, zamiataczem, statystą i Bóg wie czem już nie był. W towarzystwie, do którego składu należał, spełniał wszystkie funkcje — a gdyby było potrzeba, mógł nawet „pokazywać bogów“, t. j. przedstawiać nieme lub kilkuwyrazowe role. Był najniezbędniejszym rekwizytem towarzystwa.

— Franek, zmianę! Franek, potrzeba laski na scenę! Franek, po jakich ja słowach wychodzę? Franek, dzwonić, Franek, do kurtyny! — To „Franek“, „Franek“ — na wszystkie tempa wywoływane i wszystkiemi rodzajami głosów—rozbrzmiewało zawsze podczas spektaklu po scenie, kulisach i garderobie małego prowincjonalnego teatru. A on, mały, suchy, z twarzą pergaminową, długą a płaską, bez wyrazu, pomiętą — z twarzą głodomora, o tonie brudnym, popryszczonym wyrzutami — kościach policzkowych dziwnie zapadniętych, o czole niskiem, cofniętem przy skroniach wtył, poplamionem żółtemi plamami, zaczerwienionem zawsze. Ubrany w jasne palto wypełzłe i zniszczone — w sztylpach lakierowanych, imitujących długie buty — zawsze w jakiejś żokiejce na głowie, biegał bez odpoczynku od aktora, któremu pomagał robić brzuch z poduszki, do dyrektora, który napół ubrany, wyglądał przez otwór w kur-

tynie—na wchodzącą publiczność, a któremu do samego wyjścia na scenę trzeba było szukać jakiejś części garderoby. Tam potrzeba było wylecieć z kijem przed teatr, rozpędzić bandę hałasujących żydziaków, tu przynieść amantce jeden z trzech kufli piwa, bez wypicia których nie grałaby, przykręcić lampy i lecieć szybko do kurtyny, aby ją podciągnąć — „a uważnie, błaźnie, na gazy, mówię ci sto razy", jak co spektakl powtarzał dyrektor, i znowu biec, brać scenarjusz w rękę i mieć wpogotowiu wszystkie drobne rekwizyty. Tak, bo był i rekwizytorem. Brał po dwa ruble od przedstawienia za dostarczanie wszystkiego, co tylko było potrzebne do ubierania sceny. Wyręczał także reżysera, a mianowicie wtedy, kiedy to publiczności, słabo reprezentowanej, trzeba oznajmić, że „z powodu pustek w kasie teatr zamyka się". Spełniał to ostatnie nie z przyjemnością, bo wiedział, że po takiem odwołaniu przedstawienia, dostanie tylko połowę kosztów i nic z działów na swoje trzy marki. Towarzystwo grywało na działy, których lwią część zabierali: dyrektor z Simonką, naiwno-liryczno-operetkowo-gabinetową primadonną, ojciec dramatyczny i komik, nieporównany „kańciarz", bo pierwszy amant — wspaniale, modnie ubrane bydlę—był „krowienturą" świeżą jeszcze, przeto mało płatną. Swoją drogą Franek spełniał tyle uciążliwych obowiązków bez szemrania. Był wszędzie, gdzie go tylko mogli potrzebować. Zdawał się dwoić i troić, aby tylko nastarczyć. Szturchańce, bo i to go spotykało od zniecierpliwionych, kaprys, dzikie popędy zdenerwowanych, szydercze uwagi, wszystko to znosił z nie-

wyczerpaną cierpliwością. Zdawał się nie mieć krwi i nerwów w sobie. Tylko czasami, gdy mu kto za bardzo dokuczył, lub za boleśnie pociągnął za włosy, oczyma błyskał żałośnie, lecz milczał. Ach, te oczy! co one tam robiły pod tą nieforemną, przykrytą żółtawą czupryną, czaszką? Takie wielkie, barwy najciemniejszego lazuru, a wiecznie pokryte jakąś zasłoną szklistą — jakby łez zastygłych. Zdawało się, że ich światło skierowane jest z zewnątrz—w jakieś przepaściste głębie ducha. Z powodu tych oczu cierpiał najwięcej od amanta, który miał głęboko schowane bez wyrazu i koloru oczy.

— Co takiemu bydlakowi po nich? — mawiał — gdyby człowiek miał podobne, to — no!...

To „no“ było wypowiadane z jakiemś rozmarzającem mrugnięciem i miało głęboko sięgające znaczenie,

Franek pomimo wszystkiego trzymał się tego jednego towarzystwa od lat kilkunastu. Przywiązywał się do wszystkich, którzy w niem byli czas jakiś, a szczególniej do dyrektora, u którego ojca zaczął swoją artystyczną karjerę — może z marzeniami o sławie? z duszą przepełnioną pragnieniem grania Hamletów, Learów i t. d., może!—To tak dawno. Mówił, że już nie pamięta, gdy go jaki nowicjusz zapytywał. Pogrzebał przeszłość tak głęboko z jej porywami, tęsknotą, nadziejami, że chwilami naprawdę nie wiedział, czy istniała kiedy. Był pogodzony z dolą; na nic nie czekał, niczego nie pragnął! Żył z dnia na dzień, z godziny na godzinę, aby dalej. Zadzwonią, kurtyna zapadnie i sza — bez bisów — jak się raz odezwał.

Zresztą był milczącym, nie lubił rozprawiać. Bo i o czem? Ani słuchał rozmawiających. Co go to wszystko obchodziło? Miał robotę — robił, nie myślał; nie miał — szedł z suflerem Zmarźlakiem do knajpy i grał dniami całemi w domino — i także nie myślał. Brakło partnera, albo był za bardzo spity — szedł spać, — ot i wszystko!

Obojętność jego była nieczułością.

Za jego pracowitość niezmordowaną, przywiązanie bezinteresowne, odwzajemniano mu się nieraz na różny sposób. Niewielu, co prawda, widziało w nim człowieka, tylko jakieś popychadło, automat, usługujący równie dobrze i pośpiesznie tak za kułaka, jak i za dziesiątkę.

Sensację zrobił pewnego razu na próbie. Bohaterka, wypełniająca prywatnie obowiązki dyrektorowej, przyszła na próbę w złotym humorze.

— Franek, piwo! — W tej chwili prawie postawił przed nią kufel. Knajpa była obok. A ona, skończywszy pokazywanie wszystkim pierścionka, który dostała na wczorajszej bibce — robiła tak zawsze — zawołała go w kulisę i wspaniałomyślnie zaproponowała, aby się przeniósł na mieszkanie do jej kuchni.

— Bo ty podobno nigdzie nie mieszkasz?

— E — e — mieszkam, proszę pani dyrektorowej. Lubiła ten tytuł.

— Gdzie?

— Tam na Olejnej. Pani dyrektorowa nie wie? mieszkamy ze Zmarźlakiem razem.

— To bydlę rozpoi cię.

— Cóżto szkodzi, proszę pani?

— No tak, tak — ale u mnie nie możesz być pijanym.

— Dobrze, nie będę pił — wszystko mi jedno.

I ucałował na podziękę ręce kandydatki na dyrektorową.

— Sprowadź się zaraz.

— Dobrze.

Akurat ktoś go potrzebował posłać do szewca i w tym celu ściągnął nawet z nóg kamasze, którym nagwałt pomoc dać należało, i, siedząc w kulisie, głosem tylko miał brać udział w próbie.

— Franek, zaniesiesz, widzisz — niech ci na poczekaniu zrobi.

Franek przybrał stanowczą minę i powiedział, że nie ma czasu, nie pójdzie.

— Dlaczego, małpo, nie pójdziesz?

— Bo przeprowadzam się.

— Skąd? gdzie?

— Od Zmarźlaka do dyrektorowej.

— Ha! ha! — Franek się przeprowadza, ha! ha! wybornie! — przeprowadza się!

— Połamani bohaterzy i dotknięci szpicem Kronosa bohaterki! Proszę o głos! Hołota, — cichoże, bo chcę powiedzieć coś arcywesołego.

Uciszono się.

— Oto! powiadam, że nasza Esmeralda vel Simonka bierze sobie tego oto Quasimoda na stajnię— czyli inaczej, mówiąc językiem dla was zrozumiałym, nasze factotum — mówiący słynął z wyszukanych zwro-

tów i porównań w mowie — przeprowadza się, słyszycie — zaangażowała go przed chwilą do wszystkiego — i przeprowadza się.

Męska połowa towarzystwa wybuchnęła śmiechem, tak im się to komicznem wydało, żeńska zaś żółcią i śliną — tem zjadliwiej, że dyrektorowa oddaliła się.

— Faktora chce mieć pod ręką, obrońcę, parawan, kasjera.

— Kupiłaby sobie lepiej nowy garnitur zębów, bo starym wczoraj o mało się nie udławiła.

— Czy pani chcesz nabyć stary? Będę pośredniczył, może odstąpi po zniżonej cenie, jako dla istotnie potrzebującej — szepnął z galanterją zjadliwą „charakterystyczny“.

— Och! pan jesteś...

— Zachwycającym! — podsuflował cicho.

— O nie! raczej chwytającym „bębenków“ na karty.

— Za które to zyski, mówiąc nawiasem, pozwalasz mi się pani nazwać czasami szczęśliwym swoim wielbicielem — odpowiedział cicho z ukłonem.

Aktorka z godnością, jak przystało na matkę dramatyczną, odeszła w kulisy.

— Widział pan przed chwilą to publiczne afiszowanie się z pierścionkiem, wiadomo jak nabytym? O! ona umie naciągać facetów! I ja, która byłam w pierwszych towarzystwach, u Texla, Kościeleckiego, muszę z takiemi kolegować! Ach, to okropne!... Ani to

głosu, talentu, postawy... Bo to, proszę pana, co pan w niej widzisz, to wszystko sztuczne—od Pika—i to się tak rozrzuca! Ja mam przecież ręce także możliwe do pierścionków, co, nieprawda? I ja także mogłabym je mieć, gdybym tylko chciała, ocho! — w Warszawie w Bellevue to facety podali mi z krzeseł garnitur złoty—naprawdę, jak Bozię kocham! Ale nie wzięłam—nie, za bardzo siebie szanuję — brać od obcych! Co innego, jakby znajomy, przyjaciel taki serdeczny, jak pan, dawał, tobym wzięła — ale inaczej nie, nigdy...— mówiła to szeptem, szepleniąc i mizdrząc się „naiwna"— młoda, może 24-letnia kobieta, dość przystojna, ale zniszczona życiem, do młodego wielbiciela, który, widać było, że na dzień takiego słodkiego spotkania musiał zrzucić z siebie mundur szkolny dla większej niepoznaki — bo wyglądał, jak z krzyża zdjęty. Wcisnął się w krzesło tak, że ledwo go było widać i od wchodzącego odwracał się z przestrachem, jakby inspektora przeczuł.

— Franek! — wołała niezdecydowanego wzrostu, wieku, płci i piękności aktorka o nieustalonym repertuarze. — Franek! idź, przeprowadzaj się prędzej, bo pani dyrektorowa czeka, żebyś próchno wymiótł z mieszkania, nim goście nadejdą.

— No, a tymczasem możesz to tutaj zrobić! — zawołał któryś, śmiejąc się.—Aktorka spłonęła z gniewu i przyciszonym od złości głosem syknęła:

— Rodin!

— Gonerilla!

Tyranizowała matkę w najpodlejszy sposób.

— Ależ, na Boga! kiedyż się próba zacznie?

Franek wysunął się z teatru.

— Jeszcze niema wszystkich.

— Trzeba posłać, niech przychodzą. Mój Zmarźlaczku, idźno po te krowienty, bo jak pragnę dobrego udziału, oddam rolę i róbcie sobie, co chcecie.

— Powinieneś to dawno zrobić, publiczność umiałaby to ocenić.

— Och! publiczność i tak jest wdzięczną dyrektorowi, że menażerji nie puszcza na scenę.

— Tak, całej nie — tylko niektóre okazy...

— Panie!...

— Cicho, osły! Kalacie karczemną zwadą święty przybytek sztuki. Kłócicie się, jak szewcy.

— Nie — ale jak tenorzy.

— Albo jak aktorki...

— Panowie! proszę sobie artystkami nie wycierać zębów.

— Tylko?

— Kańciarz!

Całe towarzystwo zgodnie wybuchnęło śmiechem.

— Więc pani w ten sposób rozumiesz? Tak myślisz?...

— Stój, Garricku! Pani! ten młodzieniec znieważa cię. Posądza bowiem, że rozumiesz i że myślisz. O niegodziwiec! o łotr!...

Powiedział to komik, Wstawką nazywany, przysadzisty, o rozlanej twarzy i brzuchu, a zalanym talencie jegomość, i oddalił się śpiesznie, rzucając złośliwo-triumfujące spojrzenie wokoło.

Nazwany Garrickiem, młody aspirant do artystycznej nędzy, jeszcze niezbyt otrzaskany z postępowaniem współkolegów, a przeto pełen jeszcze młodzieńczego ognia, porwał się oburzony.

— Siedź pan, nie zważaj na mowy podobnych klownów. Trzeba czasem i zniewagę złożyć na ołtarzu sztuki — szeptała skonfundowana, ściskając rękę swego rycerza.

— Dobrze, pani, usłucham twego głosu—jest mi on rozkazem...

Podziękowała mu powłóczystem a głębokiem spojrzeniem podmalowanych oczu.

— ...ale nie rozumiem — mówił dalej — nie mogę pojąć, jak podobni w życiu ludzie mogą być przedstawicielami sztuki, apostołami piękna i szlachetności. Nie mogę się nawet domyślić, patrząc na nich, czy tam w tych piersiach płonie święty ogień sztuki. Nie rozumiem, jak można być pijakiem, szydercą, cynikiem, a jednocześnie artystą. Nie rozumiem.

— O szewcze Apellesa! Wiele jeszcze nie rozumiesz—wiele, wiele musisz pozbyć się z tego, co czujesz. Wiele razy grać na głodno, wiele nocy pić na czyje conto, nim zostaniesz aktorem.

— Wolałbym wcale nie być na scenie, niż czuć i myśleć inaczej.

— To odejdź w pokoju, mój synu! — odejdź. Mama i tata zabiją tłustego cielca na przyjęcie syna marnotrawnego.

— Panowie szydzicie, a przecież tu idzie o coś większego od nas — o sztukę.

— To ci farsiarz! ha! ha!

— Pozwólcie panowie i nie gniewajcie się na mnie zato, co powiem, ale sztuka nie jest celem dla was, nie kochacie jej. Myśli wasze zajęte czem innem, serca zastygłe, nie odczuwają nawet, co to jest sztuka?

— A wiesz ty, młodzieńcze, co to jest codziennie obiad, całe buty, mieszkanie zapłacone, łach jakiś swój własny na grzbiet, kieliszek sznapsa, za własną dziesiątkę kupiony? Ty nie wiesz jeszcze, dopóki ci starczy zapasów, przywiezionych z domu, ale my o tem dawno zapomnieliśmy — o, dawno! Odejdź, a jeżeli zostaniesz pomiędzy nami, to za rok — pomówimy o tem, co to jest sztuka. Dixi.

— A swoją drogą dołóż do swego zapału nowe buty na zapas i schowaj, przydadzą ci się na powrót — zakończył Wstawka.

— Kiedyż ta próba?

— Gdzie się pani tak śpieszy?—on jeszcze z klasy nie wrócił.

— Zmarźlak! hej Zmarźlak! chodźże tu, stara małpo. Gdzie dyrektor?

— Zaraz idzie — kończy partję.

— A Dżalma?

— Spotkałem go, szedł z temi pannami z za mostu na spacer i powiedział, żeby go kto zastąpił, bo teraz nie ma czasu, przyjdzie na popołudniową.

— Samiec!...

— Nie, to przechodzi pojęcie!...

— Twoje, ma się rozumieć.

— ...jutro się gra, nikt roli nie umie, na próby nie przychodzą: będzie klapa! jak Boga kocham, jeneralna klapa.

— Nie kracz, wrono!

— Że sztuka pójdzie pod psem, za to ręczę.

— Ma się rozumieć, skoro ty w niej grasz.

— Żeby to spektakl był dobry!—bo jak wstawić pragnę kubełek piwonji, bryndza aż śmierdzi — ani cebuli, ani w co wkrajać.

— Jak pogody nie będzie, to i publiczność może nie dopisać...

— Nie bój się. Dopisze, ale tobie na grzbiecie, jak się będziesz sypał, jak wczoraj.

— To małpa Zmarźlak spił się, jak świnia, i nie poddawał...

„Jowiszu, przed twój tron idziemy wieńce pleść".
„I tobie cześć — I tobie"
„Jowiszu i t. d."

To dyrektor wchodził z piosenką na ustach.

— Jak się macie, robaczki! — zawołał do kobiet. — No, panowie, zaczynamy próbę.

— Czas jużby było — czekamy...

— Widzisz, Ofeljo, cudną karambolową partję graliśmy z sędzią. Znasz go, ten, co tak po uszy zakochany w tobie — i właśnie mówił mi...

— Wszystko mi jedno, co mówił. Nie potrzebuję gołych „fatygantów".

— Przecież to faco pierzasty! — wtrącił ktoś zboku.

— I! — ma tyle... — i pokazała figę.

— Pani bo jesteś zawsze doskonale informowaną...

— Kota w worku się nie kupuje, to żaden interes — zawołał Wstawka.

— Franek! Franek! scenę ustawić do pierwszego aktu.

— Niema go; przeprowadzać się poszedł.

— Gdzie?

— Do Simonki.

— A! — no, mniejsza. Panowie, pomóżcie mi, ustawimy sami.

— Zaczynać, zaczynać. Gdzie Mazepa?

— Nie przyjdzie, jest na innej próbie...

— Garricku! zamarkujesz pan za niego.

„O tu mi był Eden,
„Oczy twe były dla mnie gwiazdami zbawienia,
„Hymnem..."

— Mój drogi, nie blaguj. Udajesz, że się uczysz roli, a sypiesz się na scenie jak zwierzę — wołał dyrektor w kulisy do grającego rolę Zbigniewa, który swoją obecność i pracowitość w ten sposób manifestował...

Rozpoczęto próbę. Kuleli, sypali się, wracali do scen niektórych po dwa razy, ale powoli, powoli, rozgrzewało ich to arcydzieło dramatyczne. Przycichało w sali, uciszono się w kulisach, nie było słychać rozmów, przycinków, szyderstw, kawałów. Nawet ci, którzy w tej sztuce nie grali, słuchali jej z pewnem sku-

pieniem ducha. Genjusz jasnemi skrzydłami poezji zwyciężył ich codzienność — i panował chwilę.

I Franek w trzecim akcie się zjawił. Usiadł w kącie przy proscenjum i patrzył. Był, jak zwykle, apatyczny, zimny; twarz miał bezmyślną, a oczy martwe. Tylko usta miał ułożone do jakiegoś wewnętrznego uśmiechu, pochylał nieznacznie głowę — można było przysiąc, że w takt wierszy, mówionych na scenie. Nawet Wstawka, wyuzdany cynik i szopkarz pierwszorzędny, nie mógł się oprzeć, aby nie powtarzać za mówiącymi kilku wierszy.

— Widzisz, kulfonie! — mówił zniżonym głosem do Franka. — To sztuka! — i odszedł powtarzać wszystkim to samo.

Po skończonej próbie „charakterystyczny“ zaproponował spacer przed popołudniową próbą.

— Zaprowadzę was w jedno cudownie odkryte miejsce, gdzie dają kotleciki — no, caca — z sałatką po 15 kop. porcja. Ale powiadam państwu, delicje! Czegoś tak smacznego...

— Twój dziadek w szabas nie jadał.

— Wstawka się już chlapnął i bredzi.

— E, gdzieżtam, — oponował z miną żałosną komik — ani nawet kieliszka jednego, marnego kieliszka — nic! Na chęciach nie zbywało, ale...

— Vae victis przez pustki...

— W mózgownicy! W marmurze ryć taką prawdę— w marmurze.

— Jak to zaraz znać, żeś czyścił koturny profesorowi łaciny.

— Panowie, panowie, nie gryźcie się, bo i tak was gryzą...

— No! więc idziecie na podwieczorek? — pytał Garrick.

— Dobrze, dobrze, kiedy prosisz, to i owszem, no, bo prosisz!...

Garrick w milczeniu, acz niechętnie, skinął głową potakująco.

— Jakże nisko teatr upadł! naciągać swoich! — mruczał Wstawka, oburzony naprawdę.

Wyszli z teatru.

Charakterystyczny szedł pierwszy z którąś z aktorek i, z zapałem smakosza, opowiadał, jak się robią dobre kotlety z cielęciny.

— Ten się minął z powołaniem, powinien być kucharzem.

— Protestuję w imię zdrowych żołądków!

— O oleum ricini! jakże byłobyś poszukiwane!

— Panowie i piękne panie!... nie gniewajcie się, białogłowy, że mówię „piękne panie“ — jest to niewinna figura retorica — otóż panowie! Tak, posłuchajcie — powiem przypowieść biblijną. Krowienty wrócić się, rozdziawić gęby, nadstawić słuchy, bo mądrość będzie płynęła z ust moich potokiem.

— Jak przez nie sznaps!

— Do rzeczy, do rzeczy! mówże Wstawka, bo niema czasu.

— Otóż: pewnego czasu... nie, — nie tak.

W on czas, rzekł Zeus do Nataniela proroka, idąc z nim de pache ulicami Koryntu:

— Spojrzyj przed się! — i Nataniel spojrzał.

— I cóż widzisz?...

— Chłopię izraelskie, rozlepiające afisze na jutro.

— Patrz dalej. I cóż widzisz?

— Dwoje nieczystych stworzeń, w pyle leżących.

— O krótkowzroczny!

— Panie, noszę ósmy numer pince-nez.

— Kto zapisywał?

— Wolfisz.

— Parszywa owca w stadzie Izraela. Mówię ci, przejrzyj!

— Już widzę.

— Co?

— Człowieka wysmukłego, jak grusza Maćkowa, o twarzy koloru twojego nosa, o nieśmiertelny!

— Natanielu, zakazuję ci porównań! Mów, sam jest?

— Z niewiastą...

— Przystojna?

— Tak, panie, ale zwróć swoją uwagę gdzie indziej, bo ma zazdrosnego kochanka.

— Drwię sobie z tego w olimpijski sposób. Mów, słucham.

— Nachyleni do siebie szepcą.

— Co mówią?

— On opowiada, jak się, o panie, przyrządzają kotlety cielęce, a ona słucha z miną kwoki, gdy kur wydobywa przed nią tłustego robaka.

— Powiadasz, że mówią o kotletach?

— Tak, o nieśmiertelny!

— Hm! u mnie także mają być dzisiaj kotlety na obiad. To już pewnie czas... Ten smyk, Faeton, gotów przyjść wcześniej i zje wszystko... a baba każe mi zrobić zacierek. Brrr! Natanielu!

— O panie!

— Która godzina?

— O synu Kronosa, z rumieńcem przyznam ci się, że... zastawiłem wczoraj swój czasomierz.

— Naco?

— Panie, przebacz, ale miałem wieczorem randkę w botanice.. i... potrzebowałem. Ale ty, o Zeusie, masz złoty chronometr, dar imieninowy twej ślubnej.

— Tak... mam, mam, tylko chwilowo ten łotr Merkury zabrał go... za ten ostatni kosz szampańskiego... Natanielu! cóż tam widzisz więcej? co czytasz w tych postaciach?

— O panie, mamże mówić to, co zasmuci serce twoje?

— Mów! mów! chyba jeszcze zdążę na obiad.

— Widzę, panie, na czołach tych ludzi, w oczach, w sercach wypisane: „Ja jestem głupstwo“. Przebacz im potężny! nie marszcz brwi! Cóż winni, że przyszli na świat takimi?

— Co?! w mojem państwie głupstwo miałoby grasować? nigdy, jakem Zeus — nigdy! Upornych, co w niem trwać będą, do ula—uważasz. Albo nie. Niech płacą po miarze pszenicy i dzbanie Falerna. Wino odesłać mi zaraz, trwających w błędzie, a szczególniej nie płacących sztrafu — zabijaj! Masz tu pioruny. Ja odchodzę na obiad, musi być późno, a Junona — o!...

— Panie! tu tylko są puste patrony, a gdzież jest ogień, którym ukarzę opornych?

— E! — głupi jesteś, mój kochany, nudzisz!

— Wierny twój sługa, o Zeusie.

— No, to weźmiesz od Merkurego na... rachunek.

— Ale, ale, ogłosisz to jeszcze: „I wszyscy sprawiedliwi, prawomyślni, odwracać się będą od tej pary, pod najstraszniejszą karą — zarażenia się głupstwem".

— Hm! komorne niezapłacone. Juno potrzebuje sukni i kapelusza, trzeba dać à conto w handelku, szewca zapłacić, sobie kupić szlafrok i tabakierkę, zapłacić długi tego hultaja, Dianie kupić prezencik — może się uda dojść z nią do ładu. Hm! ładna szelmutka!... Natanielu! — zawołał gromowładny za oddalającym się, — Natanielu! Uważasz, postaraj się, żeby tylko tych sprawiedliwych nie było za wielu. Ty umiesz to urządzać. Bo widzisz, cóż robić? ciężkie czasy...

Tak rzekł Zeus, pan na Olimpie lit. *b* z przyległościami, i wsiadłszy w jednokonkę — odjechał.

A Nataniel prorok, przywdziawszy ochędożne szaty, stanął przed bóżnicą Melpomeny i, opowiedziawszy, tak zakończył:

— Zaprawdę! zaprawdę! powiadam wam, że porcja kotletów za 15 kop. i do tego z sałatą—to blaga na gruby kamień. Chyba, że za gotówkę. A jeśli tak, to kamionujcie fałszywe proroki, które sprowadzają wasze chęci na bezdroża pożądania — nadaremnego, a mnie każcie dać sznapsa, bo strudzone są piersi moje, usta pragnące, a żołądek wyschły, jak piaski Sahary.

— Mógłbyś być sługą w winnicy pańskiej, nieźle każesz.

— Wolałbym być włodarzem.

— Aby mieć klucze od piwnic, ha! ha!

— Mój Boże, co to czas, życie z człowiekiem robi? — mówił szczupły, wysoki, z wybitnie aktorską twarzą drugi komik, stając przed Wstawką i mierząc go złośliwie litościwym wzrokiem... — Panowie! pomyślcież, że w tym człowieku było trochę dowcipu, trochę rozsądku, ździebełko talentu — a dziś. Słyszeliście go mówiącym, przypatrzcież mu się teraz. Nic nie widzicie?... Prawda! jakże w absolutnej próżni można co zobaczyć?...

— Wiesz co? — syknął Wstawka — poślij swój dowcip do szewca, niech go podzeluje, bo ci się djablo zdarł.

— Dowcipu nie potrzebuję dawać, ale buty rzeczywiście krzyczą o podeszwy. Poradź mi, który z twoich dawnych kolegów to najlepiej zrobi?

— Poradzę ci napić się oleju, może choć troszka przedostanie ci się do łba, boś strasznie zidjociał.

— Niech na usprawiedliwienie starczy mu pańskie towarzystwo — zawołał „charakterystyczny“ złośliwie, mszcząc się za opowieść.

— Brawo, brawo! Razowiec! — tak przezywano ostatniego.

— Franek!

Franek szedł ze Zmarźlakiem na końcu, milcząc. Nie słuchał mówiących. Co go to obchodziło? A po

drugie dowcipu niesytuacyjnego, nie na scenie do tego, nie rozumiał.

— Franek! pani dyrektorowa woła. Leć-że prędzej, a sprawuj się dobrze, to dostaniesz serek! — wołał Wstawka.

Franek poszedł śpiesznie — zabrała go z sobą.

Dla Franka z przeprowadzeniem się do Simonki nastały lepsze czasy. Kandydatka na dyrektorową mieszkała elegancko. Aktorki mają szczególny dar szybkiego przystrajania mieszkań byle czem. Dwa pokoje, jakie zajmowała, były urządzone trochę jaskrawo, ekscentrycznie, niemniej jednak oryginalnie i wytwornie. Łóżko pod pawilonem z kremowych tiulów, podszytym blado-różową materją, królowało w drugim pokoju. Podłogi zaścielały dywany, bądź swoje, otrzymane w podarunku od wielbicieli, bądź te, których Franek pożyczył na mieście do rekwizytorjów na scenę. Albumy, fotografje właścicielki w kostjumach, pół-kostjumach i prawie bez kostjumów, poumieszczane w ramkach ze sztucznych kwiatów, porozrzucane po stolikach, konsolkach, błyszczały za szkłem jak na wystawie i zapełniać się zdawały gwarem mieszkanie. Światło, przyćmione u okien ciężkiemi firankami, tworzyło jakiś półcień tajemniczy. Długie kosze do garderoby, pookrywane kawałami materji w fantastyczne desenie i barwy, służyły za sofy i nęciły do siebie. Wachlarze z piór białych i czerwonych różnego rodzaju, gatunku i wielkości, porozrzucane po meblach, poprzyczepiane do ciemnych ścian, pogłębiały ton ogólny, występowały jaskrawie z tła, drażniły nerwy dysonansem.

Chińska latarnia pod olbrzymim parasolem u sufitu dopełniała dziwaczności. Bukiety à la Makart, statuetki, wazony, patery z ceramiki i minerałów, porozstawiane z widocznem usiłowaniem niedbałości i harmonji, walały się obok kart, popielnic, niedopałków papierosów, szklanek, butelek z winem i wódką, flakonów z perfumami i pudełek z pudrem. Wykwint, pomieszany z nieładem i jaskrawością cyganerji teatralnej, mieszał się wszędzie i dopełniał. Co jaskrawsze i oryginalniejsze kostjumy sceniczne wisiały po kątach.

Bywało tu wcale inaczej po każdej bibce.

Obserwator byłby z tego urządzenia mieszkania czytał, jak z książki, z jakich sfer rekrutują się tygodniowi wielbiciele aktorki. Wszystko, co miała, czem rada się popisywała, było od kochanków.

Franek zajął kuchnię, przez którą się przechodziło. Kawałem jakiejś starej dekoracji przedzielił ją napół, w jednej połowie, gdzie był kominek, zamieszkał, z drugiej zrobił przedpokój. Mówimy: zamieszkał. Rozciągnął na dość czystej podłodze coś w rodzaju starej chustki, dywanika lub też kawała kulisy, na to strzępy jakiegoś futra — i mieszkał, bo miał się gdzie położyć i na czem. A prawda! Pod kożuch i derkę wsunął podługowate pudełko drewniane, i to tworzyło poduszkę. Jadał teraz stale śniadania. Dyrektorowa stołowała się w restauracji, a tylko śniadania jadała w domu. Franek nastawiał samowar co rano i podawał jej herbatę do łóżka, jeśli ma się rozumieć spała w domu — zato wspaniałomyślnie kazała mu sobie robić herbatę. Wywdzięczał się usłużnością. Była to natura, odpłacająca

każde doznane dobrodziejstwo w czwórnasób. Był ciągle na jej usługach. Chodził z listami, robił sprawunki, ubierał ją, zastępował służącą z zupełnem zadowoleniem obsługiwanej. Za to wszystko miał kąt swobodny, gdzie też i przepędzał wszystek czas wolny. Co robił wtedy? Nikt nie wiedział. Coprawda, nikt nie był ciekaw się pytać.

Ile razy kto wszedł, wyłaził od siebie poruszony jakiś, z ogniem w oczach, z twarzą dziwnie wypiękniałą i z rękoma powalanemi atramentem.

— Coś ty buty czyścił? — zapytał go raz dyrektor, ujrzawszy jego ręce, zdejmujące mu palto.

— E — nie — proszę pana dyrektora.

— A łapy masz powalane szuwaksem.

— To, to... atrament.

— Pisałeś co?

— List — szepnął nieśmiało. Kłamstwo przychodziło mu z trudnością.

— Do kogo?

Nie odpowiedział.

— Do domu?

Milczenie.

— No mówże! Nic nie wiem, masz gdzie rodzinę, czy nie?

— Wacek! chodźże, nie marudź! — ozwał się głos z drugiego pokoju.

Franek otworzył drzwi śpiesznie, uradowany, że mu się udało uniknąć wyjawienia prawdy. I starannie wymył ręce. Ukrywał się bowiem z tem, że pisał... sztukę; to jest przerabiał „Ulanę“ Kraszewskiego na scenę.

— Franek sztukę pisze! pisze sztukę, słyszycie, ha! ha! ha!

Franek bał się takiego śmiechu i komentarzy, urągowisk i bolesnych żartów towarzystwa. Dlatego to, co robił, robił tak pocichu i w tajemnicy, że tylko jeden Zmarźlak wiedział o tem. Ale jego był pewnym, że nie wyda. Myśl i chęć pisania tak go nagle opanowały, i tak gwałtownie, że się nie mógł oprzeć — musiał poprostu. I zaczynał siebie nie rozumieć, jak tyle lat przeżywszy, mógł nie pisać. Nie zważał na trud, na niemożebność. Wola jego wyprężała się w tym jednym kierunku: napisania sztuki i zobaczenia jej na scenie. Tem oddychał. Powód pobudzenia, wstrząśnienia był następujący:

Grano u nich po raz pierwszy „Chatę za wsią“, grano z olbrzymiem stosunkowo powodzeniem. Publika, jak zwykle publika, przepada za śpiewkami, tańcami i dziko-romantycznemi perypetjami, przeplatanemi grubym żartem i tanim patosem. Więc też „Chata“ podobała się ogromnie. Aktorzy, rozpromienieni lepszemi działami, grali z przejęciem. Rozprawiano też po pierwszem przedstawieniu prawie dobrze o sztuce, w miarę rosnącego powodzenia — i codziennych przedstawień przy pełnej kasie — entuzjastycznie. Wynoszono pod niebiosa i autora, i przerabiaczy, bo, dzięki nim, mieli niebywałe powodzenie. Frankowi, który w tej sztuce „robił tłum“, podobała się ogromnie. Przepadał za każdym jaskrawym efektem, za uczuciem, które aktor zwykle przyoblekał w formę nie wulkaniczną, ale epileptyczną, za rozczochraną grozą, o twarzy wykrzy-

wionej wściekle, tubalnym głosie, pianie na ustach i ramionach, rozkrzyżowanych, jak drogowskazy. Lubił taki teatr. Na subtelnych półtonach sztuk, gry, nie znał się. To też to, co lubił, znalazł w tej sztuce. Grano ją con amore, przeszarżowawszy. I z przyjemnością słuchał, jak aktorzy w garderobie wynosili sztukę pod niebiosy.

Garrick opowiadał, że prawie wszystkie sielskie powieści Kraszewskiego nadają się do przeróbki na scenę.

— Ot, macie naprzykład—„Ulana". Kto ją przyniósł? — pytał, biorąc książkę ze stołu z pomiędzy kilkunastu.

— Ja — odpowiedział Franek.

— Czytałeś ją?

— Nie. Pożyczyłem do rekwizytu na niedzielę i jeszcze nie miałem czasu odnieść.

— Ot! macie Ulanę...

I długo, szeroko rozwodził się nad jej treścią; coby to był za ładny i efektowny obraz sceniczny.

Franek słuchał i wkońcu zapytał ciekawie:

— Czy to trudno, proszę pana, sztukę napisać?

— Spróbuj napisać, to się przekonasz.

Franek roześmiał się jakoś bezdźwięcznie i nieśmiało szepnął:

— Trzeba umieć.

— Głupiś! — nikt nie umie pisać, zaczynając.

— Franek! Wiesz co? napisz, jak Boga kocham. Toby było kapitalne — uważasz! przedstawimy ją u nas. Wyobraź sobie: sala pełna, zajęcie ogromne, pierwsze rzędy we frakach, premjera przecież! Każemy

bić ogromne afisze różowe, na nich stać będzie; Ulana, sztuka sceniczna przez Franka, t. j. Franciszka i trzy gwiazdki, to zaciekawia. Kurtyna antłojf i szmerek na pe w początku aktu, przy końcu brawa, uważasz, brawa! a dalej krzyczą, wołają: autor! autor! O! to ci jest lusztyk! o! — szydził Wstawka.

— Nie zawracałbyś mu głowy.

— A może się w nim zbudzić talent.

— Do porządniejszego czyszczenia lamp chyba, bo kopcą dziś jak djabli.

— Słuchaj, Razowiec, ty go nie masz więcej od niego, a jesteś aktorem na stanowisku.

— Tłum na scenę! na scenę! — krzyczał dyrektor w kulisy z otwartej widowni i pogroził pięścią Frankowi, że na czas nie wyszli.

Niewiele zważał na to. Myśl, rzucona żartem, wryła mu się w samo dno mózgu, roznieciła przygasłe ognie młodości. Zdawało mu się, że spał długo, i ktoś go zbudził do drugiego życia, i że po raz pierwszy spojrzał na świat — takie było wszystko inne, nowe. Marzenia wypełzały z jam, i jak cienie, pełne w sobie tajemnicy i szczęścia, osnuwały mu duszę. A jakby się udało? I po przez szarą wstrętną oponę nędzy, upokorzeń i takiego życia bez jutra, bez myśli i bez marzeń, dusza mu się wydzierała do słońca, zrzucała więzy, otaczała się światłem i drżała z nadmiaru wzruszenia, kołysana pragnieniem niepowstrzymanem, nadzieją i strachem jakimś...

Był olśniony i przerażony razem swoją zuchwałością pragnień.

Franek była to dusza na obraz przyrody, która po zimie ciężkiej, burzliwej, budzi się na wiosnę pod gorącem tchnieniem słońca — i nie wierzy, że nie może kiełkować, rosnąć, kwitnąć, żyć; zapomniała w nędzach zimy o przeszłej wiośnie. Więc nieśmiało i bezradnie wysuwa się z siebie, aż rozpętana ciepłem i swobodą, symfonją cudów bierze świat w swe dobroczynne posiadanie.

Franek ledwie mógł się doczekać końca przedstawienia i, wychodząc, zabrał z sobą Ulanę. Przeczytał ją w ciągu nocy kilka razy z rzędu; spłakał się nad losem opuszczonej i rozpłomienił jeszcze więcej do napisania sztuki, osnutej na tym temacie. Myśl, popychana przez ambicję, zwyciężyła doreszty przygnębienie moralne i apatję, w jakiej żył od tak dawna.

— Tak, napiszę, napiszę! — mówił do siebie.

Nie wiedział tylko, jak się wziąć do tego. Myślał, jak zacząć, od czego — nie wiedział. Pocił się z wysiłku, rzucał wszystko do djabła i powracał do tego samego. Był obezwładniony tem pragnieniem i olbrzymiał jednocześnie pod parciem woli. Upór zwalczał zniechęcenie, powstałe z bezsilności. Zeszło mu tak ze dwa tygodnie na ciągłych walkach z niemożebnością wysnucia z mózgu jakiejkolwiek formy. Zaczynał, ale darł natychmiast. Ten początek był z tej sztuki — tamten z innej. Przez osłuchanie się na scenie, umiał ich tyle prawie napamięć, że bezwiednie — słowa zapamiętane pisał. Odczytując, poznawał z bólem upokorzenia, że to nie jego myśli. Nie chciał naśladować! Przez te dwa tygodnie zżółkł jeszcze więcej, po-

chylił się bardziej; usta miał czarne od gorączki, spieczone, czoło porznięte fałdami, a w oczach wyraz nigdy niewidzianego u niego rozmyślania.

Nie mógł chodzić z wyczerpania wewnętrznego, bo ani sypiał, jak się należy, ani jadał. Wprawdzie jadać—nigdy nie jadał tyle, ile potrzebował.

Rozdenerwowany w najwyższym stopniu, stawał się więcej jeszcze milczącym, więcej sennym, ociężałym i nieczułym na wszystko zewnętrzne.

Burza, jaka szalała w jego piersiach, ogień, jaki go trawił, nie przedostawał się nawierzch; trzymany siłą w głębi duszy, palił go powoli, wysuszał jego ciało doreszty. Ręce mu drżały, sił brakowało, z trudem mógł podciągnąć kurtynę. A gdy tylko mógł się znaleźć sam — płakał. Płakał z bólu nad swoją niemocą, aby potem z tem większą furją rzucać się do pracy iście Syzyfowej dla niego. Czuł, a później zrozumiał, że tylko dlatego tak mu nie idzie, że nic nie umie, nie zna, nie rozumie. To go dobijało. Co trzeba umieć? — zapytywał sam siebie. Wszystko! wszystko! — odpowiadało coś z niego. Jezus! wszystko!.. i ogarniał świat spojrzeniem duszy wszechwiedzącej i rozumiał w takiej chwili całą nieskończoność rzeczy, o których przedtem ani myślał, i wyczuwał marność swoją w całym jej ogromie. Znękany, zrozpaczony, przeklinał siebie, swoją nieudolność, nieuctwo i tych, którzy mu ten płomień rozniecili w piersiach. Tarzał się nieraz na swoim nędznym barłogu w strasznem uczuciu niemocy — nic nie pomogło, bo: „Krzycz, wrzeszcz, jak czajka, Na zawołanie nie przyjdzie bajka“,—jak Krasicki powiedział.

Nigdy też nie czuł się tak chorym, tak nieszczęśliwym, ostatnim z ludzi. W tych smutnych chwilach szamotania się zaczął rozmyślać nad sobą i położeniem swojem. Ale, co charakterystyczne, widział wszystko przez porównania z osobistościami sztuk. Nie znał innego życia. Tam są bogacze, on nic nie ma, mniejsza z tem; szanowani, bo mają pieniądze, szacunku dla czego innego nie rozumiał, nie wiedział, że istnieć może. Kochają się, przypomniał sobie, że przecież jego nikt nie kochał—nikt! Nie kochała go ciotka, która go wychowała po nagłej, jednoczesnej śmierci rodziców. Nie kochała go, bo ciągle go biła i jeszcze takim małym, boso, w zimie wypędzała na ulicę żebrać. Nie kochała go, wypędziwszy od siebie w dziesiątym roku życia w świat szeroki, z błogosławieństwem przekleństw i bicia na drogę. Och! pamiętał, przypominał sobie wybornie. Nikt mnie nie kochał!...—szeptał—i poczuł szalone pragnienie kochania czegoś, przyciśnięcia się do jakiejś piersi—i wylania na takiem wiernem, kochającem sercu wszystkich łez powstrzymywanych, wypowiedzenia wszystkich cierpień, bólów, trosk i upokorzeń, jakie teraz wrzały mu w duszy. Czuł w sobie ogromną potrzebę stania się komu użytecznym, należenia do kogoś. Uspokoił się, gdy mu przyszła na myśl sztuka jakaś, gdzie taki sam sierota, biedny, opuszczony, znajduje bogatego krewniaka, przygarniają go do siebie — i potem zostaje panem. Takim panem, który może jeść tyle razy, ile mu się podoba, i mieć wszystko, co mu potrzeba — tak, jak tylko miało kilka osób z ich „towarzystwa“: Simonka, Naiwna i Dżalma. Mają „bę-

benków“ — szepnął zazdrośnie. Nie rozumiał, żeby miało być co złego w naciąganiu bliźnich. Z tego wszystkiego wziął się do czytania. Pożyczał książki, gdzie się dało. Pożyczano mu chętnie do rekwizytu, bo odnosił prędko i nieuszkodzone. Czytał bez wyboru, ma się rozumieć—wszystko, dziś Borna, jutro Victora Hugo. Przestał grać w domino ze Zmarźlakiem, aby mieć więcej czasu. I nie przestawał szukać wskazówek do budowy sztuki. Teraz, przeprowadziwszy się do Simonki, miał wygodniej—od czasu do czasu mógł jadać obiady. Dochody jego znacznie się powiększyły. Napiwki za zdejmowanie palt, kaloszy i t. d. od odwiedzających aktorkę bywały nieraz sute. A prócz tego miał swój kąt własny, gdzie mógł swobodnie robić wszystko, co chciał. Zczasem udało mu się nareszcie znaleźć sposób zaczęcia sztuki. Brał z bibljoteki teatralnej różne dramidła, rozczytywał się w nich i rozpatrywał w ich budowie. Modelem dla niego była „Czartowska ława“.

Szło mu strasznie ciężko, a szczególnie z piosenkami nie mógł sobie dać rady. Nie zdołał zrymować dwóch wierszy. Zostawił je na później. Tymczasem pisał prozą. Przyniósł lampę z teatru, stawiał ją na ziemi, a sam, leżąc na brzuchu, wyciągnięty na posłaniu — pisał. Rękopis leżał na podłodze, jak i przybory piśmienne. Wymęczył już cztery akty, a piąty miał gotowy w głowie. Simonka dnia jednego poszła na kolację, oznajmiając, żeby nie czekał, bo może nie przyjdzie. Ucieszył się, że skończy. Rozradowanie pełne marzeń jaśniało mu w twarzy. Zaraz, jak tylko wyszła,

zabrał się do pisania, ale treści gotowej nie chciało mu się przenosić na papier; wolał myśleć, przypominać sobie niektóre sceny i planować wystawę sztuki.

Wstał, skręcił sobie papierosa i w skupieniu rozważał, którzy z jego towarzystwa i jakie role grać mogą. Rozmarzał się. Nie widział niemożebności, niepodobieństwa znikały przed jego roznamiętnioną oporem wolą. Palił papierosy jeden za drugim. Uśmiechał się do siebie, przymykał oczy, i wyobrażał sobie, jak to być może. Przenosił się myślą na scenę, zdawało mu się, że patrzy przez dziurę w kurtynie na salę. Pełna! — szepnął stłumionym wzruszeniem głosem. — Pełna! Fale głów. Ciche szepty międzyaktu, jak brzęczenie nadbiegają. Słychać tylko zamykanie i otwieranie drzwi wchodowych, skrzyp opuszczanych krzeseł, szelest suchy rozwijanych afiszy. Ciepło oddechów, światła, kurtyna kołysze i wydyma lekko. Kobiety po lożach wachlują się zawzięcie, słyszy najwyraźniej denerwujący chrzęst wachlarzy. Oczy błyszczą, a spojrzenia krzyżują się, jak błyskawice, po sali. Dzwonek! Przycisza się: drugi, trzeci. Zdaje mu się, że sam dzwoni, potem klaśnięcie w dłonie. Kurtyna idzie wgórę. Salę zalega cisza. Muzyka gra piano jakąś melodję. Tłumią oddechy. Na scenie obraz. Recytuje z zapałem — robi wrażenie. Publiczność zaczyna musować. Aktorzy nawet słuchają. Na sali gdzie niegdzie podnosi się chusteczka do oczów lub nosa, rozczulają się! Bierze ich sztuka. Teraz następuje przedostatnia scena Ulany z Tadeuszem, jeszcze nienapisana. Natchnienie porywa go, skalę głosu podnosi niezwykle,

gra z ogniem, uniesienie dźwięczy mu w głowie, bije z twarzy, promienieje w załzawionych oczach. Płaczą. Nie widzi już nic, — jeszcze jedna skarga, jeszcze jeden okrzyk bólu i rozpaczy. Skończył — cisza — potem grzmot — uragan oklasków rozlega się potężnem echem w jego mózgu. Krzyczą: Autor! autor! — Franek słania się jakoś ociężale pod wrażeniem nieznanego uczucia, wyprostowywa swoją skuloną postać, uśmiech głęboki wewnętrznego wesela duszy ma na ustach, twarz spoconą i czerwoną, włosy rozczochrane. Idzie kilka kroków przed siebie, odsuwa wspaniałym gestem płótno, dzielące kuchnię, kłania się poważnie, z godnością, lampie, stojącej na ziemi, kominkowi, posłaniu, ścianom brudnym, poplamionym, po których karaluchy, zwabione do światła, spacerują w szeregach wyciągniętych. Cofa się i powraca z takim samym ukłonem, bo słyszy ciągle brawa i wołania: Autor! autor! Czuje się wielkim, szczęśliwym i jakoś dziwnie spokojnym. Widzenie upaja go, jak wódka, jest szczytnym w swej komiczności. Biedne, osamotnione serce!

— Otworzysz ty, małpo?! Franek! Franek!—i słowom tym towarzyszą głośne aż nadto dobijanie się do drzwi i gwar rozmów w sieni.

Usłyszał po chwili i błędnym wzrokiem powiódł po izdebce — był dzień prawie, szarzało.

— Franek! Ach, zwierzę! Otwórzże!

Opamiętał się i, zdmuchnąwszy światło, poskoczył otwierać drzwi. Miał jeszcze w twarzy wyraz podniecenia. Oczy jego, zwykle tak martwe, rozpromienione były jeszcze. Usta miał tylko jakoś dziwnie ściągnięte.

Pierwszy raz uczuł rodzaj smutnego upokorzenia zależności — chwilę to tylko trwało.

— Mój Pedrillo, panowie, zaspał! Zaspałeś, Pedrillo, i trzymałeś donnę Annę pół godziny za drzwiami! Grałam donnę. Kto chce, niech na chwilę wejdzie, tylko na chwilę, później — addio i paa! A! a! — ziewała, zataczając się.

To Simonka wracała z biby, trochę wcześniej, niż zwykle, w gronie kilku wielbicieli.

— Panowie, pany, za mną! Urznęłam się. A! a! Zampa! Zampusia! ach, jesteś! Pójdź do swej pani, pójdź!

Chwyciła z łóżka małą, czarną suczkę i, potaczając się, biegała od jednego do drugiego.

— Panowie, to jeszcze Mascotta! tak, moja piesa jeszcze Mascotta.

— A ty, donno Anno? — zapytał któryś ze śmiechem.

Aktorka spojrzała na pytającego jakimś dzikim wzrokiem, później zawołała, rozkładając pięść i dmuchając w nią:

— Oho! fiut! i już. Dziewięć w kierach — lepsza! Mascotta! Zampa! Panowie! dobranoc! dobranoc! No macie, całujcie mnie, całujcie, i dobranoc!

Otoczyło ją wesołe grono pijanych, zataczając się, z kapeluszami na tyłach głowy, w gorsach pomiętych, ubraniach porozpinanych, zaplamionych, z twarzami czerwonemi, zezwierzęconemi piciem i żądzą.

— Prędko! — wrzeszczała — prędko!

Przyciskali się do niej ze wszystkich stron i całowali z lubieżnością.

— No dość, dość! poślinilíście mnie! Idźcie do djabła już. Przecież to już dzień!

Popatrzyli na siebie; za wielu ich było. Nikt nie miał ochoty iść pierwszy, sądząc, że sam jeden zostanie.

— Franek! pić mi się chce!

Franek przyniósł wody.

— Wynoś się z tem! — zawołał jeden, a widząc, że Franek stoi, nie wiedząc, co robić, pochwycił szklankę i rzucił ją w okno. Wyleciała razem z szybą.

— Franek, pić! — wołała żałośnie.

Czuła się coraz więcej pijaną. Duszne, przepełnione wyziewami kwiatów, powietrze mieszkania przytłaczało.

— Królowo! zachwycająca Azo! będziemy pić w tej chwili, wypijemy bruderschaft i wyniesiemy się.

— Franek, pić!

— Słuchaj, Bronek, skoczno do kupca, jeszcze chyba nie zdążył zamknąć, przynieś porcję.

— Pić! dobranoc, panowie, idę spać!

— Wielbiciel twój, pani, pomoże ci się rozebrać.

— Obejdzie się!

— Zdejmę z prawdziwem namaszczeniem suknię.

— Zaraz! uhum!

— Spódniczkę z zachwytem.

— No?

— Pończoszki z błogością, ot! te,—i nachylił się, ujmując w dłoń stopę.

— Świnia, precz! — szarpnęła nogą, że mu tylko pantofelek został w ręku.

— Panowie, uwaga! Jest picie. O!

I posłany wyładowywał z kieszeni kilka butelek.

— Otwierać i zaczynać! Francesco, szklanek!

— Zaczynać! zaczynać!

— Pierwsze zdrowie!

— Bohaterki naszego dramatu!

— I komedji!

— I farsy!

— I operetki!

— I osobnych gabinetów!

— Wiwat! Niech gra i pije, dopóki żyje!

I wychylili szklanki.

— Panowie, program...

Nalano drugą kolejkę.

— Naszej extra...

— Nie chcę, słaba! do towarzystwa.

I rzuciła szklankę w okno obok poprzedniej.

— Konjak, dawać konjak!

Podano świeżą szklankę i konjak.

— Władku, w twoje ręce!

— Jazda, na całego! Syp, piękna, ani pytaj!

— Wiwat!

Krzyczeli na całe gardło. Byli już prawie nieprzytomni.

— Panowie, program extrawagancji...

— Ręce przy sobie! Panowie, Władek mnie szczypie.

— Okrutnik! tutaj, prawda?

— O, bo będę bić!
— Extrawagancja — wiwat!
— Lepsza!
— Wiwat!
— Panowie, program!...
— Wiwat! — ryczano już.
— Jesteś pani zachwycająca.
— Jak ta butelka!
— Piękna...
— Jak pięknol
— Masz oczy, jak...
— Karbunkuły — te! chciałem powiedzieć: lazury!
— Płeć z alabastru.
— Jak pianka szampitra!
— Panowie, proogram!...
— Idź do djabła z programem.
— Ależ panowie, umówiliśmy się, że program...
— Jeszcze jeden konjak — wiwat!
— Usteczka masz pani, jak... moje... — i chwycił ją wpół, — posadził na kolanach i całował.
— Władek, nie chcę, nie potrzebuję—kaprysiła.— Panowie, tańczmy!
— Brawo! kolosalnie!
— Polkę?
— Walca?
— Kankana sobie utniemy.
— Piramidalna heca. Siódma!
— Panowie, program.
— Zostaw programy przyszłości i nie zawracaj.
— Ależ...

— Ja zacznę śpiewać. Tylko tańczyć przyzwoicie.
— Dobrze, dobrze! jak cherubini.
— Jak sama Terpsychora przed arką przymierza!

— Kankana! — huczą instrumenta,
Panowie bierzcie się do dam.
Tra la la, la la la.
Swobodny gest, postać urżnięta
A szał przewodnikiem nam!...
Tra la la la i t. d.

Gwar podniósł się nie do opisania, kankanowano zawzięcie. Nie zważano wcale na to, kto dostał szpicem buta i gdzie. Kapelusze, spadające z głów, podskakiwały po podłodze, podrzucane nogami. Dla swobody ruchów rozrywano sobie koszule i tańcowano.

Simonka w pończochach tylko, bo drugi pantofel zrzuciła, z włosami rozwiązanemi, czerwona, pijaniuteńka, tańczyła, jak w paroksyzmie. Nie zważała na opanowującą ją czkawkę, na zmęczenie, szał ją ogarniał — tańczyła, krzyczała raczej, niż śpiewała, najgłośniej. Wspaniała postać, wypukłe piersi, migotały tylko w niepewnem świetle brzasku. Cała ta bachanalja, pełna krzyków, śpiewów, czkawki, przytupywań, ciężkich sapań ze zmęczenia, grubych żartów, zmysłowości rozpasanej, osób nieprzytomnych, tańczących z zamkniętemi oczyma, kurzu, jaki się wznosił, gorąca z wyziewów ciał i oddechów — zaczynała być wstrętną.

— Dosyć! dosyć! e — e — wołała śmiertelnie zmęczona. — Dosyć! dobranoc, spać idźcie.

I, opierając się o niektórych tańczących jeszcze pijackie sola i proszących o pozostawienie, wypychała za drzwi.

— Panowie, pro-o-gram...

— Idźcie, bo skonam.

Czkawka mordowała ją strasznie.

— No! — i otworzyła drzwi, wypychając ich napół przytomna sama.

— Panowie pro-o-gram...

— Zdechnij pan ze swoim programem. No, prędzej! — i popchnęła go przez próg — troszeczkę za silnie; upadł jak długi na schody, szepcąc:

— Panowie proogram...

— Masz nadprogramowo.

Zatrzasnęła drzwi za nimi. Wróciła do swego pokoju senna, a podniecona niezwykle, trzymając się ścian, żeby nie upaść. Rzuciła się na sofę, wołając:

— Franek! Franek!...

Franek przez cały czas bachanalji pisał. Podawał, o co wołali, i natychmiast wracał do siebie. Położył rękopis na parapecie okna i, ponieważ świt się robił, mógł pisać bez innego światła. Był przyzwyczajony do podobnych odwiedzin i wrzasków pijatyki. Bachanalje takie nie robiły na nim wrażenia innego, prócz wstrętu, jaki instynktownie czuł do artystek. Nie słyszał też prawie nic, zajęty ogromnie ostatnim aktem. Ile razy wrzawa doszła doń głośniej, zatykał uszy i klął. Dziwnie dobrze szło mu dzisiaj. Słowa popłynęły jak woda, sytuacje wywiązywały się same jakoś.

Zaledwie zdążył pisać, taki natłok myśli, wyrażeń, uczuć miał w sobie.

Wypuszczając odchodzących, nie widział i nie słyszał, że zwykły napiwek jego z brzękiem upadł na ziemię. Nie wyciągał ręki po niego. Miał przed oczyma ostatnią scenę Ulany. Słysząc wołanie, mruknął niechętnie:

— Cholera, mogłaby już spać! — i poszedł.

— Franek, rozbierz mnie!

Robił to zwykle, gdy była pijana; ściągał buciki, pończochy, suknie, rozpinał gorset, kładł na stoliku przy łóżku papierosy, zapałki i odchodził; tak samo zaczynał teraz.

— Rozbieraj, rozbieraj!

Ściągnął pończochy. Nogi o skórze różowej, gładkie były, jak marmur, i rozpalone.

— Suknię — ciśnie, och! niedobrze mi, e! e!

Czkawka wstrząsała nią.

Usiadł obok niej, żeby rozpiąć suknię.

— Jutro „Chata“, gram Azę. Dlaczego Dżalma nie przyszedł? ma klucz przecież, Jaga się wścieka, odebrałam go jej, głupi myśli, że... A! a! — ziewała.— Jaki to osioł z tego Władka, przywiezie nową suknię z Warszawy, ha! ha! A Kubuś, ha! ha! jacy oni głupi.

— No, zdejmuj! Głupi, o głupi Tumry, nie chce Azy rozebrać, nie chce. Toś ty bukiet przyniósł?

— Tak.

Przynosił codziennie kwiaty i ustawiał w wazonach.

— Poczciwy, dobry, kochany Tumry...

Nie odzywał się, ale coś niezwykłego się w nim robiło. Zdjął spódnicę, została tylko w koszuli. Posągowe jej kształty przez cienką bieliznę rysowały się wyraźnie, ponętnie; piersi, ramiona i nogi obnażone a pełne, jakby nabrzmiałe krwią i pragnieniem rozkoszy, paliły go swoją nagością, odrzynając się dziwnie plastycznie od ciemnego tła sofy.

Zaczynało go opanowywać jakieś drżenie.

— Spódnicę zdejm, zdejm, — wołała, targając koszulę.

— Już zdjąłem.

— Nieprawda, nie! Kłamiesz! zdejm, małpo ty! Była bliską wpadnięcia w furję.

— Zdejm, słyszysz!

Szczękał zębami, nie widział nigdy kobiety w tej pozycji: nagiej prawie, pijanej — i tak pięknej. A wiedział, że z nią, jak się upije, niema żartów. Mogła śmiać się, płakać, wściekać ze złości, rozbijać wszystko i wszystkich w jednej chwili.

— Tumry, zdejm — nie chcesz?... czekaj!... — i podniósłszy się z trudem, porwała ze stołu butelkę i rzuciła w niego, upadając z płaczem na sofę.

— Władek! och, o mój Boże! Ach!— zanosiła się od łkania. — O ja nieszczęśliwa, śmieją się ze mnie, nie chcą słuchać, o! o! Dżalma — choć troszkę. Matko Boska! Małpy, bydło! Będę wam grać, zobaczycie — będę grać—la la la la la. Pojadę do Texla, zdychajcie sobie, niech Stella weźmie rolę—niech kiedy... kiedy... Franek!... Tumry! wiwat!!— niech żyje miłość, swobodny kankan, zaciereczki na mleku i frajery! Wiwat! —

Wasze zdrowie, skantowani, wasze...—i podnosiła rękę do ust, jakby z kieliszkiem.— Spać, spać! zanieś mnie. Władek — spać!

Wziął ją z trudem na ręce, ciężyła mu jak ołów i paliła, jak ogień. Otoczyła mu nagiemi ramionami szyję i przyciskała się do niego.

—Władku! Władku!... — bełkotała niewyraźnie.

Ułożył ją na łóżku. Przyciągnęła go do siebie i z namiętnem uniesieniem całowała go w oczy, usta, włosy. Szeptała jeszcze coś bez związku i myśli, całowała bez siły i zasnęła z ustami na jego ustach — roznamiętniona i senna razem, cudna w swej nagości i wyuzdaniu nieświadomem. Była pijana. Wyswobodził się, jak tylko na dobre zasnęła. Taczał się, był spocony, a zimny—z wysiłku panowania nad sobą i obawy. Spojrzał od drzwi. Świt zórz wkradał się przez okno i oświecał bladem światłem wschodu. Różowe podbicie kotary obrzucało ją lekkim, różowawym blaskiem. Białe jej piersi wznosiły się z ciężkim, długim oddechem.

Bzy z wazonów wionęły duszącym, rozpalającym krew, aromatem.

Wyszedł do kuchni, nie mógł spokojnie patrzeć. Otworzył okno i starał się pisać — nie mógł. Ciągle czuł ją przy sobie, widział.

Świeże powietrze poranku wracało mu przytomność, skierowało myśli na sztukę. W mgnieniu oka zrozumiał namiętność Ulany — gorączkowo zaczął pisać. Wiele rzeczy przez tę krótką chwilkę, spędzoną tam przy Simonce, zrozumiał, nauczył się. Pisał też krwią i nerwami, wystawionemi na ciężką próbę.

*

Zegary biły szóstą rano, gdy dopisywał. Skończył. Skończyły się udręczenia. Odetchnął głęboko, swobodnie. Czuł się ogromnie rozradowanym, szczęśliwym; schował rękopis jak zwykle — do pudełka. Umył się przed studnią i wybiegł na miasto, czuł potrzebę ruchu, powietrza, słońca. Włóczył się tak bez celu, rozmawiając z sobą, uśmiechnięty do siebie, do duszy swej zwycięskiej, zadowolony i szczęśliwy w każdej cząstce swego jestestwa triumfującego.

Wstąpił do teatru, pozamiatał, pouprzątał. Ustawił scenę do dzisiejszej próby. Naszykował zmiany na przedstawienie, pooczyszczał lampy, i pogwizdując, wybiegł za miasto narwać bzu — i poleżeć w słońcu.

Była już dziesiąta, gdy wrócił z pękiem kwiatów do mieszkania. Nastawił samowar i zajrzał cicho do pokoju Simonki. Spała jeszcze.

Snadź zimno poranku, wpadające przez potłuczone szyby, zmusiło ją do okrycia się, bo leżała szczelnie otulona kołdrą. Krzątał się pocichu, uprzątał ślady pijatyki, pościerał kurze, poskładał garderobę porozrzucaną. Czuł się tak lekkim, jak nigdy. Rozradowanie, jak słońce, świeciło przez oczy.

Simonka przebudziła się, patrzyła chwilę na uwijającego się po pokoju. Znać było w jej twarzy, zbrukanej rozpustą, a mimo to pięknej, jakąś pracę myśli. Przypominała sobie coś zwolna i z trudem, bo drganie jakieś niezadowolenia przebiegło po jej twarzy. Zapaliła papierosa. Franek się odwrócił, niosąc bukiet świeżego bzu na stolik przy łóżku. Patrzała na niego uważnie,

— Jest herbata?

— Jest. Można przynieść?

— Dobrze.

Przyniósł samowar i postawił go na stołku obok łóżka.

— Daj mi biały kaftanik.

Podał żądany i, gdy kładła na nagie ramiona, nie żenując się bynajmniej jego obecnością, zauważył na piersiach czerwone plamy i wysypkę i cały ton żółtawy skóry, miejscami obwiśniętej.

— Daj drugą szklankę, wypijemy razem herbatę.

Spojrzał zdziwiony. Simonka, jakby na usprawiedliwienie, dodała:

— Nudzę się, sama pijąc.

Pili, chciała go zapytać, a nie śmiała otwarcie.

— Kto tu był wczoraj — to jest dzisiaj?

Wymienił nazwiska.

— Długo byli?

— Przed piątą poszli.

— Wszyscy?...

— Tak, wszyscy.

— A później co?...

— Rozebrałem panią.

— I?...

— Zaniosłem do łóżka, tak pani kazała...

Ciemny rumieniec powlókł mu twarz, przypomniał sobie doskonale wszystko. Spuścił oczy, nie śmiał spojrzeć na nią, jakby się czuł winnym.

— Uniosłeś mnie? — pytała, widząc jego pomieszanie i sama zmieszana, z obawą czekała dalszych wyznań.

— Uniosłem, nawet łatwo, położyłem panią na łóżku, pookrywałem i odszedłem.

— I nic więcej?... nic?... — pytała natarczywie, z hałasem mieszając łyżeczką herbatę. Pamiętała słabo, że całowała kogoś.

— Nic, proszę pani, a cóżby miało być więcej?

— Głupi! o głupi! — wołała, zanosząc się od śmiechu.

Poważniejsze usposobienie uleciało razem z jego oświadczeniem, że „nic".

— Dlaczego, proszę pani? — zapytał.

Pierwszy raz może w swojem życiu uczuł się dotkniętym.

—Dlaczego? — ha! ha! boś głupi, kapitalnie, operetkowo głupi!... — i śmiała się, jak warjatka. Jeszcze coś podobnego nie spotkało ją w życiu. Nic! to jest znakomite, nie do uwierzenia! — wołała, taczając się po łóżku w paroksyzmie śmiechu serdecznego.

Dzień potoczył się zwykłą koleją. Franek zadawał sobie kilka razy pytanie: dlaczego nazwała go głupim?

— Czy dlatego, że nie skorzystał ze sposobności?..

Przed wieczorem spotkał się ze Zmarźlakiem i opowiedział mu szczegółowo całą scenę.

Słuchacz zmierzył go pogardliwem spojrzeniem, pokręcił swój daszek, jak nazywał wąsy, splunął ze złością i szepnął gniewnie a drwiąco do ucha:

— Trzeba być ostatnim głupcem... Uważasz!

— Mam cię w... zanadrzu, słyszysz! Cóżto? ja świnia jestem, żebym się kładł w pierwszym lepszym rynsztoku, czy co?—i odszedł śpiesznie.

Och, znał on wybornie boginie teatralnego Olimpu i przy swojem nierozwinięciu, a co za tem idzie, braku zmysłu moralnego, czuł do nich wstręt fizyczny poprostu, a nieprzezwyciężony. To też gniewało go to niezmiernie, że go nazywają głupcem—i za co jeszcze?!

— Ścierwy, psiakrew, że te małpy z miasta ciekają się za niemi, jak psy, to myślą, że każdy jest bydlęciem... — szeptał w czasie przedstawienia, widząc rzucane bukiety na scenę.

Po skończeniu sztuki zabrał tłomok z rzeczami Simonki i poszedł śpiesznie do domu; gnała go niecierpliwość przeczytania jeszcze raz Ulany swojej. Nie zdążył pozapalać lamp, gdy już Simonka z chmarą przyjaciół swoich wpadła do mieszkania. Ustąpił im prędko. Wściekły, że mu przeszkadzają — poszedł nadół. Pod nimi mieszkał jakiś wojskowy, drzwi od kuchni, tak samo jak u nich, wychodziły na schody. Franek znał się z deńszczykiem i niejedną chwilę wolną przepędzał u niego, słuchając tęsknych dum małoruskich i gry na harmonji.

I teraz tam poszedł. Ponieważ oficera nie było w domu, deńszczyk raźno wyśpiewywał, przygrywając sobie jednocześnie. Nie upłynęło i pięciu minut, rozległo się stukanie we drzwi.

— Franek! Wychodzę, drzwi otwarte—wołała Simonka, wiedząc, gdzie zwykle o tej porze siedział, jeśli nie był w mieszkaniu.

— A idź do djabła! — mruknął i pogrążył się zasłuchany w smętnej melodji.

Siedzieli tak z godzinę, nie mówiąc do siebie ani słowa. Franek rozmyślał o swojej Ulanie, o śpiewach, jakie potrzebował jeszcze napisać, i rozważał, czyby nie były dobre takie pieśni, jak ta, którą słyszał.

Dzwonek zadźwięczał u bramy. Grający zerwał się na nogi i nadstawił uszu.

Franek śpiesznie wybiegł na schody, jednocześnie usłyszał skrzyp drzwi otwieranych czy zamykanych wyżej na piętrze i kogoś bardzo śpiesznie schodzącego nadół. Usunął się nabok, pomyślał, że sąsiad zprzeciwka idzie na miasto. Wolno wszedł na górę, drzwi od mieszkania były uchylone, tuż za progiem potknął się gwałtownie o jakieś rzeczy.

— Cóż u djabła, któż to powywłóczył? — zapalił śpiesznie zapałkę. Drzwi od pokoju Simonki były naoścież otwarte. Zaświecił lampę i wszedł tam, przeczuwając coś złego. W pokoju było wszystko wywrócone do góry nogami. Kufry pootwierane, szuflady powyciągane, garderoba, bielizna porozrzucane walały się po ziemi, znać pośpiesznie przetrząsane. Ogromny tłumok rzeczy, zawiniętych w prześcieradło, leżał przy drzwiach.

— Złodzieje! — szepnął, zimno mu się zrobiło. Pobiegł do drugiego pokoju — tam wszystko było na miejscu. Widocznie złodziej nie zdążył jeszcze nic zabrać, spłoszony jego nadejściem — a może tylko zadowolnił się tem, co łatwiej mógł unieść, uciekając.

— A moje rzeczy! — Rzucił się do kuchni, legowisko jego było rozrzucone.

— Jezus, Marja!... — straszne przeczucie obleciało mu mózg, jak błyskawica, pełna gromów. Roztrząsnął wszystkie łachmany drżącemi od strachu rękoma. Pudełka z Ulaną nie było!

Zadygotał cały, rzucał się naprzód, cofał — kręcił prawie wkółko, zimny pot przerażenia wystąpił mu na czoło. Okradli go! Skradli mu Ulanę, życie, szczęście krwią okupione, marzenia nocy nieprzespanych — wszystko! Rozpacz bezbrzeżna wyryła mu się w twarzy, posiniła usta, przebijała przez oczy, niespokojnie, błyskawicznie biegające z przedmiotu na przedmiot. Ręce załamywał spazmatycznie — bezradnie.

Przeszukał po raz drugi. Nie było...

— Ulana! moja Ulana! — łzy zalewały mu serce.

— Ach! to ten, co schodził; usłyszał, że otwierałem drzwi i wyniósł się, zabierając, co mu w ręce wpadło, i ja go przepuściłem! Och! podlec! o! — i wybiegł wściekły, zrozpaczony, jak stał, bez czapki, na ulicę. Nie ujrzał nikogo. Pobiegł w jedną stronę. Nikogo. Przebiegł kilka sąsiednich ulic — toż samo.

Pot zmęczenia zalewał mu twarz, a żal serce.

Nic! Nikogo nie widać. Biegał, jak nieprzytomny. Zaglądał w każdy załamek murów, pod każdy mostek, — wszędzie.

Dowlókł się zpowrotem do bramy i usiadł nad rynsztokiem, bezradny, unicestwiony stratą, obłąkany bólem.

Zakrył twarz rękoma i ryczał prawie płaczem, rozpacz, niewypowiedzianie niepokojąca, rozrywała mu piersi. — Och, Ulana! moja Ulana! — szeptał przez łzy,

głosem pełnym cierpienia i miłości. — Och! Ulana! — i czuł się tak nędznym, tak nieszczęśliwym, tak pokrzywdzonym przez wszystko, jak nigdy.

Księżyc w pełni oświecał uśpione miasto. Długie linje domów rzucały szerokie smugi cieniów. Słowiki w sąsiednim ogrodzie śpiewały cudne hymny nocy i miłości.

Rozkwitłe bzy i jabłonie zdawały się promieniom je srzebrzącym oddawać pocałunki — aromatem.

Spokój pełen był melancholji marzącej i czarów.

Cicha noc ciemnym urokiem przestrzeni, drganiem gwiazd, rozpostarła swój królewski płaszcz ukojenia nad ziemią. Panowała, przelewając się w falach powietrza, w gromadach chmur, poszarpanych jak stalaktyty.

Tylko płacz Franka rozbrzmiewał, jak przykry dysonans w ogólnej harmonji, dźwięczał jak zgrzyt, w słodkiem adagio nocy majowej, rozlegał się coraz wolniej, coraz ciszej a głębiej — aż ustał.

Franek podniósł załzawione oczy gdzieś ku niebu — zapatrzył się w własne serce, myśli, marzenia, rozpamiętywania.

Potem ze spokojem rezygnacji smutnej na twarzy, i ze stanowczością i uporem kamiennym w głosie pełnym buntu, szeptał:

— Napiszę! — i tak napiszę! Żeby nie wiem co — napiszę.

Słowiki odzywały się głośniej, lekki wietrzyk przebiegł, zagarnął całą falę woni z ogrodów i rzucił mu ją w twarz, brzydką, steraną nędzą, upokorzeniami, twarz idjoty, nacechowaną teraz wyrazem zimnej, nieugiętej

woli i rozjaśnioną parą cudnych, rozgrzanych walką oczu.

Stał tak chwilę jeszcze, potem z głową, pełną postanowień nowej pracy, jaka go czekała, poszedł do domu.

— Franek! kurtyna! Franek, dzwonić! Te! mój brzuch, dawaj mi brzuch! A moja garderoba! — Franek, piwo! — Kiedy ja wchodzę? — Chodźże, małpo, zapiąć mi stanik! Zaanonsuj-no! — wołano jak zwykle.

A on, jak zwykle, niestrudzony, zjawiał się wszędzie, gdzie był potrzebnym, z tym samym spokojem i martwotą nazewnątrz, z tem samem milczeniem apatycznem, obojętnem. Co go to wszystko obchodziło? Pisał drugi raz Ulanę. A postanowił zwyciężyć.

— Będziecie wyć z radości! — szeptał, wygrażając publiczności przez otwór w kurtynie.

Może i będą. Któż wie?

PRZED ŚWITEM

I.

— Która godzina?

— Wybiła już dziesiąta.

— W tej chwili bije... słyszę wyraźnie.

— To tylko ostatnie echa dźwięczą w korytarzach.

— ...Cztery, pięć!

— I deszcz pluszcze w rynnach.

— ...Siedem... zaraz umrze godzina... osiem... powstrzymać, siostro, powstrzymać... dziewięć... boję się, przechodzi nieubłaganie... dziesięć. Już jej niema... już wpadła w wieczność... już jej nic nie powróci... nic... Jak mi jej żal! Czy siostrze nie żal tych godzin pomarłych?

— W Bogu jest wszystko.

— Czy siostrze nie żal tych ludzi, tych drzew i zwierząt pomarłych?

— „We mnie zmartwychwstaniesz wszystek" — rzekł Pan.

— Rzekł Pan... — powtórzył jak echo.

— Chrześcijanin powinien w to wierzyć.

— Wierzę... ale... ale mi żal...—szepnął trwożnie, i oczy jego nasączyły się powstrzymywanemi łzami,

— ...Ale mi żal umarłych lat... — powtórzył cicho i zatopił oczy w mroku, zalewającym szpitalną izbę.

Biały kornet siostry chwiał się w ciemności niby skrzydła... a pod nim występowały ostro z cieniów jej ręce, białe, długie, rozmodlone ręce... Ziarna różańca spadały monotonnie z dziwnym, przejmującym szelestem.

— ...I tych, które umrą do końca świata!

Poruszył się, poczuł jej wzrok w sobie — ostry wzrok czuwania, który czarnym, lśniącym promieniem przenikał mroki i spadał mu na czoło gorącym pocałunkiem.

Milczenie dokoła, cisza mrących godzin, cisza tych lepkich, przyczajonych do ścian cieniów, wśród których żyły jedynie i czyhały jej spojrzenia miłosierne, oczy litości.

Przez otwarte drzwi widać było salę szpitalną, biały gościniec smutku, zatopiony w bolesnem świetle oliwnych lampek, które rozkrążały ropiące smugi na głowy chorych.

Usnąć i nie zbudzić się, usnąć...

Ale sen nie przychodził, więc znowu otwierał oczy i ślizgał się niemi po ścianach, po kornecie siostry, po jej rękach zamodlonych, i tonął tam... wśród uśpionych błądził.

Oddechy wszystkie słyszał... jęki przez sen, bicia serc, dyszenia przyczajonej trwogi, nieme krzyki konających oczu, wołania przepadających. Bolesnym, okropnym rytmem brzmiały te głosy w jego sercu i rozpierały się nieopowiedzianym bólem,

A potem, zdało mu się, że idzie wskroś tych łachmanów ludzkich, po tem śmietnisku dusz, wskroś płaczących nędz wszelkich... wskroś pustek nieobjętych, w których żyły tylko konające echa skarg.

— I umarłe żale...

— I umarłe nadzieje...

— I wszystek ból człowieczy...

— Uciekać, uciekać!—krzyczało przerażenie i strach, i ból go chwycił i wyrwał z nicości, i trzymał nad przepaściami, wczołgał się w niego kolczastem cielskiem, tarzał się po jego wnętrznościach i rozdzierał rozpalonemi pazurami.

— Siostro! siostro!

Nie, nie mógł wołać, nie mógł wyrwać z siebie tego krzyku, nie mógł się poruszyć, tylko wołał ratunku oczyma przekrwionemi, krzyczał strachem i rozpaczą... umierał w męce... a ona w głębokiej kontemplacji przesuwała ziarna różańca i całowała oczyma Chrystusową twarz, wiszącą na ścianie.

Czuł, że umiera, że chwila jeszcze... że się już kołysze nad krawędzią nicości, że się stacza... zapada.

Tak, to ona idzie przez izbę szpitalną, ona... jakby ze zgaszonego światła ma utkaną szatę... umarłych wód ma oczy... bez dna przepaście, przerażający lej... otchłań... idzie. Pochyla się nad łóżkami... idzie dalej... uśmiechem promienieje... nie widać ust ni twarzy, a ten okropny uśmiech wybłyskuje z niej, migoce nad głowami konających, zapełnia szpital, wije się w ciemności jak błyskawica zaguby... jak trupie światło... prze-

nika serce, rozlewa się po nim miljardami ostrych, zimnych, przerażających błysków...

— Śmierć! Nie, nie! — krzyknął oszalały i zerwał się z łóżka.

Oprzytomniał, bo zniknęło wszystko; zakonnica ułożył go zpowrotem i podawała lekarstwo.

Ból przeszedł, a on leżał w największym bezwładzie, jakby na dnie niepamięci, i tylko przyczajonym wzrokiem błądził po ścianach, czepiał się rzeczywistości, jak topielec wychylał się z głębi i chwytał źdźbła nadziei z rozpaczą. Nie wierzył jeszcze, że żyje, nie wiedział gdzie jest, a może już tam... obłąkane grozą śmierci myśli kłębiły się w nim chaosem widm, kłębem postrzępionych obrazów, falą, która z łoskotem zawalała się i powstawała na nowo, zalewała go i pogrążała w coraz boleśniejszy lęk.

— Jestem? Jestem?... — powstawało w nim pytanie, a potem obraz szpitala i zakonnicy, i sprzętów, utrwalał się coraz silniej na fali powichrzonych myśli, pokrywał rozprężenie, tłumił chaos i trwał.

— Siostro!... — rzucił lękliwie, jakby w próżnię, pewien, że odpowie mu milczenie.

Stanęła przy nim.

Patrzał na nią, jak na majak własnej wyobraźni, jak na cień własnych pragnień i myśli.

— Ciemno, ciemno... — szepnął, rozglądając się trwożnie.

— Rozświetlę lampę!

Drgnął cały; usłyszał wyraźnie: to był głos z ze-

wnątrz, z pewnością to był głos żywy; długo milczał i żuł radość stwierdzenia życia.

— Czy ja spałem?...

— Bardzo mocno.

Nie miał już wątpliwości: to ją słyszał; ten głos miękki, pieszczotliwy, dźwięczny rozlewał po nim radosne ciepło istnienia.

— Która godzina?

— Jedenasta.

— Spałem całą godzinę. Tak, teraz wiem, że jestem, wiem...

Rozjaśniła płomień, radosne światło zalało pokój, oślizgiwało się po ścianach, skrzyło w mosiężnych ozdobach łóżka, uwypuklało wszystkie kontury, wydobywało barwy z bukietu, stojącego przy łóżku, stwierdzało jego podejrzliwie badającym oczom rzeczywistość!

Gdy mu podawała lekarstwo, pochwycił jej ręce i całował z najwyższem uniesieniem szczęścia.

— Nie umarłem, siostro! żyję! żyję!

Wyrwała mu ręce i cofnęła się w głąb pokoju, żeby ukryć dziwny, pomieszany ze łzami radości, rumieniec.

On poczuł się dobrze, ból jakby się w nim wyczerpał i omdlał pod uderzeniem niezmiernego szczęścia istnienia, tlił się gdzieś w głębiach pamięci, czyhał... Z lubością nieopowiedzianą poruszył głową, wyciągnął nogi, a nawet przegarnął sobie włosy; mógł znowu poruszać sobą bez męki: to go wprawiało w stan takiej błogiej, bezmyślnej, dziecinnej radości, że za-

gwizdał walca, a potem chciało mu się śpiewać, to mówić, sprzeczać się, choćby kłócić nawet.

Czemu ona milczy? czemu się nie odzywa do mnie? — myślał i patrzał na nią tak długo, przenikliwie, ostro, że chociaż nie patrzała, rumieniec znowu wypełzł z pod kornetu i pokrywał jej twarz.

— Wie siostra, czuję się doskonale, tak dobrze, że za parę dni się wypiszę od was.

Podniosła głowę na mgnienie, że tylko pochwycił, wykradł jej spojrzenie, pełne łzawego lęku i żałości ostrej.

A jego przejął gniew.

Beczy, a nie mówi. Czemu nie mówi z nim? czemu nie patrzy?

— Czemu siostra nie mówi ze mną? czemu siostra nie patrzy na mnie?

— Modlę się.

— Mnie bardziej potrzebną jest siostra, niż Bogu.

. . . . . .

— Lepiej panu?

— O zupełnie dobrze, zupełnie, ale było strasznie, tak strasznie, że już myślałem...

— Bez woli Boga nic się nie stanie. Bóg nie chciał zabierać jeszcze pana, to Jego łaska święta, że pan nie umarł bez spowiedzi... Trzeba mu podziękować za to.

— W jaki sposób? — spytał niepewnym szeptem.

— Wyspowiadać się. Zobaczy pan, że choroba się prędzej przesili, wzmocni pan Łaską duszę i zwycięży chorobę.

— Nie, nie... poco?... Spowiadać się i zdychać! Nie, ja chcę żyć. Niech mi siostra nie wspomina o Bogu. Nie męczcie mnie swoją mityczną kukłą... Nie trzeba mi przebaczenia, ani litości, mnie trzeba życia, a tego mi nie da ta wasza okrutna bajka, nie, bo wasz Bóg jest bogiem zła, ciemności, choroby, nieszczęść... nie jest Bogiem żywych! Gdzie męka, gdzie ból, tam Go przywłóczycie, aby dobił ofiarę. Słyszy siostra! Nienawidzę Go za wszystkie męki świata, za wszystkie łzy ludzkie przeklinam. Dusiciel dusz!... Tak, niechaj zdechnę na wieki, ale przeklinam! — krzyczał tak rozdrażniony, że już był nieprzytomny, nie odrywał oczu od świecących, mosiężnych gałek łóżka i klął, krzyczał coraz głośniej, przeklinał.

— Jezus! Cicho! Cicho! — i modlitewnemi, przerażonemi rękoma zakrywała mu usta, aby nie bluźnił, ale chwycił ją zębami tak mocno, że z krzykiem bólu wyrwała ręce i padła na kolana.

— O Panie miłosierdzia nieprzebranego!

Zmiłuj się nad nim!

O Panie miłości, o Panie dobroci,

Usłysz wołanie moje!

Usłysz żebrzący głos duszy mojej i przebacz mu! Przebacz mu, Panie, to męka obłąkała duszę jego. O święty! o nieśmiertelny, o Boże mój, łzami serca, miłością, bólem, pokorą wołam do Ciebie, przebacz! Zmiłuj się nad nim!

Wołała drżącym, głębokim głosem, i sznury perłowych łez płynęły z jej cudnych oczu, a twarz pło-

mieniła się najwyższą ekstazą błagania, miłości, rozpaczy i strachu. Trzęsła się, rozchwiana huraganem zgrozy, i całą mocą uniesienia rzucała czystą duszę pod stopy Pana i krwią serca żebrała zmiłowania dla niego.

Oniemiał!

Zwinął się w kłębek i wlepił w jej twarz rozpalone oczy, przełzawiony głos przenikał go ogniem, radością, siłą, a te łzy rozpaczy, jakie wylewała za niego, ten krzyk płomienny duszy wierzącej, owiewał go żarem dziwnym, lubieżnym ogniem chodził mu po kościach, przyśpieszał bicie serca. Nie słyszał słów, nie rozumiał ich, patrzał na nią, na jej twarz cudną, całował ją oczyma.

— Nie warto się modlić za mnie! — wyszeptał z trudem, dyszał chwilę chrapliwem rzężeniem, bo ta oślepiająca, ohydna żądza zapchała mu gardło, stłumiła głos i tak roztrzęsła go wewnętrznie, że tchu złapać nie mógł.

Zakonnica usiadła na dawnem miejscu, i znowu monotonny, cichy szelest spadających ziarn różańca, drżał w ciszy pokoju, a jej oczy, czuwającej trwogi i smutku oczy, przeszklone nieobeschłemi jeszcze łzami, padały na jego twarz pocałunkami... lub trwożnie a głęboko spoglądały w okno ku stronie świtów, ale tam noc była jeszcze głucha i majaki drżących z zimna i potopionych w mrokach drzew, i złowrogie, tajemnicze szepty ciemności...

— Siostra jest cudownie piękna!—szepnął znowu i uniósł się na poduszkach.—Tak, niesłychanie piękna.

Pod tym okropnym strojem kryją się cuda, przeczuwam je, widzę nawet, widzę...—zatrzymał się, bo znowu brakło mu głosu.

Zakonnica wyszła, przymykając drzwi za sobą.

Nie widział tego, gorączka objęła mózg w czerwoną falę ognia, leżał jakby na dnie samego siebie, w pustce okropnej, w ciemności, a rozprzęgły mózg wyrzucał automatycznie, bez woli jego i wiedzy coraz straszniejsze obrazy, coraz wstrętniejsze szczegóły, wszystkie zgrzęzy życia i wyobraźni, wszystkie plugastwa...

Naraz zamilkł i powlókł oczyma, bo jakiś spazmatyczny, okropny płacz przedzierał się od drzwi.

— To ona płacze, ale dlaczego? dlaczego?

I czuł, że ten płacz przygniata go ciężarem niezmiernym, że każda jej łza, jak roztopiona kropla metalu, spływała mu w serce, przenikała nawskroś niego i spływała do serca gryzącą strugą ognia, palącego ognia.

— Boże! mój Boże!... — i okropny żal wsadził swój kolczasty łeb w jego duszę i ssał ją, tak strasznie ją ssał, że tracił przytomność i zapadał w drzemkę pełną dręczących wizyj i jaw tak przerażających, że zrywał się z krzykiem śmiertelnego przerażenia, wyciągał ręce po ratunek i padał znowu w okropne ramiona półsnu, w oślizgłe, trupie objęcia męki.

Oprzytomniło go lekarstwo i jej ręce, ocierające mu twarz spoconą.

— To siostra?

Pochyliła się nad nim, poprawiając poduszki, łzy lśniącą strugą płynęły po jej twarzy, a usta drżały jak płatki róży.

— Która godzina?

— Dwunasta!

— Północ! Mój czas się zbliża!

— W ręku Boga jest wszystko!

. . . . . .

— Umrę o świcie — zawołał nagle i tak ostro, że wypuściła z rąk różaniec i patrzała na niego.

— Dobrze, dobrze... o świcie pójdę... — mówił cicho, coraz ciszej, jakby odpowiadał wezwaniom idącym z głębin nocy... z tamtej strony.

— Pójdę... — szepnął ledwie dosłyszalnie, i przed duszą roztworzyły mu się bezmierne widnokręgi, nieskończone pola wieczności... To tam, gdzie mży ten świt rozpaczny, purpurowy świt nieubłagania, tam płynie ta niepojęta ciżba na zatracenie...

...Oto znajomi a nieznani teraz; oto swoi a obcy... oto bliscy a dalecy; oto nigdy niewidziani, oto nigdy nieprzeczuwani, oto nigdy nawet niemarzeni; oto oceany umarłe, drzewa, kwiaty, zwierzęta — mieszały się razem w gęstwę skarg i płynęły wszystkiemi drogami światów, wszystkiemi szlakami gwiazd, wszystkiemi majaczeniami myśli...

Wypalone łzami oczy podnosili ku świtom i szli w ciszy śmiertelnej oczekiwania, w milczeniu tajemnicy...

A ciche tchnienie jego żałości powiewało nad nimi jak wicher palący...

...i płakały dusze kwiatów pomarłych.
...i płakały dusze drzew pociętych.
...i płakały dusze zwierząt pobitych.
...i płakały dusze wód wyschłych.
...i płakały dusze porodzonych a pomarłych.
...i płakały dusze gwiazd pogasłych.
...i płakały dusze rzeczy wszelkich.
...i płakała śmierć sama i wyła dziką pieśń — straszliwą pieśń złorzeczenia, pieśń buntu przeciwko Niemu...

Ale płynęli niepowstrzymanie tym nieubłaganym szlakiem musu, przez te przepaście zgrozy, przez okropną pustynię przerażenia, przez wiry czarnych, pogasłych gwiazd, przez ulewy słońc konających, zielono-okropnych, rozpadających się słońc, z których sypały się bryły krwawych żużli deszczem ognistym i, niby ciężkie łzy umierającego wszechświata, spadały wskroś ciemności, w głąb bezmiaru, w głąb niepojętą... aż ku świtom... aż na serce Jego.

. . . . . .

— Idę... idę... — wołał i oczyma, w których już była tylko otchłań rezygnacji, szedł z niemi, gonił tę nieskończoną falę, a poruszyć się nie mógł... Tłumy szły przez niego, przez jego mózg przeciągały strasznym korowodem, przez jego serce przelewały się jak wody oceanów, jak wszystek krzyk jestestw ginących brzmiały mu w duszy, a on unosił się i opadał w sobie, mocował się z sobą w męce odrywania, i pokonany ciężarem własnego trupa, panującego lat tyle nad

nim, pozostawał niby krab po odejściu fali na krawędzi życia, chwiał się, a nie spadał w głąb, konający już, a nie umarły, nie trup i nie życie, widmo raczej niż człowiek. Kontur blady istnienia, fosforescencja próchnicy.

Wiedział, że kona, że leży w szpitalu, że jest jeszcze, i ta jakby emanacja rzeczywistości: kamieni ścian, izby, łóżek, świateł lamp, zakonnicy — rzucały cień twardy i bolesny na jego czucie, trzymały go jakby szponami, odgradzały sobą i nie pozwalały wyjść i złączyć się z wizją i przepaść z nią razem...

Najwyższem natężeniem woli przebudził się, wizje odpłynęły w dal szarą, rozprysnęły się w mrokach, a on cichym, przejmującym głosem zaśpiewał:

„Kto się w opiekę odda Panu swemu"...

Automatycznie, zupełnie nieświadomie, niezbadane nory mózgu wyrzuciły z siebie tę pieśń pochłoniętą niegdyś w dzieciństwie, ale on na dźwięk własnego głosu ożył i oprzytomniał zupełnie.

II.

— Która godzina?

— Pierwsza.

— Świt jeszcze daleko?

— Daleko.

— Bo o świcie umrę z pewnością. Wiem, że już mnie nic nie ocali, wiem! Dlaczego drzewa tak patrzą w okna?

— Wiatr niemi kołysze.

— Nie, nie!... one czuwają nade mną, one patrzą na mnie... one wiedzą, że... Co to?...

Krzyk długi, bolesny, wstrząsający krzyk rozdarł ciszę i długo echami tłukł się pośród niemych murów szpitala...

Zakonnica wyszła prędko, ale wróciła po chwili.

Wskazał ręką sufit i oczyma powiedział:

— Wiem, umarł tamten z pierwszego piętra. Wiedziałem o tem...

— Nie, nie... — zaprzeczała lękliwie, kryjąc twarz w cieniu korneta.

Uśmiechnął się dobrotliwie.

— I ja umrę o świcie... — poruszał ustami i nasłuchiwał w ciszy, w której szeleściły cichutko drzewa za oknami, słuchał szmerów nocy i jakichś słabych, ledwie odczuwanych stąpań czyichś...

— Ktoś chodzi po podwórzu!

— Niema tam nikogo.

— A jednak śmierć nie jest snem nieprzespanym,

nie—powiedział głośno i usiadł na łóżku. — Nie można uznawać Przyczyny i mieć ją za głupią. Żarna mogą być tylko symbolem życia... Prawda, siostro?

— Tak, tak...

— Czy siostra żyła już kiedy?

Spojrzała na niego litościwie.

— Mnie się zdaje, że dużo jest dusz przychodzących za wcześnie, jak kwiaty złudzone ciepłą godziną marca... nierozwinięte pąki przysypie śnieg... może przetrwają i zakwitną o prawdziwej wiośnie, w drugiem życiu, ale więcej marznie na śmierć wieczną, nim się dowie, że żyją... Prawda, siostro?

— Tak... tak...

Niepojęty słodyczą spokój szczęścia rozlewał się po nim.

Nie bolało go nic; ani ciało, ani myśl żadna, ani smutek, czuł w sobie ukajający bezwład górskiego jeziora, bezwład martwej wody, nie poruszanej najlżejszym powiewem, zapadłej w głuchą moc bezmiernego spokoju, nie śpiącej i nie umarłej, a bezsilnej w najgłębszej treści swojej i opadającej niewidzialnie, nieświadomie a ciągle i zwolna w jakąś głąb tajemniczą...

Jego poczucie siebie, jego świadomość kurczyła się i malała niepostrzeżenie, że już tylko niektóre myśli i obrazy niektóre snuły mu się po głowie, jak majaczenia oślepłego zwierciadła.

Słodycz miał tylko w sercu, słodycz październikowego słońca i zwarzonych mrozem lewkonij, słodycz cichej ofiary łez.

— Chciałbym się przejść po pokoju... dobrze?

Pomogła mu wstać, ubrała go w biały, ciepły szlafrok, ujęła mocno pod rękę i wolno, z rozczulającą troskliwością prowadziła.

— Raz... dwa... teraz lewą nogą... odważnie... tak... o widzi pan, doskonale... mamy siły...

— Nie, nie mam już sił... Usiądę na fotelu pod oknem...

Usadowiła go, jak mogła najwygodniej. Długo siedział bezmyślnie wpatrzony w noc i w końcu szepnął:

— Pilno mi, siostro... naprawdę już mi pilno.

Przyciągnął kwiaty i z głęboką rozkoszą dotykał ustami barwnych płatków i wchłaniał ich woń zamierającą...

— To są oczy tajemnicy. Dzieci miewają takie same spojrzenia, a czasem umarli.

Pochylił się ku oknu i długo a badawczo patrzał w noc.

Głuchy, wilgotny szum wichru grał smutny hymn na pochylonych, rozchwianych drzewach, a tam... w otchłaniach, jak ciężkie sny chorych, przewalały się chmury ledwie rozeznane.

— Do świtu jeszcze daleko...

— Daleko...

— Siostra płacze?

— Modlę się tylko.

— Modlitwa to dręczące pytanie duszy, rzucone w nieskończoność: „Czy Jesteś?“

— Nie, nie... to błaganie serca: „Usłysz mnie!“

Nic nie odpowiedział, bo jakieś niewyraźne, jeszcze ciemne, jeszcze nierozeznane przypomnienie

wychyliło się z głębin i zalewało go cichym, melancholijnym żalem, a gdy zrozumiał, sznury łez rozsypały się po jego wychudłej twarzy.

— Pan płacze? Może bok boli?...

— Boli mnie żal, siostro, stary żal.

Wyjął z portmonetki wszystkie pieniądze i nieśmiało zwrócił się do niej:

— Mam prośbę do siostry...

Podniosła oczy na niego.

— Tyle jest dzieci biednych... dzieci nędzarzy... dzieci strasznie biednych i opuszczonych, któremi się nikt nie zajmuje... spotykała siostra podobne?

— Za wiele jest takich nieszczęśliwych.

— To są pieniądze, mnie one już na nic zupełnie... Niechaj je siostra weźmie i kupi tym dzieciom zabawek... wie siostra, koniki... szabelki... lalki... wózki... piłki... one z pewnością nigdy nie mają zabawek, nigdy im nikt nie daje... ja to wiem... Proszę o to całą duszą — dobrze?

— Dobrze — szepnęła przez łzy.

— Ja to wiem... bo... nigdy nie miałem zabawek... Mnie już nic i niczego nie żal, tylko mi jeszcze żal, że mi nikt w dzieciństwie nie dał ani jednej zabawki... Wie siostra, ja całe lata marzyłem o blaszanej szabelce i siwym koniku na biegunach, całe lata tęskniłem i lałem morze łez gorzkich... ale mi nikt nie dał... I, że łzy zalały moje życie, to może dlatego, iż mi brakło rozśmiechniętych wspomnień dzieciństwa.

Przerwał, bo dalekie, głuche uderzenie zegara płynęło z ciemności.

— Która godzina?

— Druga.

— Noc już blednie, świt już idzie... prawda?

— Nie widzę różnicy, ciemno jest jak było—powiedziała śpiesznie.

Milczenie zaległo.

Ona zapatrzyła się w bolesną, przemęczoną twarz Chrystusa, a on wpił się oczyma w ciemność i śledził ją badawczo; z ciężkich opon cieniów już zwolna wyłaniały się potwornie bezkształtne grupy drzew i ledwie wyczute kontury domów, świt był jeszcze daleko, ale już niepostrzeżenie wsączał pierwsze brzaski w ciemności ziemi, pełzał wśród chmur bezwładnie zwalonych na siebie i obrzeżał je łzawą jasnością.

— ...I uśmiechnie się do nich siostra! — szeptał znowu, przenosząc oczy na jej twarz: — takim dobrym, słonecznym uśmiechem. Dzieci trzeba kochać, trzeba je brać na ręce, pieścić, przytulać, całować... one żyją miłością. Ucałuje je siostra?...

— Zrobię wszystko, wszystko.

— Mnie nikt nie kochał — dodał szeptem.

— Tak mnie razi światło—jęknął, zakrywając oczy.

Przyciemniła tak nerwowo, że zgasło zupełnie. Utonęli w ciemności.

Zakonnica osunęła się na kolana i modliła się żarliwie, a on zapadał w cichy sen.

Budził się co chwila, błędnie spoglądał w okno, czasem zrobił jakiś ruch bezcelowy, nieprzytomnie patrzał w szarzejącą coraz jaśniej noc, to chciał iść, to usiłował myśleć, przypomnieć sobie coś, zatrzymać

siebie na tej ostrej krawędzi życia, z której się zsuwał nieubłaganie i... zasypiał.

. . . . . .

. . . . . .

Jaśniej... coraz jaśniej...

Świt!

Cicho! cicho!

Niechaj odpocznienie przyjdzie dla znużonych; niechaj sen przywrze oczy czuwających; niechaj zapomnienie uciszy serca cierpiące.

Ptak śmierci tak słodko trzepoce do snu...

A żywi niechaj śpią, niechaj się krzepią tem, że nie wiedzą.

Oto już świt dla czekających.

I wybawienie z męki.

I radość zmartwychwstania!

...I weselne życie w Panu.

. . . . . .

Świt się uczynił na świecie.

Ostry brzask zalał przestrzenie i kwietnym pyłem zórz mżył na omroczoną ziemię, na pochylone sennie drzewa, na przytulone do siebie trawy, na przymknięte oczy kwiatów, na zamglone snem źrenice wód i... na bezwładnie zwieszoną głowę chorego.

Podniósł się nagle, spojrzał w świetlistą głąb zórz i wyszeptał:

— Świt! świt!...

I jak drzewo ścięte zwalił się na ręce zakonnicy.

SPIS RZECZY.

Str.

Na krawędzi 5

Z konstytucyjnych dni 39

Cmentarzysko 73

Zabiłem! 118

Czekam... 175

Franek 203

Przed świtem 253

Date Due

DEMCO-293

LIBERTY BOOK BINDERY
1414 N. Ashland Ave.
Chicago, Ill.

UNIVERSITY OF ILLINOIS-URBANA
891.85 R33ON1925 C001
Na krawe˙dzi /
3 0112 093577226